WIELKIE PLANY BIZNESOWEGO GIGANTA

BlackRock przymierza się do odbudowy Ukrainy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 25/532 19–25 CZERWCA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Polityka migracyjna PiS – między słowami a czynami

NOWA KSIĄŻKA PROF. ANDRZEJA NOWAKA: DZIEDZICTWO LENINA I STALINA W ROSJI PUTINA

Dodatek specjalny: Jak ochronić dzieci przed seksedukatorami LGBT

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 52 000 egzemplarzy

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ:

Esej o antypolskim donosicielstwie

prasa.pl 8223014521

SPONSORZY I PARTNERZY PKOI I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

ORLEN — Sponsor Strategiczny
LOTTO — Sponsor Generalny
Polski Cukier — Sponsor
GRUPA LUXMED — Główny Partner Medyczny
TVP — Główny Partner Medialny
EUROSPORT — Oficjalny Partner Medialny
WP, Polskie Radio, Rzeczpospolita — Partnerzy Medialni PKOl
Porty Lotnicze, Dobry Hotel, Deloitte., Polski Holding Hotelowy — Partnerzy PKOl
4F — Partner Techniczny
Kinder Joy of moving — Partner Młodzieżowej Reprezentacji

eprasa.pl 9223c44521

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Amerykańska kampania z Ukrainą w tle

Amerykańskie demokratyczne elity zrobią wszystko, co w ich mocy, byle tylko nie dopuścić do wyboru Donalda Trumpa. Ich przedstawiciele nawet tego nie ukrywają. Jasno mówi o tym urzędujący prezydent Joe Biden, który zwolenników Trumpa oskarża o faszyzm, a walkę wyborczą przedstawia jako wojnę w obronie demokracji przed mocami zła. Nic dziwnego, że ktoś, kto myśli w ten sposób o swojej władzy, nie zawaha się dla jej zachowania sięgnąć po środki ostateczne. Nawet jeśli ich legalność i prawowitość może, a nawet musi, budzić ogromne wątpliwości. Tak właśnie jest w przypadku, sądzę, aresztowania byłego prezydenta Donalda Trumpa, co jest rzeczą w dziejach USA bez precedensu.

Nie tylko dlatego, że chodzi o byłego prezydenta, lecz także dlatego, że rzecz dotyczy obecnego, najpoważniejszego kandydata do tego urzędu. Porównania z innymi państwami, gdzie władze rozprawiają się z opozycją, wsadzając jej przedstawicieli do więzienia lub zamykając im usta, nasuwają się same. Uważne zbadanie sprawy wskazuje na to, że zarzuty, które stały się podstawą aresztu, robią wrażenie niepoważnych. Wręcz groteskowo brzmi informacja, że do postawienia zarzutów Trumpowi – chodzi o rzekome nielegalne przechowywanie poufnych dokumentów – wykorzystano… ustawę o szpiegostwie. Pojawia się jednak pytanie: Dlaczego Biden i jego otoczenie zdecydowali się na ten ruch, tak ryzykowny, w tym momencie?

Wydaje mi się, że najprawdopodobniej jest to odpowiedź demokratów na coraz bardziej niebezpieczne dla nich ustalenia specjalnego prokuratora Jamesa Comera, który bada sprawę powiązań obecnego prezydenta i jego syna, Huntera, z ukraińskim biznesem. O sprawie tej praktycznie nie piszą polskie media. Wynika to zapewne z przyjętej w Polsce tezy, zgodnie z którą prezydent Joe Biden to nieskazitelny przywódca wolnego świata, który to dzielnie broni Ukrainy przed agresją imperium zła. Jednak z danych śledztwa i ze słów senatora z Iowa, Chucka Grassleya, wyłania się inny obraz zaangażowania Amerykanów.

Kilka dni temu Grassley ujawnił, że miał dostęp do tajnego dokumentu FBI o wdzięcznej sygnaturze FD-1023. Znajduje się w nim zapis zeznań „wysoce wiarygodnego" poufnego źródła, które to informuje o wielu spotkaniach z najważniejszymi szefami ukraińskiej spółki gazowej Burisma od 2015 r. Według dokumentu istnieje kilkanaście nagranych rozmów szefów spółki z synem Bidena, Hunterem (zasiadał w zarządzie), i dwie rozmowy z ówczesnym wiceprezydentem USA. Wynikać ma z nich, że ktoś określany mianem „the Big Guy" miał dostać 5 mln dol. za pozbycie się z urzędu ówczesnego prokuratora generalnego Ukrainy, który to ponoć za bardzo interesował się sprawami holdingu Burisma.

W marcu 2016 r. wiceprezydent Biden zagroził Ukrainie wstrzymaniem amerykańskiej pomocy i Wiktor Szokin urząd prokuratora generalnego stracił. Obrońcy Bidena twierdzą, że stało się tak dlatego, że Szokin był mało skuteczny w walce z korupcją, przeciwnicy – że zajmował się nie taką korupcją, jaką trzeba. Tak czy inaczej, jeśli dokument FBI zawiera to, co twierdzi senator Grassley, i jeśli istnieją wspomniane nagrania, to widmo katastrofy politycznej, przed którą stają demokraci, staje się coraz bliższe.

Cała historia nie dotyczy jednak tylko wewnętrznych spraw USA, ale potwierdza też prosty fakt: po 2014 r. Ukraina przeszła spod kurateli rosyjskiej pod protektorat amerykański, a ściślej – polityczny protektorat demokratów. Tak bowiem tylko można wytłumaczyć niebudzącą wątpliwości informację, że wiceprezydent USA odwołuje ukraińskiego prokuratora generalnego, a jego syn zasiada w zarządzie holdingu, pobierając nie wiadomo za co gigantyczne pieniądze. Doskonale pasuje to do innych fragmentów układanki: do opublikowanej na stronach BBC krótkiej rozmowy Victorii Nuland (kieruje od lat amerykańską polityką wschodnią) z ambasadorem USA w Kijowie w 2014 r., z której wynika, że ta przedsiębiorcza kobieta praktycznie wskazała skład nowego, demokratycznego ukraińskiego rządu, nim ten jeszcze powstał. Podobnie – a to już czasy całkiem współczesne – związki Bidenów z Burismą rzucają dodatkowe światło na niezwykle intensywne i zażyłe kontakty między szefami BlackRock, najpotężniejszej finansowo firmy na świecie, a prezydentem Wołodymyrem Zełenskim. Ten ostatni jeszcze w styczniu 2023 r. dziękował publicznie za zaangażowanie w przygotowanie planów odbudowy Ukrainy przedstawicielom BlackRock, JP Morgan i Goldman Sachs. Tak się akurat składa, że wszystkie trzy podmioty są też zapleczem finansowym amerykańskich demokratów, a ich szefostwo przyjaźni się z Bidenami.

Wszystko to pokazuje, dlaczego przebieg wojny na Ukrainie tak bardzo zależy od wyników kampanii wyborczej w USA. U nas jednak ważniejsze jest inne pytanie: Czy bardziej prorosyjska jest PO (23,1 proc.), czy PiS (23,2 proc.)? Tyle z polityki światowej rozumieją Polacy. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKA SPECJALNOŚĆ EKSPORTOWA: KAPUŚ
Donos na sędziego Szymona Marciniaka nie był wyjątkiem

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
DYPLOMACJA EPOKI LODOWCOWEJ
Stosunki polsko-niemieckie

24 ROZMOWA Z JANUSZEM KOWALSKIM
NIE MA WROGÓW NA PRAWICY

26 KAROL GAC
PRZYBLIŻYĆ RESET

28 TOMASZ ROWIŃSKI
POLITYKA MIGRACYJNA PIS – MIĘDZY SŁOWAMI A CZYNAMI

30 ZUZANNA DĄBROWSKA
SPRAWA DOROTY

KULTURA

32 WIESŁAW CHEŁMINIAK
ŁZY MARII MAGDALENY
Renesans w Ferrarze

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

43
NIEBEZPIECZEŃSTWA SEKSEDUKACJI
Prawna obrona wolności sumienia i ideologia LGBT

OPINIE

60 JAN FIEDORCZUK
WŁADZA POZA WSZELKĄ KONTROLĄ?
Komisja do spraw rosyjskich wpływów

63 ŁUKASZ WARZECHA
WCIĄŻ BEZBRONNI

HISTORIA

66 ANDRZEJ NOWAK
WOJNA I GRA: DZIEDZICTWO LENINA I STALINA W ROSJI PUTINA
Rosyjska polityka

ŚWIAT

72 ROZMOWA Z PŁK. GRANTEM NEWSHAMEM
CHINY JUŻ ZAATAKOWAŁY
Ostrzeżenie dla wszystkich wolnych narodów

75 MACIEJ PIECZYŃSKI
NAJAZD NA ROSJĘ A SPRAWA POLSKA

78 TERESA STYLIŃSKA
MILIARDER JAK ZWYKŁY WŁOCH

EKONOMIA

80 JAKUB WOZINSKI
ROTSZYLDOWIE ERY WOKEIZMU
Kto opracowuje plan odbudowy Ukrainy?

84 JACEK PRZYBYLSKI
GDYBY WEEKEND TRWAŁ TRZY DNI

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
NAJGORZEJ UBRANY PREMIER
Mąż stanu poza normatywem

SPORT

90 ŁUKASZ ZBORALSKI
MOCNE UDERZENIE
Dokąd zmierza kobiecy tenis?

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (70), PRZYBYLSKI (71), GABRYEL, WARZECHA (87), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 9223c44521

NARODOWY BANK POLSKI

ZŁOTA MONETA KOLEKCJONERSKA NBP

z serii „Polskie banknoty obiegowe”

„Banknot o nominale 10 zł”

20 czerwca 2023 roku Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu złotą monetę kolekcjonerską o nominale 10 zł „Polskie banknoty obiegowe” – „Banknot o nominale 10 zł”. Moneta inauguruje serię monet kolekcjonerskich NBP poświęconą polskim banknotom obiegowym z serii „Władcy polscy” autorstwa Andrzeja Heidricha.

Monety kolekcjonerskie NBP są dostępne w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz na stronie: KOLEKCJONER.NBP.PL

eprasa.pl 9223c44521

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Dwa artykuły – jeden wątek

Dzień dobry,
w nawiązaniu do ostatniego wydania „Do Rzeczy" nr 24/2023, kto nie widzi związku między artykułami i wnioskami, które płyną z dwóch publikacji ww. numeru, ten już nic nie dostrzega.

Historia kołem się toczy, na potwierdzenie tych słów jest to, co jest napisane w artykule „Firmy Hitlera" Tomasza D. Kolanka, zwłaszcza fragmenty: „Dlaczego Niemcy zabili wszystkich pacjentów szpitali psychiatrycznych..." i dalej, oraz to, co napisane jest w publikacji „Francja wybiera cywilizację śmierci" Pani Agnieszki Golańskiej-Bault.

Wszystko układa się w jedną całość i utwierdza mnie w przekonaniu, że nic się nie zmieniło w głowach ludzi tzw. cywilizacji zachodniej, krajów sąsiedzkich.

Z poważaniem

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Marsz 4 czerwca 2.0?

Szanowna Redakcjo,
à propos niedawnego nagrania „Barwy narodowe jako barwy maskujące"

(https://www.youtube.com/watch?v=j-8WdUvbGPJA) red. Ziemkiewicza: Już się wyjaśniło, dlaczego na „marszu dla Tuska" 4 czerwca prawie nie było flag unioeuropejskich ani pseudotęczowych: po prostu 17 czerwca w Warszawie będzie druga część tego marszu („parada dumy") i tam, jak można przypuszczać, te flagi będą wyeksponowane – czyli nastąpi już mówienie otwartym tekstem... (ciekawe, czy pojawi się tam chociaż jedna flaga biało-czerwona, np. z domalowaną „tęczą"...).

Swoją drogą 18 czerwca z placu Zamkowego ma ruszyć Marsz dla Życia i Rodziny. Ciekawe, który z nich będzie liczniejszy, i ciekawe (a może i nie...), co o tym niedzielnym napiszą i powiedzą czersko-wiertniczy...

Pozdrawiam wbrew wszystkiemu

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Muzycznie

Dwóm Panom G. gratuluję doskonałej przeróbki „Co PiS-owska władza dała, szablą odbierzemy" i dedykuję przeróbkę piosenki z repertuaru Krzysztofa Krawczyka: „To, co dał nam PiS, najzwyczajniej zniszczy Tusk. Godność trafi szlag, dając w zamian biedę, wyzysk, głód!".

Czytelnik z Krakowa

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jose Breton/NurPhoto/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

BIURO KONTROLNE RSW PRASA — BIURO KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl 9223c44521

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ostatni wielki romantyk

Zmarł Bohdan Urbankowski. Dla mnie na zawsze zostanie autorem jednej z najważniejszych pozycji literackich, którą chłonąłem na początku lat 90. – „Czerwonej mszy, czyli uśmiechu Stalina". Urbankowski włożył niezwykle dużo pracy w zebranie i pokazanie jadowitej siły czerwonej propagandy lat 1944–1956. O ile znałem już wychwalające Stalina wiersze Antoniego Słonimskiego czy elegie na temat towarzyszy z urzędu bezpieczeństwa Wiktora Woroszylskiego, o tyle wtedy, na początku lat 90., coś innego zwróciło moją uwagę. Te propagandowe teksty i satyra bardzo podstępnie służyły do dezawuowania PSL Mikołajczyka. Rzuciła mi się wówczas w oczy konsekwencja w delegalizowaniu moralnym formalnie legalnej wtedy jeszcze opozycji. I podobieństwa tej propagandy do deprecjonowania rządu Jana Olszewskiego przez „Gazetę Wyborczą", „Politykę" i inne media.

A było to raptem parę lat po takich książkach jak „Oni" Teresy Torańskiej czy „Hańba domowa" Jacka Trznadla, w których przedstawiciele elit przepraszali za swoje wstrętne teksty z epoki Bieruta. Wystarczyło jednak parę lat III RP, by tamte stalinowskie wzorce wróciły w nowym kostiumie walki z prawicową opozycją „antypaństwową".

Zafascynowany siłą „Czerwonej mszy" dowiadywałem się wtedy od starszych kolegów o samej osobie Urbankowskiego. Jednego z tych pisarzy i poetów, którzy całe swoje dorosłe życie poświęcili aktywności w opozycji antykomunistycznej. Był liderem Konfederacji Nowego Romantyzmu – grupy poetyckiej nawiązującej do najlepszych tradycji polskiej poezji niepodległościowej. Stąd było już niedaleko do fascynacji legendą Piłsudskiego i wsparcia dla Konfederacji Polski Niepodległej. Wyrzucony z Polskiego Radia po wprowadzeniu stanu wojennego całe lata 80. żył bardzo skromnie, skupiając się na literaturze.

Urbankowski żył dostatecznie długo, by doczekać się uznania ze strony Rzeczypospolitej. Bronisław Komorowski odznaczył go Krzyżem Wolności i Solidarności, a prezydent Andrzej Duda Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

FOT. PIOTR POLAK/PAP

W poświęconym Pileckiemu wierszu „Testament rotmistrza Witolda" Urbankowski zawarł sens życia:

Ten tabor spod Cecory, rycerze w zakurzonych zbrojach
z krwawym słońcem odbitym w tarczach
ten tabor dalej wędruje naszym krajem;
w miejsce
tych co padli wstępują następni
z bagien Raszyńskiej grobli, z ośnieżonych
mogił Styczniowego Powstania, z krwawych
lodowców kołaczących o ujście Jeniseju
Oni nie zginą. Oni
mają już śmierć poza sobą
została im tylko walka – obowiązek
przekraczający czas i przestrzeń i śmierć.

Teraz dołącza do nich sam Urbankowski. ©℗

FOT. SEBASTIAN BOROWSKI/PAP

WIELKA INWESTYCJA INTELA W POLSCE

4,6 mld dol., a więc równowartość niemal 20 mld zł, zainwestuje w okolicach Wrocławia amerykański gigant technologiczny. – Intel przeprowadzi największą inwestycję typu greenfield w historii Polski – oznajmił premier Mateusz Morawiecki. W najnowocześniejszym w tej części Europy zakładzie integracji i testowania półprzewodników zatrudnienie znaleźć ma ok. 2 tys. osób. Następne miejsca pracy powstaną też u dostawców. To już kolejna inwestycja Intela w Polsce. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 9223c44521

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Powrót wicepremiera?

Nie podejmuję się rozstrzygnąć, które medium pierwsze puściło w obieg plotkę, że Jarosław Kaczyński ma w najbliższym czasie wrócić do rządu – Gazeta.pl czy Radio Zet. W każdym razie żadne z tych, które można określić jako bliskie albo życzliwe PiS. Każe to widzieć w jednodniowej sensacji raczej przejaw chciejstwa, z jakim od czasu marszu Tuska lewicowo-liberalna propaganda usiłuje wpoić swoim odbiorcom przekonanie, że „kampania PiS legła w gruzach", „PiS jest w rozsypce", a „Kaczyński jest wściekły".

Plotkę podchwycili jednak politycy PiS czy może raczej – nie tyle podchwycili, ile, pytani publicznie o mniemane wejście szefa do rządu, „nie potwierdzali ani nie zaprzeczali". Najbardziej spodobała mi się wypowiedź Ryszarda Terleckiego, który zapowiedział, że jeśli tak zadecyduje Komitet Polityczny PiS, którego zebranie zapowiedziano na sobotę, to prezes się tej decyzji podporządkuje. Zgadza się to ze wszystkim, co wiemy o kolektywności podejmowania decyzji w PiS – bez wątpienia to komitet jest tam władzą nadrzędną i prezes po prostu musi go słuchać. Cykl wydawniczy sprawia, że państwo już zapewne wiedzą, co zadecydował komitet – ja jeszcze nie. Wiemy tylko, że wedle pogłosek Kaczyński miałby zostać wicepremierem jedynym, ale „bez teki", że miałoby to służyć „wzmocnieniu pozycji premiera" (wobec kogo?) oraz – jak ujął to Terlecki – „zakończyć etap wprowadzania w pośpiechu rozmaitych ustaw jeszcze przed wyborami".

Być może politycy PiS nie zdementowali plotki tylko dlatego, żeby rezonowała ona w mediosferze, wypychając z niej inne „newsy". Bo jeśli nie, jeśli rzeczywiście istnieje potrzeba wzmacniania przez Komendanta pozycji premiera oraz uporządkowanie, poprzez jego osobisty nadzór, procesu legislacyjnego, to mieliby rację Adam Bielan i Marcin Mastalerek, którzy ostatnio przestrzegali publicznie prezesa PiS przed realizowaną strategią kampanii i przed tym, by nie dał sobie wmówić, że wszystko idzie dobrze. Rzecz w tym, że między „nie wszystko idzie dobrze" a „wiemy, co zmienić" jest spora przestrzeń. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Szafarki genderowe

W naszych kościołach – jak informuje „Przewodnik Katolicki" – „nadzwyczajnych szafarzy Komunii Świętej są tysiące i wciąż przybywa nowych". Teraz w Łodzi pojawią się szafarki. Szafarze mieli być „nadzwyczajnym" wyjątkiem od powszechnej normy tradycji, by Komunii Świętej udzielał kapłan lub diakon. Sytuacje nadzwyczajne, owszem, się zdarzają, choć tu i teraz raczej teoretycznie. Święty kardynał Newman opowiada, jak św. Bazyli potwierdzał, że „w czasie prześladowań wolno w wypadku nieobecności kapłana lub diakona wziąć Komunię »swoją własną ręką«". W życiu społecznym (a Kościół jest również widzialną społecznością) wyjątek często bywa najlepszym świadkiem reguły.

Nie będę w tym miejscu rozważał, bo to osobny temat, nadzwyczajności udzielania Komunii przez świeckich mężczyzn. Ale skoro „są ich tysiące i wciąż przybywa nowych" – to czemu jeszcze szafarki?

Wydaje się, że głównie z „potrzeby" adaptacji do ideologii tego świata, genderowej (dla której płeć to fakt najwyżej przypadkowy) i feministycznej (dopatrującej się „dyskryminacji" we wszelkich formach odmiennych ról mężczyzn i kobiet). Zacieranie różnic między Kościołem i światem w tym wypadku prowadzi do stopniowego zacierania różnic między Chlebem z Nieba i doczesnym posiłkiem.

Powie ktoś: zacieranie zbyt jaskrawo zarysowanych różnic nie jest jeszcze ich znoszeniem. To prawda, jednak tu różnice powinny być wyraźne i widoczne. Przez te szczególne znaki Kościół wyznaje swą wiarę w Boski charakter Eucharystii. Właśnie taki sens mają procesje Bożego Ciała, w których w tym miesiącu szliśmy. Eucharystia jest widzialnym sercem naszej wiary. Umniejszanie znaków czci wobec Ciała Chrystusa to śmiertelna choroba współczesnego życia religijnego. Natomiast świadomość choroby jest najczęściej pierwszym krokiem w jakiejkolwiek próbie powrotu do zdrowia. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Berlusconi

Zażenowaniem i politowaniem czytam popełniane w Polsce żałosne teksty poświęcone Silviowi Berlusconiemu. Zazwyczaj siląca się na wesołość narracja (bunga-bunga motywem przewodnim) sprowadza postać kontrowersyjnego geniusza do lubieżnego cyrkowego klauna. Berlusconi, mimo swoich wad, gaf, skandali i haniebnych wypowiedzi na temat wojny w Ukrainie, Zełenskiego i Putina, naprawdę godny jest salwy honorowej.

Był synem urzędnika bankowego i sprzątaczki. Zrealizował amerykański mit od pucybuta do milionera. Był jak król Midas. Wszystko, czego się dotknął, zamieniało się w złoto. Postawił najnowocześniejszą we Włoszech dzielnicę mieszkaniową na peryferiach Mediolanu. Ceny mieszkań były takie jak w prestiżowym i najdroższym centrum miasta, ale Włosi kupowali je na wyścigi. Stworzył włoską telewizję prywatną i został najbogatszym Włochem. Zakupił upadający klub piłkarski AC Milan, który niebawem został najlepszą drużyną na świecie. W 1994 r. wydawało się, że władzę we Włoszech przejmą postkomuniści. Berlusconi wbrew opinii swoich doradców i przyjaciół stworzył liberalną partię Forza Italia. Kilka miesięcy później był premierem.

Wraz z nim do władzy po raz pierwszy po wojnie doszła prawica. Udało mu się na 20 lat ustabilizować sytuację polityczną w Italii, gdzie przedtem rządy zmieniały się dwa razy w roku. Powstały dwa bloki, lewicowy i prawicowy, z wyrazistym programem, które zmieniały się u steru władzy, ale o wiele rzadziej niż przedtem.

Miał przeciwko sobie darzące go nienawiścią i pogardą postępowe elity, większość mediów i artystów. Jednak lewicy udało się pogrążyć Berlusconiego dopiero po 20 latach. Ale nie w wyborach, tylko dzięki sojusznikom w wymiarze sprawiedliwości. Wytoczono mu ponad 30 procesów, w tym absurdalny o organizację zamachów bombowych. Skazany został raz. Za korupcję, której nie popełnił. Wykluczyło go to z polityki na kilka lat. Potem został zrehabilitowany, ale pozycji politycznej odbudować nie zdołał. Zmarł 12 czerwca w wieku 86 lat. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

CZYTAJ TAKŻE „SILVIO BERLUSCONI: MILIARDER JAK ZWYKŁY WŁOCH" NA STRONIE 78

eprasa.pl 9223c44521

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

A MOŻE TO ZAZDROŚĆ?

Sami nie wezmą, innym nie dadzą – tak najkrócej można podsumować polityczno-medialny szum (pomińmy aspekt artystyczny) wokół 60. Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Namnożyło się nam bowiem w show-biznesowym światku psów ogrodnika, które oburzają się niemożliwie na to, że są artyści, którzy mają czelność występować na imprezie organizowanej przez „reżimówkę" (czytaj: Telewizję Polską). Oni sami – jak wynika z gorących zapewnień – brzydzą się tym wydarzeniem i absolutnie nie chcą mieć z nim nic wspólnego. „Obecne Opole to nie festiwal, tylko deska starych serów z deski Prezesa" – ocenił Krzysztof Skiba z zespołu Big Cyc. Rzecz jasna, Skiby w opolskim amfiteatrze nie zobaczyliśmy, bo nawet gdyby chciał się pojawić na jego deskach, to po prostu nie był zaproszony. Showman ma jednak z wydarzeniem duży problem. I wyraża go w mało elegancki sposób. „Boże! Dopomóż, abyśmy nie zestarzeli się tak beznadziejnie, jak »gwiazdy« Opola" – filozofuje muzyk. Z kolei były dziennikarz TVP Maciej Orłoś poszedł o krok dalej i kilka tygodni przed festiwalem agitował na rzecz jego... odwołania. To się jednak nie udało, więc Orłoś postanowił kąśliwie komentować przebieg imprezy. Nie spodobał mu się apel prowadzącego Tomasza Kammela, który zwrócił się do artystów bojkotujących wydarzenie, aby wrócili do występów dla opolskiej publiczności. „Tomasz Kammel zaapelował do nieobecnych na festiwalu w Opolu artystów, żeby w końcu się tam pojawili. Brawo, Tomku! Wspaniały apel! Też jestem za tym, żeby coś się jesienią zmieniło i żeby za rok na opolskiej scenie było normalnie" – stwierdził kąśliwie Orłoś. A wystarczyło pozwolić Skibie zaśpiewać, powierzyć rolę konferansjera Orłosiowi i byłby spokój. Zazdrość ludzka rzecz.

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

MONIKA WSZECHWIEDZĄCA

À propos osób, które ewidentnie by chciały, ale nie mogą. Warto odnotować wypowiedź Moniki Richardson, która jako była prowadząca śniadaniowy program „Pytanie na śniadanie" w TVP2 chętnie recenzuje obecnych gospodarzy popularnego show. „Zawsze chciała tam wrócić, więc fajnie, ale to nie jest moja telewizja, więc nie bardzo interesuje mnie, co się tam dzieje, jakie ludzkie przetasowania. Anna jest człowiekiem tamtej ekipy, więc rozumiem, że używają jej, jak chcą" – tak niedawno Richardson skomentowała powrót do programu Anny Popek. Teraz z kolei postanowiła podzielić się swoimi przemyśleniami na temat Kasi Cichopek i Macieja Kurzajewskiego. Zaczyna się miło. – Jestem fanką Kaśki na antenie i, naprawdę, wiesz, że nie mam żadnego interesu, żeby to powiedzieć – tak uważałam, że Kasia Cichopek powinna prowadzić ten program. Lata temu uważałam, że jest stworzona do tego programu. Jest dokładnie taka, jaka powinna być prowadząca – zachwala Monika. Znacznie mniej łaskawa jest wobec Kurzajewskiego. – Natomiast co do Maćka, to nie cenię go. Jest sztuczny. No, jest plastikowy. Gra coś, a nie jest dobrym aktorem – podsumowała prezenterka. Sympatycznie.

PRZYJAŹNI NIE BĘDZIE

Ogłaszam „inba alert". Po jednej stronie ringu „trenerka mentalna" Agnieszka Kaczorowska, po drugiej znany trener gwiazd „Qczaj", czyli Daniel Kuczaj. Wracamy na chwilę do prehistorii: Aga napisała kiedyś skrytykowany na tysiąc różnych sposobów post o „modzie na brzydotę" (trzeba dążyć do perfekcji, wymagać od siebie więcej itd., itp.), co bardziej spodobało się Kuczajowi, który wyznaje wizję „ukochania samego siebie" (najważniejsze to kochać siebie takiego, jakim się jest; dopiero wtedy możliwe są zmiany itd., itp.) i publicznie skrytykował wpis Kaczorowskiej. Tych dwoje spotkało się później przy wspólnym projekcie teatralnym. Chcieli wyjaśnić swój internetowy spór, ale chyba nie do końca się udało. W jednym z niedawnych wywiadów Bożenka z „Klanu" zarzuciła trenerowi celebrytów, że „podsycał ognisko hejtu", i nazwała go „hipokrytą". Fit-influencer nie pozostawił tych słów bez odpowiedzi. „Wiadomo, że ty jesteś kłamczuchą. Ale na to, co dziś opowiadałaś, nie mogę nie zareagować. Mianujesz się »kołczynią«, ukończyłaś różne kursy motywowania ludzi, pięknie mówisz o granicach i o tym, jak sama je stawiasz... Jednak jednym z powodów, dla których zostałaś zwolniona i o którym ja wiem, było właśnie nieszanowanie czyichś granic" – przekazał „Qczaj" w instagramowym orędziu, nawiązując do zerwania współpracy z Kaczorowską przez teatr Tu i Teraz. Dalej wysunął pod adresem celebrytki dość poważny zarzut: „Jako niepijąca osoba uzależniona informuję o swoim problemie osoby, z którymi przebywam i pracuję. Mówię po to, by miały świadomość, by wykazały się jakąś empatią. Jednak ty, Agnieszko, miałaś to w głębokim poważaniu, miałaś to po prostu w dupie, chlając wino w busie w drodze z Sosnowca do Wrocławia". Może, bo to przecież teraz bardzo modne, coach Aga i trener „Qczaj" wyjaśnią to sobie w oktagonie? ©℗

eprasa.pl 9223c44521

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ciekawa sprawa i ciekawa forma protestu. Otósh szwedzkie aktywistki klimatyczne oblały farbą obraz Claude'a Moneta, a następnie przykleiły się do jego ramy, iżby w ten sposób zwrócić uwagę na zmiany klimatyczne zachodzące na świecie.

Of kors takie wyrażenie siebie nam nie przeszkadza, zwłaszcza iż uwielbienie dla historii sztuki, kolekcjonowanie obrazów, rzeźb czy innych antyków to zajęcie dla drobnomieszczańskiego potomstwa tenkrajowej inteligencji. Dlatego jeśli sztuka, to tylko nowoczesna, ale to tak na marginesie.

W każdym razie podziwiamy nieoczywisty dobór środków do realizacji tego wyższego celu i mamy kilka podpowiedzi dla różnej maści aktywistów, w jaki sposób mogą podejmować takie różne akcje mające na celu zwracać uwagę na różne problemy.

W ramach zwrócenia uwagi na problem zanieczyszczenia mórz i oceanów zachęcamy, aby założyć sobie rondle na głowy, a następnie przykleić się tymi rondlami do fasady budynku najbliższego ministerstwa, nieważne którego, oczywiście uprzednio oblawszy ją farbą.

Przerwanie meczu piłkarskiego poprzez wybiegnięcie na murawę i oblanie farbą sędziego asystenta będzie idealnym sposobem, aby w nieoczywisty i kreatywny sposób zwrócić uwagę na problem przemocy ekonomicznej i niedostatecznej reprezentacji kobiet w Konferencji Episkopatu Polski. Of kors nie należy zapomnieć o przyklejeniu się czołem do poprzeczki bramki.

Z kolei aby podkreślić konieczność rozwoju elektromobilności i stosowania paliw alternatywnych, można np. oblać farbą regał z nabiałem w biedrze, a następnie przykleić się do kasy samoobsługowej.

Jak widzicie, w każdym z proponowanych działań pojawia się motyw oblewania farbą oraz przyklejania się do czegoś. Złośliwi mogliby powiedzieć, że to wtórne, no ale znacie nas – lubimy podążać za modą, zwłaszcza kiedy ta moda nam się podoba.

Ech, kochani, o cebulactwie i mindsecie Polaków odcinek kolejny. Tym razem okazało się, iż Eurostat, a więc instytucja szanowana i poważana, skoro ma w nazwie „Euro", zlecił badania, według których Polacy najmują zbyt małe mieszkania. W za ciasnych lokalach mieszkalnych żyje bowiem ok. 65 proc. osób, które wynajmują mieszkania.

No i znów to, co wszyscy wiemy: małe domy, stare samochody, wakacje na działce, tania kiełbasa i piwo z biedry na grilla. O ile w ogóle wakacje, bo według innych badań co czwarty Polak nie zamierza nigdzie wyjeżdżać.

Gdybyśmy tylko bardziej otworzyli się na Europę i zobaczyli, iż można żyć inaczej, to pewnie byłoby łatwiej zmienić te mapy mentalne. A tak, to cóż, jest jak jest, będzie jak jest. Na szczęście Platforma chce wprowadzić 600 zł do wynajmu mieszkania, co oczywiście w odróżnieniu od „500+" nie jest rozdawnictwem ani zasiłkiem, a realnym wsparciem, taka różnica.

A tak w ogóle, kochani, to czeka nas zapaść gospodarcza połączona z końcem świata, Armageddonem, Apokalipsą i innymi sprawami ostatecznymi, iż rząd podnosi od nowego roku płacę minimalną.

Jeden z naszych frendów z kolektywu, który lubi czytać media dla menedżerów i czeka na zmianę władzy, iż wtedy wreszcie zwolni się stołek nowego z Tarnowa, to wieszczy nawet, iż inflacja sięgnie 150 proc., niebo się rozedrze na pół i wszyscy rozsądni ludzie będą wypatrywać Balcerowicza na białym koniu.

Trochę nam teraz głupio, iż przecież przez lata postulowaliśmy zrównanie płacy minimalnej ze średnią krajową i teraz to już sami nie wiemy, czy w naszych poglądach lewicowo-liberalnych jesteśmy bardziej lewicowi czy bardziej liberalni. Dlatego na razie siedzimy cicho i przyłączymy się po fakcie do tych, którzy mieli rację xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Pełen restart

Mateusz, kampania nam się rozjeżdża, musimy ostro zagrać.
Jaki masz pomysł, Jarku?

Zrobimy przetasowanie. Ja wejdę jako wicepremier i minister rolnictwa.
Ale przecież, z całym szacunkiem, ty na rolnictwie to tak średnio się znasz.

I o to chodzi – nikt się nie spodziewa! Poza tym – co, ja krowy nie widziałem? Telusa damy natomiast za Błaszczaka...
Ale Telus się nie zna...

I bardzo dobrze! Będzie miał świeże spojrzenie. Błaszczaka rzucimy zamiast Adamczyka na drogi, Adamczyka damy na edukację, Czarnka przerzucimy na sprawy wewnętrzne, a Kamińskiego damy do finansów. Rysiu Terlecki wejdzie za Raua.
A Rau?

Niech jedzie do Gujany na ambasadora. I tak zamącimy, że nikt się już w niczym nie połapie. Pełen restart. Totalny efekt zaskoczenia! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie było w Europie tak bardzo »rosjosceptycznego« rządu jak rząd Donalda Tuska [...]".

***JAN HARTMAN**, filozof, publicysta, w felietonie dla „Polityki"*

eprasa.pl 9223c44521

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jak pamiętacie, śledzimy dzieje niesprawiedliwości dziejowej, czyli odmowę sfinansowania przez PISF filmu Agnieszki Holland o Franzu Kafce po tym, jak przegięła z „Zieloną granicą". Holland w prasie przyznała: „Powiedziałam panu Śmigulskiemu coś nieprzyjemnego pod wpływem silnych emocji, czego nie ma sensu teraz powtarzać. Wypowiedziałam tylko jedno zdanie, które mogło być źle zrozumiane". Czas ujawnić to zdanie. Otóż wybitna Agnieszka wykrzyczała, że szefowi PISF bliżej jest do Rudolfa Hössa niż Franza Kafki. Jeśli ktoś by nie wiedział, to Höss był komendantem KL Auschwitz-Birkenau.

Holland zapewnia, że skończyła zdjęcia do „Zielonej granicy" o dobrych migrantach i strasznych Polakach. Nasze wiewiórki jednak wypatrzyły ekipę Holland rozpraszającą sztuczny śnieg w okolicach Konstancina. Słyszano też strzały z broni maszynowej. Przypuszczamy, że kręcono tam sceny znane z opowieści dezertera Emila Czeczki, który opowiadał w białoruskiej telewizji, że polscy żołnierze byli upijani i mordowali migrantów. Cóż, od czasu serialu „Wataha", wyreżyserowanego przez córkę Agnieszki Holland, nic nas nie dziwi. Tam była też scena, jak pijana polska tłuszcza puszcza z dymem ośrodek dla uchodźców. Warto może dodać, że w Polsce nigdy nie podpalono żadnego ośrodka dla uchodźców. Za to w Niemczech już dziesiątki. Wierzymy więc, gdy Holland mówi, że jej film będzie oparty na faktach. Tyle tylko, że będą to fakty niemieckie.

Musimy wrócić do notki sprzed tygodnia i obronić dobre imię rzecznika MSZ Łuksza Jasiny. Na łączach z wiewiórkami pomyleniu uległy personalia dwóch panów J. Tym, który doprowadził do szału szczyty z Nowogrodzkiej, był wicek Paweł Jabłoński. To on wyszykował sławetne kuriozalne oświadczenie zaczynające się od zdania: „Polska szanuje opinie i uwagi naszych sojuszników dotyczące przepisów krajowych". Zwrot „przepisów krajowych" rozpalił niektórych do białości. Łukasza Jasinę przepraszamy, a wszystkim innym panom J. z MSZ przypominamy, że to nie oni kreują politykę Polski.

Musimy też przyznać się do jeszcze jednego błędu w poprzednim wydaniu naszej rubryki. Otóż pisaliśmy, że IPN wycofał się z publikacji broszury o zbrodni wołyńskiej. Informacja okazała się nieścisła, a przez to nieprawdziwa. Za co przepraszamy. Faktem jest, że broszura taka była przygotowywana przez naukowca związanego do niedawna z IPN. Jednak już tam nie pracuje. Broszura była pisana na potrzeby innej instytucji i to ona zrezygnowała z jej publikacji. IPN zaś w związku z rocznicą zbrodni wołyńskiej przygotowuje wiele publikacji oraz obchodów rocznicowych.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Wiewiórki z Peło opowiadają, że Zły Donald z Sopotu jest w euforii po Marszu Trzydziestu Milionów. I włączył mu się na full tryb „mesjasz". Co sprawia, że jest jeszcze bardziej nieznośny niż zwykle. Jednym z wyrazów włączenia przez Donalda trybu „mesjasz" był słynny tweet: „Z PiS konsultować możemy warunki ich kapitulacji. O przyszłości rozmawiać będziemy w gronie patriotów". Nam też się podobał. Uwielbiamy, kiedy Donald mówi o patriotyzmie. Hipokryzja to wszak hołd, który występek składa cnocie. A my uważamy, że cnota OK!

Czekamy też na kolejny Wielki Marsz. Na koniec wakacji w Gdańsku, w rocznicę powstania Solidarności. Nie w dokładną rocznicę, bo akurat 31 sierpnia wypada w czwartek, ale w okoliczną niedzielę. Podpowiadamy sztabowcom Peło, że 27 sierpnia jest niedziela handlowa, bo trzeba dzieciakom kupić do szkoły kredki oraz podręcznik „Historia i teraźniejszość". Podejrzewamy więc, że wielki Marsz Trzydziestu Milionów (a czemu nie, może nawet Czterdziestu Milionów!) odbędzie się w niedzielę 3 września.

Niezależnie od tego, kiedy odbędzie się Wielki Marsz Czterdziestu Milionów w Gdańsku, wiązał się z nim będzie pewien problem. A mianowicie: co robić z Lechem Bolkiem Wałęsą. Jako osobnicy w fazie wakacyjnego leniuchowania podpowiadamy: najlepiej już nic z nim nie robić.

Wakacje, czas relaksu i zagranicznych wycieczek. Zazdrościmy tym, którzy nie musieli czekać na lato, żeby było fajnie. Bo łączą przyjemne z pożytecznym w ramach pracy. W ramach wakacyjnych leniwych plotek o dalekich podróżach doszła do nas wiadomość o tym, jak to było, gdy senator Aleksander Pociej z Peło na początku maja podróżował był po Francji jako przewodniczący Senackiej Grupy Polski-Francuskiej. Francja duży kraj, więc trzeba było przemieszczać się samolotami. W jednym z nich godność senatora polskiego została poddana ciężkiej próbie.

Już opowiadamy. Z zastrzeżeniem, że to na pewno muszą być wymysły złych ludzi i że my w nie absolutnie nie wierzymy. Otóż podczas jednej z podróży w ostatniej chwili podmieniono samolot na inny, w wyniku czego senator Pociej wylądował na miejscu nieopodal samolotowej toalety, na samym końcu. Bohaterski patriota miał natychmiast zareagować na ten afront licznymi gromkimi okrzykami. Ich adresatem była Bogu ducha winna pracownica Senatu. Niestety, antypolsko nastawieni współpasażerowie nie przyjęli przychylnie bardzo głośnych komunikatów, z których wynikało, że senator RP przy kiblu siedzieć nie będzie. Z tego, co wiemy, samolotem leciała też senator Joanna Sekuła, ale ona nie krzyczała. Widać miała lepsze miejsce. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

NARODOWY BANK POLSKI

NBP

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Inflacja w Polsce jest typowa dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej sąsiadujących ze strefą konfliktu wojennego.

Inflacja w krajach Europy Środkowo-Wschodniej

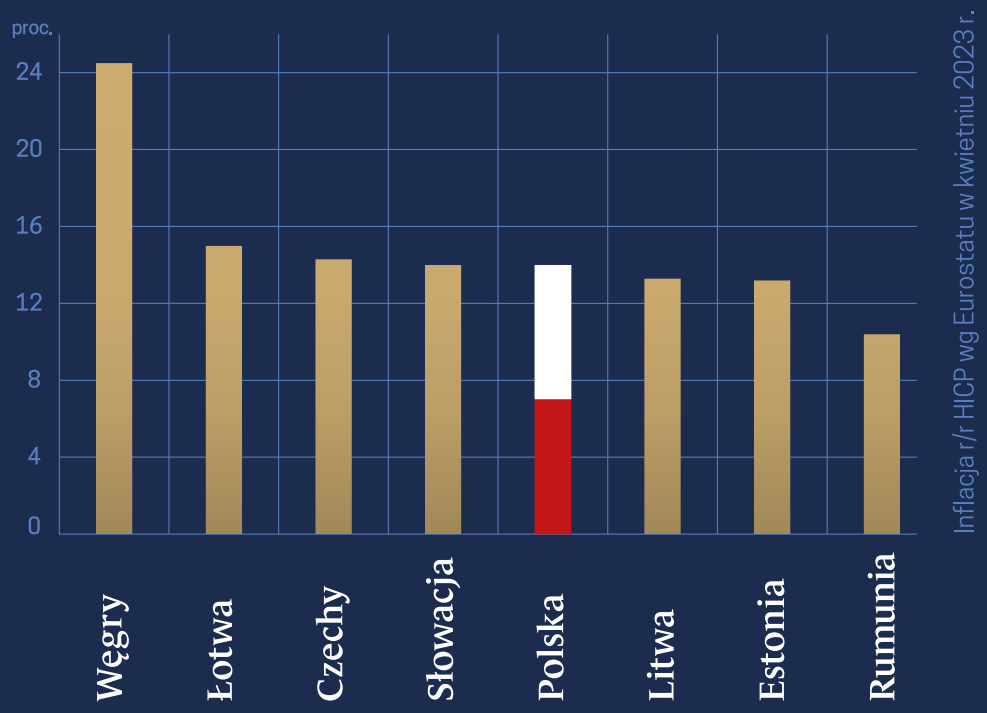

Węgry	Łotwa	Czechy	Słowacja	Polska	Litwa	Estonia	Rumunia
6.2021	7.2022	6.2021	7.2022	10.2021	7.2022	7.2022	10.2021

Daty rozpoczęcia cyklu podwyżek stóp procentowych.

eprasa.pl 9223c44521

eprasa.pl 9223c44521

DONALD TRUMP FORMALNIE POSTAWIONY W STAN OSKARŻENIA, ALE I TAK MOŻE WYGRAĆ

Były amerykański przywódca Donald Trump w ubiegły wtorek usłyszał w sądzie federalnym w Miami aż 37 zarzutów, w tym 31 dotyczących nielegalnego przetrzymywania informacji dotyczących bezpieczeństwa narodowego, a także sześć dotyczących utrudniania śledztwa, składania fałszywych oświadczeń etc.

Donald Trump – pierwszy były prezydent Stanów Zjednoczonych, któremu postawiono federalne zarzuty karne – nie przyznał się do winy. W przemówieniu wygłoszonym już poza salą sądową określił zaś zarzuty jako „śmieszne i bezpodstawne", jednocześnie zarzucając oskarżycielom, że swoim działaniem próbują ingerować w proces wyborczy.

Najnowsze sondaże pokazują, że mimo zarzutów kryminalnych Donald Trump ma nadal największe szanse na zdobycie republikańskiej nominacji. Wielu konserwatywnych wyborców jest bowiem przekonanych, że akt oskarżenia jest motywowany politycznie. Według sondażu Uniwersytetu Quinnipiac Trump nadal cieszy się poparciem 53 proc. zwolenników Partii Republikańskiej, podczas gdy drugi w wyścigu gubernator Florydy Ron DeSantis może liczyć na 23 proc. głosów. Kolejni kandydaci, w tym były wiceprezydent Mike Pence, była ambasador USA przy ONZ Nikki Haley czy były gubernator New Jersy Chris Christie, cieszą się poparciem na poziomie 4 proc. każdy. Wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych odbędą się 5 listopada 2024 r.

(jap) © ℗

FOT. JABIN BOTSFORD/THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

Polska specjalność eksportowa: kapuś

Rafał A. Ziemkiewicz

„Przeczołganie" przez donosicielską organizację sędziego piłkarskiego Szymona Marciniaka, które przebiło się do szerszej publicznej świadomości, było tylko częścią codziennej krzątaniny ludzi i organizacji, którzy w ramach ogólnego kapowania na Polskę, pod patronatem lewicowo-liberalnych „autorytetów" i mediów, urządzili sobie własne, intratne, delatorskie biznesy

Dwie dekady temu, w ramach programu jednej z fundacji wspierających samorządność, finansowanego przez nieistniejącą już agendę amerykańskiego rządu – USIA, gościłem z ekipą TVP w Ameryce, kręcąc reportaże o tamtejszym samorządzie. Wśród wielu innych odbyłem też wtedy rozmowę z urzędnikiem imigracyjnym. Był to czas, kiedy jako najważniejszy problem w stosunkach z mocarstwem zza oceanu kreowano w naszych mediach sprawę wiz turystycznych dla Polaków: byliśmy ostatnią nacją europejską, której ich nie udzielano, co sprawiało, że każdy Polak musiał przechodzić pełną, dość kłopotliwą i upokarzającą procedurę ubiegania się o prawo wjazdu do USA w ich warszawskiej ambasadzie.

Przyczyną tego szczególnego traktowania były statystyki, zgodnie z którymi obywatele Polscy bodaj najczęściej dopuszczali się podczas pobytów deklarowanych jako turystyczne naruszeń amerykańskiego prawa – tzn. masowo przyłapywani byli na pracy „na czarno".

Zapytałem więc mojego rozmówcę, czy rzeczywiście Polacy podejmują nielegalną pracę częściej niż inni. Odpowiedział, że wedle jego wiedzy wcale nie. Jednak – powiedział – kiedy pracę na czarno ma, dajmy na to, Meksykanin czy Kolumbijczyk, to inni Meksykanie czy Kolumbijczycy stoją za nim murem, zgodnie się zaprzysięgają, że ten pan tu tylko przechodził i może przypadkiem oparł się raz czy drugi o łopatę, ale o żadnej pracy mowy nie ma. Bardzo trudno w takiej sytuacji postawić formalne zarzuty. A Polacy donoszą jeden na drugiego z takim zapałem, że jeśli tylko jednemu uda się trochę zarobić, to on – tzn. mój amerykański rozmówca – ma zaraz na biurku donosy od trzech innych, ze wszystkimi szczegółami. Stąd właśnie takie, a nie inne statystyki.

Mając tę rozmowę w pamięci, uzupełnioną o wiele późniejszych doświadczeń, wcale nie byłem zdziwiony donosem stowarzyszenia Nigdy Więcej na sędziego piłkarskiego Szymona Marciniaka – donosem, wskutek którego Polakowi groziło odsunięcie od prowadzenia prestiżowego meczu i został zmuszony do złożenia upokarzającej, stalinowskiej „samokrytyki", mimo że wszystkie zawarte w donosie oskarżenia były kłamstwami i manipulacjami. Po prostu pierwszy raz złośliwość lewackich kapusiów dosięgnęła człowieka tak znanego i sprawy tak prestiżowej (nigdy jeszcze żaden Polak nie został zaproszony do prowadzenia finału Ligi Mistrzów), stąd i więcej o Marciniaku mówiono.

PRZEMYSŁ DONOSZENIA NA POLSKĘ

Jednak w III RP rozwinął się przecież, szczególnie w ostatnich latach, cały dochodowy przemysł donoszenia na Polskę i Polaków. Paskudny polski nawyk załatwiania porachunków z sąsiadem czy rywalem poprzez donos do ekonoma, gestapo czy milicji – smutne dziedzictwo pańszczyzny, rozbiorów i okupacji – spotkał się z rozkwitem na Zachodzie ruchów woke oraz cechującej je cancel culture i podniesiony został przez oszalałe z nienawiści do PiS „elity" do rangi zachowania szanowanego.

Z różnych względów te zachodnie nastroje doskonale wpasowały się bowiem

eprasa.pl 9223c44521

FOT. ADOBE STOCK

w oczekiwania lewicowo-liberalnej strony polskiej debaty publicznej. W narastającej na Zachodzie tendencji do eliminowania z życia publicznego wszelkich poglądów tradycjonalistycznych, a szczególnie patriotycznych, „nacjonalistycznych", uzbrojonej w potężne środki instytucjonalne, zobaczyła ona nadzieję na odegranie się na znienawidzonym, a stale z nią zwyciężającym, „Polaku katoliku".

Specyfikę polskiej lewicy, od samego jej zarania, określało poczucie słabości i oderwania od mas. Już pierwocina późniejszych polskich ruchów socjalistycznych, XIX-wieczna Gmina Narodowosocjalistyczna w swym programowym piśmie „Samoobrona" (oczywiście te słowa nie niosły wtedy współczesnych skojarzeń), formułowała postulat oparcia się na „inteligentnym proletariacie" – pracownikach umysłowych, studentach, „wysadzonych z siodła" potomkach ziemiaństwa, ponieważ proletariat jako taki pozostawał pod przemożnym wpływem sił reakcyjnych: katolickiego kleru i szermujących legendą kościuszkowskich kosynierów stronnictw patriotycznych. W doświadczeniu polskiej lewicy i wyrastającego z niej liberalnego nurtu inteligencji mieściły się takie fakty historyczne jak ten, że powołany w odpowiedzi na agitację socjalistów endecki Narodowy Związek Robotniczy szybko osiągnął wielokrotnie większy zasięg i podczas ruchawek 1905 r. skutecznie zwalczał bojówki PPS, które terrorem usiłowały zmusić robotników do udziału w strajkach.

Ciekawie o tym doświadczeniu opowiadał Jerzy Giedroyc w mało znanym wywiadzie rzece „Ostatnie lato w Maisons-Laffitte" (z Hanną Marią Gizą, Wrocław 2007), gdzie sformułował wręcz zasadę, że w beznadziejnie katolicko-patriotycznej Polsce lewica nigdy nie zyska demokratycznego mandatu dla swego postępowego programu, dlatego musi go wprowadzać w sposób zakulisowy, przebiegłymi kombinacjami na zapleczu. Jednak to nie Giedroyc stał się symbolem tej postawy, ale filozof Tadeusz Kroński, który w znanym liście do Czesława Miłosza cieszył się z sowieckiej okupacji i zapowiadał: „My kolbami sowieckich karabinów wybijemy Polakom z głów zacofanie i nauczymy ich myśleć racjonalnie!".

OPOZYCJA ŻEBRZĄCA O SANKCJE

Pańszczyźniany lud chętnie (dowodzą tego niestety twarde dane, oparte na archiwaliach) sięgał po donos i obmowę przed „panem" – czy był nim folwarczny ekonom, okupant czy inna władza – ale przynajmniej się tego wstydził. Wierna dziedzictwu Krońskiego współczesna formacja lewicowo-liberalna natomiast w ogóle zdjęła z tego kulturowe tabu. Stąd haniebny fenomen, iście na światową skalę, jakim jest zachowanie polskiej opozycji – a także sympatyzujących z nią intelektualistów – za granicą. Nie ma drugiego takiego wypadku, aby w państwie demokratycznym opozycja polityczna po przegranych wyborach starała się odwrócić ich wynik, żebrząc za granicą o potępiające rezolucje, sankcje i inne formy nacisku na własny kraj. Przeciwnie, gdy te same grupy polityczne i instytucje unijne, które wykorzystują do tego celu PO i Lewica, zaoferowały podobną „pomoc" przegranym w wyborach socjalistom czeskim, usłyszeli od traktowanych przez wielu Polaków z góry „pepików", że Czesi swoje czeskie sprawy mają zwyczaj załatwiać u siebie.

Politycy polskiej opozycji nie czują jednak żadnego zażenowania, zwracając się „do Europy" czy „do Ameryki" jako instancji wyższych, władnych dostarczyć im swoimi dyrektywami i oświadczeniami współczesnej wersji „kolb" do wybijania Polakom z głowy „zacofania". Jeśli zdarzy się możliwość zapytania ich o przyczyny tego bezwstydu, to z oburzeniem porównują swych krytyków do Gomułki czy Jaruzelskiego oraz ich propagandystów, krytykujących za czasów PRL-owskich KOR czy Solidarność za przyjmowanie zagranicznego wsparcia.

W swoim tożsamościowym dyskursie liberalna lewica ustawiła się więc na takiej samej pozycji wobec „wolnego świata", jak, powiedzmy, dysydenci z Iranu czy Tybetu, alarmujący świat o prześladowaniach doznawanych przez ich narody z rąk totalitarnych reżimów czy okupantów. Władza PiS – a taki sam był przed laty stosunek michnikowszczyzny do prezydentury Wałęsy, zanim nie połączyły ich świadomość, że wszystkim nogi wyrastają z tych samych teczek, i zrodzony z niej lęk przed „lustratorami" – choć legitymizowana demokratycznymi wyborami, traktowana jest jak narzucona, obca. Kto jest tym naszym okupantem, kto narzucił ten „reżim", przed którym proszą o obronę zachodnie instytucje Radek Sikorski, Andrzej Halicki czy Robert Biedroń? Tę narrację jasno sformułował już w pierwszym szoku po wyborczej klęsce w 2015 r., w studiu TVN24, prof. Radosław Markowski: „Wieś narzuciła nam prezydenta". Tu znowu przypadkiem mental polskiej lewicy spotyka się ze sposobem myślenia współczesnych liberalnych elit Zachodu, które demokrację akceptują tylko w takich granicach, w jakich jest ona autoryzowana przez nie same, decydujące za pomocą swej opiniotwórczej siły, kto ma prawo głosić swoje poglądy i wygrywać głosowania, a kto nie.

Stąd płynie zdecydowane przyzwolenie lewicowo-liberalnych salonów na donoszenie na własny kraj czy więcej nawet – podniesienie tego donosicielstwa do rangi podobnego bohaterstwa, którym była działalność w antykomunistycznym podziemiu, choć ludzie sypiący denuncjacjami na rzekomo „łamiącą podstawowe prawa obywatelskie" Polskę bynajmniej nie cierpią żadnych prześladowań, przeciwnie –

eprasa.pl 9223c44521

całymi garściami czerpią z tej aktywności rozmaite profity. Co więcej, obejmuje ono także przyzwolenie na posługiwanie się w walce z „okupującą" Polskę „PiS-owską ciemnotą", z najgrubszymi nawet kłamstwami. Tożsamość lewicowo-liberalna i jej wyższościowy dyskurs obejmują bowiem także zasadę, którą ostatnio sformułował wprost Waldemar Kuczyński w twitterowym sporze z Leszkiem Balcerowiczem: gdy ten drugi skrytykował składanie fałszywych wyborczych obietnic jako „niemoralne", były „zausznik" Tadeusza Mazowieckiego odpalił mu: „Moralne jest wszystko to, co służy wygranej z PiS!".

SAME KŁAMSTWA

Lewicowo-liberalni kapusie nie mają więc żadnego problemu nie tylko z tym, że swymi donosami prowokują do działań wymierzonych we własną ojczyznę (samo pojęcie jest im głęboko obce, choć ostatnio wątki patriotyczne pojawiły się w opozycyjnym dyskursie, na tej samej zasadzie, co licytowanie się w obietnicach socjalnego rozdawnictwa), lecz także z tym, że rzucają na nią oszczerstwa.

Większość głośnych denuncjacji ostatnich lat i sprowokowanych nimi działań przeciwko Polsce oparta była na całkowitych kłamstwach. Upadłe „elity" pomagdalenkowej III RP nie mają jednak żadnego problemu z tym, żeby uchwały zakazujące wprowadzania do szkół „edukatorów" organizacji niemających na to zgody władz oświatowych i rodziców prezentować Zachodowi jako „tworzenie stref wolnych od LGBT", z celowym graniem sugestią, że chodzi o jakieś strefy, do których zakazuje się wstępu homoseksualistom. Ani Bart Staszewski, rozpowszechniający to kłamstwo chwytliwymi propagandowo, sfałszowanymi przez siebie samego zdjęciami, ani Robert Biedroń, który z trybuny Parlamentu Europejskiego kłamał w żywe oczy, że w Polsce jako homoseksualiście zakazuje mu się wstępu do restauracji, mimo oczywistego łamania elementarnych zasad przyzwoitości nie przestają być dla polskich liberałów bohaterami. Nie spotkało się z najmniejszym przejawem krytyki przedstawianie Zachodowi projektu ustawy przewidującej kary za prezentowanie treści nacechowanych seksualnie nieletnim jako „próby zakazu edukacji seksualnej" czy też obywatelskiego (!) projektu ustawy aborcyjnej jako „nasyłania przez rząd PiS na ciężarne kobiety prokuratorów". Przeciwnie: wszystko, co służy przedstawieniu cywilizacyjnej metropolii tutejszych tubylców i wybranych przez nie władz jako zacofanej, prymitywnej tłuszczy i uzyskaniu stamtąd większej liczby jeszcze mocniejszych „kolb" do wybijania Polakom tego zacofania z głów – jest moralne.

Skoro tak się zachowują liderzy polityczni, to trudno się dziwić goniącym za poklaskiem artystom czy dziennikarzom. Specjalnością polskiej kinematografii stały się filmy prezentujące publiczności zachodnich festiwali Polskę jako nieopisaną dzicz i ciemnotę. „Pokłosie" Pasikowskiego, gdzie na współczesnej polskiej wsi ciemne chłopstwo przybija głównego bohatera za otwartość na Żydów do drzwi stodoły, „Twarz" Szumowskiej, gdzie chłopiec po przeszczepie twarzy pada ofiarą zabobonnej wsi jako „diabeł", „Mowa ptaków" Żuławskiego, gdzie w warszawskim liceum uczniowie neonaziści pod wodzą księdza katechety i z aprobatą dyrektora katują na oczach całej szkoły nauczyciela za to, że powtórzył im stare antykatolickie koncepty Witkacego (później wplecione są w narrację o tychże nazistach autentyczne zdjęcia z Marszu Niepodległości), „Obywatel" Stuhra, przedstawiający Solidarność jako ruch bardziej antysemicki niż antykomunistyczny, „Pokot" Holland według powieści Tokarczuk… Można by mnożyć. Groteskowe wizje Polski przypominającej pogrążoną w mrokach średniowiecza Transylwanię z klasycznego „Draculi" zapewniają pochwały recenzentów, zachwyty, dotacje, wypłacane, co prawda, przez „państwo PiS", ale zarządzane przecież przez „środowisko", i zagraniczne nagrody – jeśli nie za artyzm, to dla okazania solidarności z polskimi przyjaciółmi, zmuszonymi do życia w oblężeniu przez tak straszliwą ciemnotę.

„KRYTYKA MEDIÓW ZACHODNICH"

Nie inaczej jest w innych dziedzinach sztuki, a szczególnie w dziennikarstwie. Odwołując się do kolonialnego kompleksu Polaków wobec Zachodu, media lewicowo-liberalne wypracowały metodę okładania Polaków, niczym pałą, krytyką mediów zachodnich. Przy czym te krytyki albo są inspirowane przez polskich „przyjaciół" i „informatorów" (co oczywiście nie zdejmuje winy z europejskich czy amerykańskich gazet, ani myślących konfrontować jednostronne, ale oczekiwane opinie z faktami czy ze źródłami niezależnymi), albo wręcz pisane są przez pracowników mediów polskojęzycznych. Te z kolei powtarzają potem z lubością, że „renomowany amerykański dziennik" czy portal napisały o polskim antysemityzmie, łamaniu praw człowieka albo narodowo-katolickiej cenzurze, nie wspominając, że „renomowane" medium po lewicowo-liberalnej znajomości udostępniło swe łamy publicyście czy publicystce „Gazety Wyborczej" albo „Krytyki Politycznej". Niedawny artykuł w „New York Timesie" Karoliny Wigury i Jarosława Kuisza z portalu Krytyka Liberalna, z apelem do rządu USA, by zamroził stosunki z Polską dopóty, dopóki rządzi nią „reżim" PiS, jest tylko jednym z wielu podobnych lokowanych w licznych wpływowych zachodnich mediach. Charakterystyczna była też reakcja obojga na krytykę tej publikacji, w odpowiedzi na którą ogłosili się – a jakże – „ofiarami prawicowej nagonki" i „hejtu".

Swego czasu regularnie monitorował takie antypolskie publikacje piszących w obcych językach Polaków twitterowy profil „Nagroda Złotego Goebbelsa". Generalnie jednak cała opisana wyżej aktywność zagraniczna antypisowskich „elit" uchodzi zwykle uwadze przeciętnego Polaka. Nawet ekscesy takie jak niedawny występ Basila Kerskiego – uczynionego przez PO instytucjonalnym strażnikiem pamięci Solidarności – który wręczenie polskiemu naukowcowi zagranicznej nagrody zamienił w propagandową, orwellowską „godzinę nienawiści" wobec współczesnej Polski, w kraju przechodzą ledwie odnotowane.

„Przeczołganie" przez donosicielską organizację znanego sędziego piłkarskiego, które przebiło się do szerszej publicznej świadomości, było więc tylko częścią codziennej krzątaniny ludzi i organizacji, którzy w ramach ogólnego kapowania na Polskę, pod patronatem lewicowo-liberalnych „autorytetów" i mediów, urządzili sobie własne, intratne, delatorskie biznesy. Rafał Pankowski, założyciel – czy raczej, należałoby powiedzieć, właściciel – „antyfaszystowskiego"

eprasa.pl 9223c44521

stowarzyszenia słusznie uważany jest tutaj za przykład największego sukcesu. Dokumentując kiedyś temat na użytek programu „W tyle wizji", wydawca tego programu bez większego trudu znalazł w Internecie prawie 40 różnego rodzaju występów dr. Pankowskiego (do wszystkiego jest on wykładowcą Collegium Civitas), w światowych telewizjach, w tym tak egzotycznych, jak japońska czy koreańska, wszędzie poświęconych opowieściom o narastającym w Polsce nazizmie. Na stronie internetowej jego stowarzyszenia znaleźć można więcej podobnych nagrań – np. zapis udziału Pankowskiego w odbytym w Moskwie jesienią 2021 r. „trzecim międzynarodowym kongresie Protecting The Future, poświęconym walce z antysemityzmem, ksenofobią i rasizmem". Co prawda, do ubiegłego tygodnia film ten miał tylko 64 wyświetlenia, ale, doprawdy, Pankowski snujący Rosjanom opowieść o faszyzmie panującym na polskich stadionach wart jest większego audytorium – podobnie jak jego występy na dorocznych konferencjach antyantysemickich w Tel Awiwie, gdzie pomiędzy podsumowaniami liczby mordów, pobić, podpaleń, niszczenia synagog i cmentarzy w krajach zachodniej Europy pokazywał ze zgrozą figurki „Żyda z pieniążkiem", sprzedawane na warszawskiej Starówce, w takim tonie, że Polska, która w przeciwieństwie do Niemiec czy Francji „nic z tym nie robi", okazała się na tej konferencji najgorsza.

Donosy na Polskę, słane w świat przez niektóre organizacje, stają się podstawą całych propagandowych narracji

Finanse stowarzyszenia Nigdy Więcej, podobnie jak innych organizacji tego typu, są niejawne, trudno więc powiedzieć, czy skwapliwość, z którą Pankowski i mu podobni biorą udział przede wszystkim w imprezach organizowanych przez głównego putinowskiego sponsora walki z polskim antysemityzmem i demaskowania go przed światem, Wiaczesława Mojżeszowicza Kantora, ma swój wymiar finansowy czy wynika z czystej, być może przypadkowej zbieżności celów. Może powinny się sprawdzeniem tego zająć polskie służby. Donosy na Polskę, słane w świat przez takie organizacje jak Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych (wciąż kierowany przez ukrywającego się w Norwegii, prawomocnie skazanego oszusta Rafała Gawła) czy stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita, stają się bowiem podstawą całych propagandowych narracji, rezonujących – nie bez pomocy innych możnych promotorów i sponsorów – w światowej mediosferze, uwiarygadniane argumentem: przecież to samo mówią Polacy, nie mówiliby tak o swoim kraju, gdyby nie była to prawda. Bo to, że może być inaczej, normalnym krajom, niemającym tego okupacyjnego obciążenia, nie mieści się w głowach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Świat i ludzie rozdarci sprzecznościami

Poszukaj śladów prawdy, sztuki i piękna na areopagach współczesnych debat, sporów i codziennego jarmarku próżności.

Patronat medialny:
TVP 3 POZNAŃ

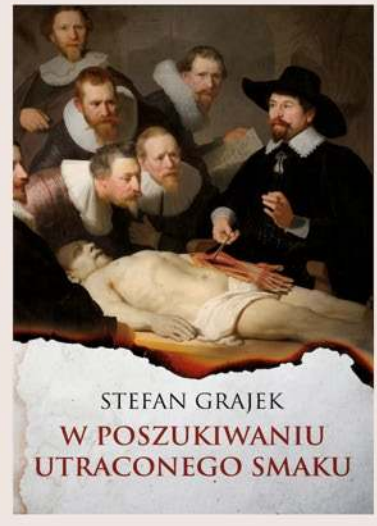

Poznaj sylwetki dwudziestowiecznych pisarzy, których życie rozdarte było między prawością a konformizmem.

ZYSK I S-KA WYDAWNICTWO

eprasa.pl 9223c44521

FOT. KRYSTIAN MAJ/KPRM

Dyplomacja epoki lodowcowej

Piotr Semka

Jest zastanawiającą kwestią, że rządy socjaldemokratyczne w Niemczech prezentują wobec Polski bardzo często o wiele bardziej krytyczne stanowisko niż rządy chadeckie. Kanclerz Scholz stosuje politykę wykorzystującą niemiecką przewagę na każdym możliwym polu. A niemiecka prasa nie kryje, że Niemcy stawiają niemal wszystko na kartę zwycięstwa Donalda Tuska w jesiennych wyborach w Polsce

Stosunki polsko-niemieckie cechuje najbardziej chłodna atmosfera od bodaj siedmiu lat. To swego rodzaju osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że w czasie dwóch okresów, kiedy PiS znajdował się u władzy, czyli w latach 2005–2007 oraz 2015–2023, stosunek Niemiec do Polski wydawał się bardzo chłodny. Mimo dwóch kadencji rządów PiS niemiecka klasa polityczna nie potrafi faktycznie zaakceptować obecności partii Jarosława Kaczyńskiego u władzy. Przepchnięcie przez Niemcy unijnego paktu o solidarności migracyjnej oraz decyzja szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen o blokadzie unijnego wsparcia dla rolników w Europie Wschodniej jeszcze bardziej komplikują relacje polsko-niemieckie. Jak wygląda aktualna mapa pól kontrowersji?

BIERZCIE UCHODŹCÓW ALBO PŁAĆCIE

Przeforsowanie paktu solidarności migracyjnej na forum unijnym to dobry przykład sprawności niemieckiej dyplomacji. Była to inicjatywa państw, które znajdują się poza zewnętrznymi granicami Unii, a jednocześnie krajów, które z racji wysokiego socjalu przyciągają dużą część imigrantów zdążających do Europy z Azji i Bliskiego Wschodu. Są to np. Niemcy, Austria i Szwecja. W wypadku wszystkich tych państw ich przywódcy przeforsowywali ten projekt dla uspokojenia opinii publicznej w swoich krajach rozdrażnionej stale rosnącymi liczbami przybywających imigrantów.

Dyplomacja niemiecka, tworząc koalicję większościową na rzecz przeforsowania projektu, bardzo sprawnie wykorzystała desperację Włoch i Grecji, które zalewane są falą imigrantów przybywających przez Morze Śródziemne. Szczególnie skłonienie przez kanclerza Olafa Scholza premier Italii, Giorgii Meloni, było wyjątkowo sprytne.

Rzecz w tym, że pakt zwiększa kontrolę Komisji Europejskiej nad przymusową dystrybucją imigrantów i na dłuższą metę zmniejszać będzie suwerenność poszczególnych państw nad systemem kontrolowania swoich granic. Włosi, którzy znajdują się pod ogromną presją części państw unijnych, aby nie stosowały takiego push-backu wobec statków łowiących

eprasa.pl 9223c44521

imigrantów na morzu, powinny być teoretycznie świadome, że zwiększanie się władzy w Brukseli nad ruchem uchodźców to wejście na niebezpieczną ścieżkę dla Włoch. A jednak chęć przypodobania się wyborcom, którzy rozpaczliwie wypatrują jakiejś pomocy ze strony Europy w obronie przed zalewem uchodźców z Morza Śródziemnego, skłoniła w końcu premier Meloni do poparcia paktu. Jakąś rolę mogła odegrać też obietnica kanclerza Scholza poparcia Włoch w staraniach o wsparcie Komisji Europejskiej dla paru projektów finansowych ważnych dla Italii.

W Polsce bardzo często zadaje się pytanie, dlaczego wprowadzając zasadę konieczności płacenia kar w przypadku odmowy przyjęcia uchodźców, nie bierze się pod uwagę zaangażowania Polski i przyjęcia przez nasz kraj ok. 1,3 mln Ukraińców po agresji Rosji na Ukrainę. Rzecz w tym, że Niemcy, które przyjęły mniej więcej podobną, a być może nieco większą niż Polska liczbę uchodźców z Ukrainy, wychodzą z założenia, że przyjmowanie imigrantów jest obowiązkiem wszystkich państw unijnych.

Problem w tym, że Niemcy nie są w stanie znaleźć skutecznego antidotum na sytuację, w której tylko 16 proc. imigrantów, których wnioski o azyl zostały odrzucone, realnie powraca do swoich krajów. Na tym polega pozorność paktu emigracyjnego. Nie skupia się on na uszczelnieniu granic zewnętrznych Unii, tylko na rozdziale sum kryzysowych uchodźców przy jednoczesnych nierealistycznych zapowiedziach usprawnienia reemisji imigrantów.

Niemiecki sukces w przeformowaniu paktu solidarności imigracyjnej był dla dyplomatów RFN tym efektowniejszy, że wykazał on trwały brak koordynacji działań krajów wyszehradzkich. Choć wydawało się, że sprzeciw wobec emigracji był jedynym silnym spoiwem grupy V4 – Czechy uległy obietnicom, że Komisja Europejska przyjrzy się życzliwie ich wnioskowi o zwolnienie ich kraju z systemu rozdziału uchodźców z racji zasług w przyjmowaniu uchodźców z Ukrainy. Słowacja, która ma czysto techniczny rząd oczekujący na nowe wybory, wstrzymała się od głosu i na pozycji zdecydowanych przeciwników paktu solidarności emigracyjnej zostały jedynie Polska i Węgry.

Na dodatek w prasie niemieckiej komentarze dotyczące paktu skupiały

Niemcy faktycznie, choć nieoficjalnie, zaczęli wprowadzać kontrole na trasach wiodących z Polski do Niemiec

się raczej na oburzeniu brakiem poczucia solidarności Budapesztu i Warszawy wobec problemu imigracyjnego najbogatszych państw Unii. A problem napływu imigrantów do Europy wcale nie zmalał. Co prawda, Polska zablokowała skutecznie granicę z Białorusią, ale obliczana na ok. 8 tys. rzesza uchodźców, która forsuje granicę polsko-niemiecką, to w zdecydowanej części imigranci, którzy pilotowani przez mafię imigracyjną pokonują szlak wiodący przez Serbię, Węgry, Czechy i Słowację. Odcinek polski do granicy z Niemcami jest końcową fazą wędrówki z Bałkanów.

Jak wynika z obserwacji polskich służb granicznych – Niemcy faktycznie, choć nieoficjalnie, zaczęli wprowadzać kontrole na trasach wiodących z Polski do Niemiec i próbują wyłapywać imigrantów. Jeśli są w stanie udowodnić, że jako pierwszą granicę unijną uchodźca przekroczył, dostając się do Polski, cofają kandydata do azylu do naszego kraju. Robią to służby kraju, którego media odsądzają od czci i wiary Polskę za skuteczną ochronę granicy z Białorusią i zatrzymanie strumienia uchodźców wysyłanych przez służby Łukaszenki.

Te podwójne standardy stosowane przez Niemców wobec własnego bezpieczeństwa i środków, których używa Polska dla zatrzymania „broni uchodźczej" używanej przez Mińsk, zatruwają relacje polsko-niemieckie.

ANI ZŁOTÓWKI DLA POLSKI

Strona polska jest przekonana, że Niemcy mają bardzo silny wpływ na decyzje Komisji Europejskiej. Wynika on choćby z tego, że szefowa Komisji Ursula von der Leyen jest politykiem wywodzącym się z RFN. Trudno więc się dziwić, że polityczna praktyka komisji, która blokuje wypłaty z KPO, a także – jak się okazuje – inne pieniądze należne Polsce, kojarzona jest z polityką Berlina. Oto właśnie przewodnicząca von der Leyen osobiście blokuje wypłatę 100 mln euro dla rolników z pięciu państw wschodniej Europy graniczącej z Ukrainą za straty spowodowane nadmiernym importem ukraińskiego ziarna. Jak wyjaśnia rzeczniczka Komisji Europejskiej, Miriam Garcia Ferrer: „Jest wiele wyzwań i spraw nierozwiązanych, więc nie byliśmy w stanie zatwierdzić pakietu wsparcia, ale kontynuujemy rozmowy, jak rozwiązać problem i wąskie gardła, których doświadczamy, żeby zapewnić swobodny tranzyt ukraińskich towarów".

Pani von der Leyen także bez podawania powodu ma nie zgadzać się na pakiet pomocy o wartości 330 mln euro dla pozostałych państw UE, przeznaczony m.in. na pokrycie strat spowodowanych suszą. Z punktu widzenia rządu w Warszawie wygląda to na utrudnienie działalności gabinetu Mateusza Morawieckiego w trakcie kluczowych miesięcy do wyborów sejmowych w październiku.

Polska jest najbardziej wyrazistym krytykiem projektów kanclerza Olafa Scholza, który chce wyeliminować prawo weta Unii Europejskiej i kontynuować politykę unifikacji UE. I znów w tej sprawie Berlin korzysta z osłabienia spójności Grupy Wyszehradzkiej. Drogi Węgier i Polski rozeszły się z racji stosowanej przez Budapeszt polityki dystansu wobec Ukrainy i utrzymywania poprawnych relacji z Moskwą. Słowacja pogrążona jest w kryzysie politycznym i brak jej jakiegokolwiek silnego i wyrazistego przywódcy, a Czechy wróciły do polityki orientowania się na życzenia Niemiec.

I znów najlepszym przykładem uległości koalicji ODS, Samorządowców i Partii Piratów jest poparcie przez Czechów paktu solidarności imigracyjnej. Za rządów poprzednika obecnego premiera Petra Fiali – Andreja Babiša – sprawy imigracyjne Babiš, teoretycznie socjaldemokrata, stawiał niezwykle ostro wobec Unii Europejskiej. Teraz dodatkowo politykę przechyłu w kierunku Berlina podjął nowy czeski prezydent Petr Pavel.

Relacje między Polską a Komisją Europejską utrudnia też rozczarowanie premiera Morawieckiego wprowadzeniem go w błąd przez Ursulę von der Leyen. Szefowa komisji deklarowała, że kwestia wypłat z Krajowego Planu Odbudowy będzie oparta wyłącznie na kryterium

eprasa.pl 9223c44521

sprawdzania, czy fundusze nie są narażone na korupcję. Tymczasem potem wypłata środków z KPO została wstrzymana przy żądaniu Komisji Europejskiej, by zaniechano polskiej reformy wymiaru sprawiedliwości.

„KONIEC WASZYCH PIĘCIU MINUT"

Kiedy 30 stycznia 2023 r. były ambasador Niemiec w Polsce Rolf Nikel na antenie kanału informacyjnego NTV ostrzegał, że polskie „pięć minut" może się skończyć, wielu obserwatorów uznało to za demonstrację irytacji Berlina z racji polskich krytyk niemieckiej polityki wobec Rosji. Dzisiaj niemieccy politycy wysyłają kuluarowe sygnały, że niemiecka dyplomacja jest w stanie dogadać się z administracją Joe Bidena i odzyskać status głównej siły, na której USA mogą oprzeć się w swojej polityce bezpieczeństwa w Europie. I dopiero w tym kontekście można dobrze zrozumieć połajanki Polski ze strony części niemieckich komentatorów mówiących, że Polska zmarnowała swoje „pięć minut chwały" z racji pomagania Ukrainie w pierwszej fazie konfliktu z Rosją.

Oczywiście zarzuty niemieckich komentatorów wobec Polski są bardzo nieuczciwe. Zakładają oni, że polski rząd Prawa i Sprawiedliwości pod wpływem pochwał za przyjęcie imigrantów i pomoc militarną dla Ukrainy miałby nagle przyjąć wszystkie żądania Komisji Europejskiej co do kształtu wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Tak czy inaczej dalszy spór o reformę wymiaru sprawiedliwości był dobrym pretekstem dla Niemiec, aby wziąć odwet za polską krytykę polityki Berlina długoletniego wspierania Putina.

I można zaryzykować twierdzenie, że kanclerz Scholz wyraźnie zalecił zaostrzenie tonu wobec Polski. Przykładem takiego zachowania były polemiki ambasadora Niemiec w Warszawie Thomasa Baggera, który zapytywał na Twitterze szefa MON Mariusza Błaszczaka, ile miliardów złotych Polska przelewała do Moskwy w zamian za rosyjską energię. Nie jest też przypadkiem, że ostatnia wizyta kanclerza Scholza w Warszawie miała miejsce w grudniu 2021 r. Gdy Morawiecki odwiedził Berlin w lutym 2022 r., Scholz zrobił wszystko, żeby nie spotkać się z polskim kolegą.

Niemcy odmawiają też dyskusji na temat reparacji dla Polski za straty wojenne. Politycy niemieccy od CDU do Zielonych jednym tonem powtarzają, że hasło reparacji nie ma żadnych podstaw merytorycznych, jest jedynie sposobem uprawiania antyniemieckiej propagandy przez rząd PiS. Berlin konsekwentnie utrąca też wszystkie inicjatywy polskiej dyplomacji. Gdy niedawno Warszawa proponowała, by kolejny szczyt Trójkąta Weimarskiego odbył się w Kijowie, Niemcy i Francja przeforsowały jako miejsce spotkania Paryż.

Wyjątkowo alergicznie reagują też Niemcy na propozycję jakichkolwiek spotkań w trójkącie Polska – Niemcy – Ukraina. Kanclerz Scholz dba, aby rozmowy Niemiec z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim odbywały się w formacie dwustronnym.

W kwestii polityki historycznej jedynym pozytywem w ostatnim czasie była wizyta pełnomocnika rządu RFN ds. kultury Claudii Roth z partii Zielonych, podczas której podjęto na nowo kwestię konsultacji przy realizacji projektu pomnika poświęconego ofiarom polskim w drugiej wojnie światowej. Jednak projekt ten zainaugurowany w 2017 r. rozwija się w iście ślimaczym tempie. Na tyle wolnym, że w Polsce ta sprawa nie wywołuje już żadnych emocji. Ani dobrych, ani złych. Niewielkim osiągnięciem była obietnica Claudii Roth, że powołana będzie specjalna grupa robocza przedstawicieli obu rządów do spraw restytucji polskich dzieł sztuki, które zrabowane w czasie drugiej wojny światowej nadal pozostają w niemieckich rękach.

Polska opozycja milcząco potwierdza tezę, że napięcia na linii Warszawa – Berlin to wyłącznie wina rządu PiS

Na relacje polsko-niemieckie wpływają też kwestie stosunkowo drobne. Choćby zmniejszenie przez ministra Przemysława Czarnka liczby godzin nauki języka niemieckiego w szkołach mniejszości niemieckiej w Polsce. Z drugiej strony – Inicjatywa Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie, aby zaprosić historyka Jana Grabowskiego do wykładu, w którym oceniać miał on zdolność Polaków do rozliczenia się z Holokaustem. Spotkanie z Grabowskim przerwał poseł Konfederacji Grzegorz Braun, co jeszcze bardziej nakręciło krytyczne wobec Polski komentarze w prasie niemieckiej.

BERLIN CZEKA NA POLSKIE WYBORY

Jest zastanawiającą kwestią, że rządy socjaldemokratyczne prezentują wobec Polski bardzo często o wiele bardziej krytyczne stanowisko niż rządy chadeckie. Kanclerz Scholz demonstruje niekiedy w sposób niezwykle wyrazisty aspiracje Berlina do unifikowania Unii Europejskiej. Nie spełniły się nadzieje wyrażane niekiedy nad Wisłą, że politycy partii Zielonych wpłyną łagodząco na politykę Niemiec wobec Polski. Koalicją rządzi twardą ręką Olaf Scholz. Jest to polityka wykorzystująca niemiecką przewagę na każdym możliwym polu. A niemiecka prasa nie kryje, że Niemcy stawiają niemal wszystko na kartę zwycięstwa Donalda Tuska w jesiennych wyborach w Polsce.

Tym bardziej że polska opozycja nie jest w stanie w żaden krytyczny sposób odnieść się do przyczyn konfliktów polsko-niemieckich. Oznacza to, że Platforma Obywatelska, a także Polska 2050, PSL oraz Lewica milcząco potwierdzają tezę, że napięcia na linii Warszawa – Berlin to wyłącznie wina rządu PiS. Analityk międzynarodowy dr Michał Kuź podsumował obecną politykę rządu tęczowej koalicji wobec Polski w bardzo wyrazistych słowach: „Poziom mściwości (Niemców) – level hard (skończyło się wasze pięć minut, Biden z nami, do wyborów ani grosza). Już dziś widać, że taka polityka »pół hegemona« dotyczy nie tylko Polski i wyklucza na dłuższą metę głębsze zjednoczenie Unii Europejskiej".

Diagnoza z polskiego punktu widzenia niewątpliwie trafna. Ale z punktu niemieckiego oparta na relacjach słabszego partnera, kraju, którego przynajmniej połowa sceny politycznej gotowa jest do przyjęcia racji niemieckich. Trudno, by tak wygodny dla Berlina stan rzeczy nie skłaniał Berlina do polityki przykręcania Polsce śruby przynajmniej do jesiennych wyborów do Sejmu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

„Zło wcielone(...) doprowadzę do tego, że ten człowiek już nigdy nie stanie przed kamerą".*

*dr Maciej Kawecki o autorskim programie Macieja Kożuszka

REPUBLIKA

CODZIENNIE

PUTINA

od poniedziałku
do czwartku
19:45

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

epra[illegible]4521

FOT. PAWEŁ JASKÓŁKA/PAP

Z Januszem Kowalskim, wiceministrem rolnictwa i rozwoju wsi, posłem Suwerennej Polski
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nie ma wrogów na prawicy

RYSZARD GROMADZKI: Marsz opozycji w Warszawie 4 czerwca pokazał moc Donalda Tuska?

JANUSZ KOWALSKI: Nie. 4 czerwca 2023 r. Donald Tusk sprzeciwiał się deputinizacji tak, jak 4 czerwca 1992 r. sprzeciwiał się dekomunizacji. Marsz 4 czerwca pokazał, że Tusk jednoczy w Platformie Obywatelskiej przeciwników ograniczenia wpływów rosyjskich, broniąc swojego życiorysu i swojej proputinowskiej polityki z lat 2007–2014. Tusk był usłużnym wobec Angeli Merkel premierem Polski i usłużnym wobec Niemiec szefem Rady Europejskiej. Jako premier dał zielone światło Nord Stream 1, a jako szef Rady Europejskiej nawet nie próbował zablokować Nord Stream 2. Pamiętajmy, że Tusk jako de facto niemiecki kandydat złamał zasadę lojalności wobec Rzeczypospolitej Polskiej, występując przeciw kandydatowi Polski, kiedy ubiegał się o drugą połowę kadencji szefa Rady Europejskiej. W tym sensie jasne jest, że Tusk jest kandydatem Niemiec na premiera Polski, z czym zresztą Niemcy się nie kryją. Zwycięstwo partii Tuska w Polsce to także najlepsza opcja dla Władimira Putina, który jest żywotnie zainteresowany tym, żeby prawica nie rządziła Polską. Marsz 4 czerwca jest sygnałem dla prawicy, że musimy zjednoczyć siły niepodległościowe i nie dopuścić do tego, żeby proniemiecki Tusk wygrał wybory. Patrząc z innej perspektywy, to, co obecnie dzieje się na opozycji, jest ciekawe. Rośnie kosztem Polski 2050 Konfederacja. Wpływy na wsi traci PSL, bo mieszkańcy wsi popierają Prawo i Sprawiedliwość oraz Suwerenną Polskę. Obecne sondaże nie dają większości opozycji.

Nie dają też większości pozwalającej na samodzielne rządy Zjednoczonej Prawicy...

Dobrym wnioskiem na pewno jest to, że powinniśmy więcej pracować, skuteczniej przekonywać Polaków, począwszy od salek parafialnych czy spotkań w kołach gospodyń wiejskich, a skończywszy na roznoszeniu ulotek na warszawskim Wilanowie, że głosowanie na prawicę jest najlepszym dla Polski rozwiązaniem. A mamy jako prawica o czym mówić. Sam w kilka miesięcy przygotowałem oczekiwaną od kilkunastu lat nowoczesną ustawę o biogazowniach rolniczych, biopaliwach i pofermencie, czyli nawozie naturalnym dla polskich rolników. Będzie przełom w kampanii na korzyść prawicy, co pozwoli wygrać wybory.

Co pan ma na myśli, mówiąc o przełomie w kampanii?

Po pierwsze, musimy przestać zajmować się sami sobą. Nasz przeciwnik jest jasno określony. To Donald Tusk i totalna opozycja, która np. nie reaguje, kiedy Ursula von der Leyen wstrzymuje wypłatę przyznanych polskim rolnikom 40 mln euro. PSL i PO należą do tej samej Europejskiej Partii Ludowej, do której należy także szefowa Komisji Europejskiej. Siedzą cicho jak mysz pod miotłą, tak są „przyspawani" do niemieckiej koncepcji Europy, w której Polska nie ma nic do powiedzenia i nie ma prawa nawet upomnieć się głośno o polskich rolników. Europy, w której Polska bez gadania powinna przyjąć dziesiątki tysięcy muzułmańskich imigrantów, w której nie ma prawa weta przy podejmowaniu ważnych decyzji. Europy, w której nie ma miejsca dla suwerennej Rzeczypospolitej. Powtórzę: musimy przestać zajmować się sobą! Nie mam żadnych wątpliwości, że jeśli wyciągniemy właściwe wnioski, to z nowym impetem wejdziemy w decydujący etap kampanii wyborczej. Wybory 2023 r. to bowiem są wybory o być albo nie być niepodległej Polski.

To nie Tusk, a premier Morawiecki zgodził się na dotkliwe dla polskiej gospodarki decyzje Komisji Europejskiej w obszarze polityki klimatycznej. Pan osobiście i kierownictwo Suwerennej Polski ostro go za te kosztowne ustępstwa krytykowali.

Ostatnie decyzje Sądu Najwyższego podważające rolę Trybunału Konstytucyjnego czy impertynenckie wypowiedzi eurokratów domagających się zmiany ustaw np. o KRS, oznaczające de facto podporządkowanie Polski Komisji Europejskiej, pokazują po raz kolejny, że to, co od lat mówi Zbigniew Ziobro, w stu procentach się sprawdziło.

Premier Morawiecki popełnił strategiczne błędy, godząc się na dyktat Brukseli w obszarze polityki klimatycznej?

eprasa.pl 9223c44521

Zbigniew Ziobro nigdy nie dopuściłby do sytuacji, w której Polska byłaby szantażowana przez eurokratów. W relacjach z Unią Europejską racja jest po stronie Suwerennej Polski. Ale dzisiaj chcemy pomóc i panu premierowi, i Prawu i Sprawiedliwości, ponieważ jesteśmy patriotami i chcemy, żeby Polska miała silną pozycję w Unii Europejskiej. Jeśli Zjednoczona Prawica będzie w kampanii wyborczej mówić głosem Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry, to jestem pewien, że zyskamy ponad 40-procentowe poparcie.

Mówił pan na początku naszej rozmowy o konieczności „deputinizacji" polskiej sceny politycznej. Ustawa o weryfikacji rosyjskich wpływów zapewni ten efekt? Według wielu konserwatywnych komentatorów ta ustawa w pierwotnym kształcie będzie przeciwskuteczna.

Już 14 lat temu sformułowałem jako pierwszy konieczność powołania komisji śledczej w sprawie umowy gazowej z Rosją z października 2010 r. Miałem zaszczyt pracować w zespole do spraw bezpieczeństwa energetycznego śp. prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego i monitorować fatalnie prowadzone przez rząd Tuska i Pawlaka negocjacje gazowe z Rosją w latach 2009–2010. Od tego czasu sprawa rozliczenia Tuska i Pawlaka za decyzję o uzależnieniu Polski od rosyjskiego gazu jest priorytetem mojej obecności w życiu publicznym. Rozliczenie tych prorosyjskich polityków traktuję osobiście jako wypełnienie testamentu śp. prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Tusk wybrał Putina i Merkel, którzy doprowadzili do wojny w Europie, a walczył z prezydentem Kaczyńskim, który przed Rosją ostrzegał i skutecznie budował geopolityczne porozumienia, takie jak porozumienia na rzecz korytarza do transportu kaspijskiej ropy naftowej Odessa – Brody – Płock – Gdańsk między Polską, Ukrainą, Litwą, Gruzją i Azerbejdżanem. Donald Tusk i Radosław Sikorski zdemolowali w interesie Putina dobrą dla Polski i pokoju w Europie politykę wschodnią śp. Lecha Kaczyńskiego. I za to muszą odpowiedzieć!

W grudniu 2021 r. nasze środowisko polityczne Zbigniewa Ziobry zgłosiło koncepcję utworzenia sejmowej komisji śledczej w sprawie polityki energetycznej lat 2007–2015. Wtedy nie było zielonego światła ze strony naszych przyjaciół z PiS. Kilka miesięcy później pojawił się pomysł powołania komisji do spraw weryfikacji rosyjskich wpływów. Jestem bezwzględnym zwolennikiem powołania tej komisji. Będzie to oznaczać, że „deputinizacja" w Polsce faktycznie się rozpoczęła. Znam dokumenty z lat rządów Tuska, dlatego jestem zdecydowanym zwolennikiem postawienia Donalda Tuska i Waldemara Pawlaka przed Trybunałem Stanu. I nie tylko ich. Nie kto inny jak Aleksander Grad, ówczesny minister skarbu, pozwalał w 2010 r. na takie, a nie inne decyzje podejmowane choćby przez PGNiG jak chociażby zielone światło na umorzenie 1 mld zł Gazpromowi. Jestem za tym, żeby ta komisja jak najszybciej rozpoczęła pracę, chcę być w niej nie członkiem, lecz świadkiem i opowiedzieć o prorosyjskiej polityce PO-PSL.

Krytycy tej ustawy twierdzą, że pozwala ona na wyeliminowanie z życia publicznego ludzi, którzy z rosyjskimi wpływami nie mieli i nie mają nic wspólnego.

Nie widzę takiego zagrożenia. Uważam, że ujawnienie informacji i dokumentów dotyczących rosyjskich wpływów doprowadzi do tego, że Polacy w demokratycznym procesie podejmą decyzje, na kogo chcą głosować, a na kogo nie. Dlatego strach w oczach Donalda Tuska, który ma świadomość faktu, że był najbardziej proputinowskiem premierem w dziejach III RP, jest ogromny, bo dokumenty, których ujawnianie rozpoczęło się od znakomitego serialu Sławomira Cenckiewicza i Michała Rachonia „Reset", pokażą pokoleniu dzisiejszych 20- i 30-latków, jak bardzo upapranym politykiem we współpracę z Kremlem był Donald Tusk. Tusk po prostu przestawiał polską zwrotnicę z Zachodu na Wschód.

Wracając do kampanii wyborczej. Obecna różni się od poprzednich tym, że – jak się wydaje – wyborcy mają na prawicy silną alternatywę wobec PiS i Suwerennej Polski w postaci Konfederacji. Jesteśmy świadkami przełamania duopolu PiS i Platformy?

Konfederacja adresuje swoją ofertę szczególnie do mieszkańców dużych miast, do środowisk liberalnych, czyli tam, gdzie wyborców łowią i Platforma Obywatelska, i Polska 2050. Jestem na przeciwstawnym biegunie, kiedy widzę posła Konrada Berkowicza, który mówi o sobie, że jest człowiekiem prawicy, a chodzi na manifestacje grupy Wolne Konopie razem z największymi lewakami od Biedronia czy Zandberga. Ale w Konfederacji są także narodowcy, którzy są przeciwnikami aborcji czy ideologii gender. Konfederacja jest więc cały czas pewnego rodzaju polityczną zagadką. To, co na pewno różni Zjednoczoną Prawicę i Konfederację, to oczywiście stosunek do Rosji. Jesteśmy zdecydowanie antyrosyjscy. Nie znajdujemy nawet milimetra przestrzeni do współpracy z kimś takim, jak poseł Grzegorz Braun, który wpisuje się w nurt polityki proprosyjskiej, dla mnie całkowicie niezrozumiały i obcy.

Jeśli obecne sondaże potwierdzą się w październikowych wyborach, to może okazać się, że Zjednoczona Prawica, chcąc dalej rządzić, będzie skazana na jakiś alians z Konfederacją...

Byłem pierwszym politykiem Zjednoczonej Prawicy, który jeszcze w 2020 r. powiedział, że nie ma wroga na prawicy. Było kilka inicjatyw realizowanych szczególnie z Ruchem Narodowym przez Solidarną, a dziś Suwerenną Polską. W tym sensie między naszymi ugrupowaniami widzę wiele stycznych punktów. Rzeczą, która nas zbliża, jest zdecydowana krytyka projektu europejskiego państwa federacyjnego realizowanego przez Komisję Europejską. To na pewno otwarta przestrzeń do współpracy w przyszłym Sejmie, który może być najbardziej eurealistycznym Sejmem w historii III RP. Co w czasach, kiedy eurokraci nas szantażują, wstrzymują należne Polsce pieniądze, okradają, próbują zamykać kopalnie, sprzeciwiają się budowie elektrowni jądrowych, nakładają nowe podatki, może mieć kluczowe znaczenie dla obrony naszej suwerenności. Jednak ufam, że Zjednoczona Prawica po raz trzeci wygra wybory i zdobędzie przynajmniej 231 mandatów w Sejmie. Polaryzacja w nadchodzących wyborach będzie bardzo duża. Można powiedzieć, że ci, którzy są za niemiecką koncepcją Europy i Polską skarlałą bez głosu w UE, będą głosować na Donalda Tuska, a ci wszyscy opowiadający się za silną, nowoczesną, zorientowaną proatlantycko Polską postawią na Zjednoczoną Prawicę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

Karol Gac

Przybliżyć reset

Choć TVP pokazała dopiero pierwszy odcinek serialu dokumentalnego „Reset", poświęcony polskiej polityce wobec Rosji, to zdążył on już wzbudzić wiele emocji oraz odbić się szerokim, także międzynarodowym, echem. Autorzy zapowiadają: „To dopiero początek!"

Serial „Reset" to zrealizowany na wysokim poziomie nowy format publicystyczny dziennikarza TVP Michała Rachonia oraz historyka, dyrektora Wojskowego Biura Historycznego, prof. Sławomira Cenckiewicza. Opowiada o polityce resetu państw Zachodu, w tym Polski, z Federacją Rosyjską. Premierowy odcinek obejrzało w ubiegłym tygodniu 1,6 mln Polaków, a TVP – na specjalne życzenie widzów – powtórzyła go jeszcze kilkukrotnie.

– Misją mediów publicznych w Polsce jest informowanie, relacjonowanie bieżących wydarzeń i pokazywanie ich kontekstu oraz źródeł procesów historycznych i geopolitycznych, które zachodzą na naszych oczach. Dotyczy to również tematu rosyjskiej polityki imperialnej, którą widać szczególnie wyraźnie teraz, w czasie rosyjskiej agresji na Ukrainie. Autorzy „Resetu" niesamowicie dokładnie odsłaniają kulisy resetu, tego, co działo się przed jego ogłoszeniem i po nim. Dzięki nim widzimy prawdziwą twarz Rosji, taką, jaka ona jest – mówi „Do Rzeczy" Samuel Pereira, dyrektor TVP Info.

Jak to się jednak w ogóle stało, że Michał Rachoń i Sławomir Cenckiewicz połączyli siły? – Na pomysł serialu wpadliśmy z prof. Cenckiewiczem niezależnie od siebie. Zainspirowałem się odtajnionymi notatkami przez byłego szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego, ponieważ śledzę wszystko, co ma związek z Federacją Rosyjską. Znajdowała się w nich m.in. słynna notatka Jarosława Bratkiewicza z marca 2008 r., która jest dokumentem tezowym dotyczącym polityki wschodniej rządu Donalda Tuska – mówi „Do Rzeczy" Michał Rachoń.

Z kolei w przypadku dyrektora WBH bezpośrednim impulsem była zmiana narracji w sprawie Rosji przez niektóre środowiska. – Zaczęło się od tego, że postanowiłem przeanalizować pod kątem archiwów, najpierw MON a potem MSZ, reorientację polityki zagranicznej po jesieni 2007 r. Jednak moją bezpośrednią inspiracją była rosyjska agresja na Ukrainę, gdy zauważyłem, że ludzie, którzy w przeszłości służyli Sowietom w PRL, potem bronili Rosji przed zarzutem imperializmu albo mówili, że nie ma ona agresywnych planów, jak np. gen. Pacek, nagle zaczęli zmieniać front. Przyznam, że przecierałem oczy ze zdumienia, jak ścigają się w antyrosyjskiej retoryce. Postanowiłem poszukać materiałów w tej sprawie – zdradza nam prof. Cenckiewicz.

ROSJA TAKA, JAKA JEST

Pierwszy odcinek „Resetu" to w istocie dopiero wstęp do całej historii. Autorzy przypomnieli w nim, w jaki sposób Władimir Putin zdobył, a następnie umocnił swoją władzę w Rosji. W efekcie duża część odcinka została poświęcona morderstwu ppłk. KGB/FSB Aleksandra Litwinienki, który w Wielkiej Brytanii został otruty radioaktywnym polonem przez Rosjan za to, że m.in. otwarcie mówił o przekształceniu się rosyjskich służb w organizację przestępczą i terrorystyczną. Litwinienko razem z Jurijem Felsztyńskim, rosyjskim historykiem mieszkającym w USA, napisali głośną książkę pt. „Wysadzić Rosję", w której dowodzą, że zamachy terrorystyczne w 1999 r. na budynki mieszkalne w Moskwie i Wołgodońsku były przygotowane i przeprowadzone przez agentów FSB, by w ten sposób zrzucić za to odpowiedzialność na Czeczenów i uzyskać tym samym pretekst do wznowienia wojny czeczeńskiej. Felsztyński jest jednym z rozmówców „Resetu", który podzielił się nagraniem, w którym rosyjski oficer wywiadu wojskowego GRU przyznaje, że to FSB stała za wysadzeniem bloków. Tego typu materiałów w serialu jest zresztą więcej i bez wątpienia są one jego bardzo mocną stroną.

Autorzy pokazują, że Rosja Władimira Putina nie stała się państwem zbrodniczym teraz, ale że była nim o wiele wcześniej i nie było to żadną tajemnicą. Od tego momentu Michał Rachoń i Sławomir Cenckiewicz skupiają się na sprawach krajowych i okolicznościach, w których doszło do polsko-rosyjskiego resetu. Punktem wyjścia jest więc

eprasa.pl 9223c44521

Donald Tusk i Radosław Sikorski, kadr z serialu „Reset" emitowanego przez TVP1 i TVP Info FOT. TVP INFO

exposé Donalda Tuska z 2007 r. (rok po zabójstwie Litwinienki), który mówił, że „chcemy dialogu z Rosją i to taką, jaka ona jest", bo „nadszedł czas na dobrą zmianę w tej kwestii". To wtedy zaczęło się przestawianie państwa na zupełnie nowe tory w polityce zagranicznej, a także krajowej.

W „Resecie" przypomniano też posko-rosyjski spór o żywność, jak również pierwsze decyzje rządu PO-PSL. Ujawniono również dokumenty z MSZ, które stały się niejako ideologiczną bazą do współpracy z Rosją. Profesor Cenckiewicz przyznaje, że był głęboko wstrząśnięty skalą resetu, oraz wskazuje na jego konkretne przykłady. – Przeczytałem [w WBH – przyp. red.] raport gen. Wiśniewskiego, czyli wojskowego attaché, z sierpnia 2008 r., a więc kilka dni przed wybuchem wojny z Gruzją, że problemem Polski w relacjach z Rosją jest swego rodzaju dualizm: jest „dwóch braci", z których jeden jest prezydentem ludzi, którzy reprezentują antyrosyjski punkt widzenia, a z drugiej premier Tusk i jego ekipa, która promuje politykę otwarcia na Rosję. To było tak napisane, jakby w jakimś sensie były to poglądy samego gen. Wiśniewskiego, którego kojarzyłem z wcześniejszych propozycji kształcenia polskich oficerów w Rosji (po 2007 r.). Podobnych dokumentów było coraz więcej i pamiętam, że znalazłem rosyjskie propozycje „obszarów zainteresowania" polskim wojskiem, gdzie stopień penetracji miał zejść do poziomu brygady, systemu szkolenia, wizytacji poligonów i jednostek wojskowych. Znalazłem też projekt porozumienia Sztabów Generalnych armii rosyjskiej z Wojskiem Polskim. To było strasznie dojmujące. To wszystko wyglądało jak prorosyjska korba, co później – jak zauważyłem – przełożyło się na wszystkie obszary z tajnymi służbami włącznie. Potem to już było jak wejście do lasu – opowiada „Do Rzeczy" historyk.

MEDIALNA BURZA

„Reset" warto docenić przede wszystkim za materiały archiwalne, a także za jakość produkcji. Michał Rachoń zjeździł pół Europy oraz nagrał wielu nieoczywistych rozmówców. Nowy format odbił się już zresztą szerokim echem nie tylko w Polsce, lecz także za granicą. Nie dziwi też to, że przez media liberalno-lewicowe, z „Gazetą Wyborczą" na czele, został zaatakowany na długo przed emisją pierwszego odcinka. Podobnie było z niektórymi „bohaterami" „Resetu".

Były szef MSZ Radosław Sikorski, a obecnie europoseł PO, jeszcze przed premią napisał w „The Washington Post" artykuł pt. „Polski rząd powie wam, że jestem rosyjską marionetką. Nie wierzcie im". – Większość „argumentów" to wyobrażenia autorów, a nie zarzuty względem filmu. Jestem otwarty na merytoryczną dyskusję i mam nadzieję, że w Polsce odbędzie się debata na temat polityki resetu. Kreowali ją konkretni politycy, którzy nigdy się z tego nie rozliczyli. Nigdy nie zrobili tego Donald Tusk, Radosław Sikorski, Bronisław Komorowski czy Bogdan Borusewicz lub Włodzimierz Cimoszewicz – wskazuje Rachoń. – Oczekuję debaty na temat dokumentów, które zostały opublikowane i istnieją w polskich archiwach. Jest długa lista pytań, np. do Radosława Sikorskiego, która nie jest sformułowana tak absurdalnie, jak on twierdzi w swoim ostatnim artykule w „Washington Post" – dodaje dziennikarz.

To, co może jednak w pewnym stopniu zaskakiwać, to reakcja dwóch ekspertów – Billa Browdera oraz Edwarda Lucasa – którzy byli rozmówcami „Resetu". „Przeraża mnie, gdy widzę, jak moje poglądy i nazwisko są wykorzystywane jako »dowód« w polskich krajowych atakach politycznych na Sikorskiego i inne osoby" – napisał pierwszy z nich na Twitterze. Edward Lucas poszedł o krok dalej. Dziennikarz nie tylko skrytykował pierwszy odcinek, choć – jak się szybko okazało – nawet go nie widział, lecz także zażądał usunięcia jego wypowiedzi z internetowej wersji. „Nie popieram jego redakcyjnego punktu widzenia. Chcę publicznego zapewnienia, że w pozostałej części serii nie zostaną użyte żadne klipy" – napisał.

Co na to autorzy „Resetu"? – Nasi rozmówcy wiedzieli, że przygotowujemy film na temat resetu oraz analizujemy politykę relacji państw Zachodu i Rosji w okresie przed wybuchem wojny na Ukrainie. Żądanie przez Edwarda Lucasa, żebyśmy ocenzurowali nasz film, bo jest on przekonany, że nasz pogląd o Radosławie Sikorskim jest inny niż jego, to skandal. Zwłaszcza że Radosław Sikorski zaprzyjaźniony jest z Lucasem. Żądanie ocenzurowania wywiadu po jego udzieleniu jest czymś kuriozalnym, podobnie jak stwierdzenie, że Lucas chciałby ocenzurowania filmu, bo myślał, że film opowiada o Hillary Clinton. Przecież to jest jakaś groteskowa histeria. Reset był zjawiskiem szerokim, wielowymiarowym i międzynarodowym i należy je badać – mówi nam Rachoń.

To, co działa na niekorzyść „Resetu", to termin jego emisji. Siłą rzeczy serial ten będzie wpisywany w bieżącą kampanię wyborczą. Niezależnie jednak od tego faktem jest, że polsko-rosyjski reset miał miejsce i niewątpliwie warto go przeanalizować. A tu wciąż jest wiele do zrobienia. – Trzeba też wylać sobie na głowę kubeł zimnej wody. To nie jest tak, że ustawiały się kolejki, by badać te dokumenty. No, nie! I nie jest też tak, że dokonano po 2015 r. analizy procesu resetu z Rosją. Mój wniosek był zaskoczeniem dla służby archiwalnej MSZ, gdzie nikt wcześniej – poza incydentem z 2016 r., kiedy minister Waszczykowski odtajnił kilka ważnych dokumentów – niczego nie szukał. I kolejne zaskoczenie, które wiele mówi o jakości państwa: większość kluczowych dokumentów dotyczących resetu była jawna, włącznie z notatkami z rozmów dyplomatycznych na wysokim szczeblu – wskazuje prof. Sławomir Cenckiewicz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

FOT. ADOBE STOCK

Polityka migracyjna PiS – między słowami a czynami

Tomasz Rowiński

PiS zapowiedział referendum w sprawie relokacji migrantów, a rząd protestuje przeciw unijnemu przymusowi ich przyjmowania. Jednocześnie władza przymyka oko na płynącą do nas falę migracji zarobkowej

Polski rząd pręży polityczne muskuły w sprawie nowego unijnego mechanizmu relokacji nielegalnych migrantów, którzy stanowią problem szczególnie dla południowych krajów Europy. Często są to ludzie przybywający z państw muzułmańskich, więc reakcja polskiego rządu nie zaskakuje. Kto ma choć pobieżną orientację w problemach związanych z migracją, wie, że obecność przybyszy z Bliskiego Wschodu czy też Afryki powodowała, powoduje i będzie powodować na Starym Kontynencie napięcia. Przysparza ona także kłopotów instytucjom państwowym zarówno we Włoszech, we Francji czy w Niemczech. Równocześnie jednak mamy do czynienia z milczącym przyzwoleniem naszych władz na falę migracji zarobkowej spoza Europy, w znacznej mierze przychodzącej do nas właśnie z krajów muzułmańskich.

Jest sprawą jasną, że nie można tych dwóch kwestii traktować równorzędnie. Sprzeciw polskich władz, na razie niezbyt skuteczny, wobec unijnego planu przymuszenia całej wspólnoty do solidarności z państwami borykającymi się z problemem niechcianej migracji, ma charakter polityczny. Jest sprzeciwem wobec próby narzucenia suwerennym państwom, przynajmniej teoretycznie prowadzącym samodzielne polityki demograficzne i migracyjne, mechanizmów, które pachną ideologią imigracjonistyczną. Imigracjonizm to – jak pisał niegdyś Marek Jurek – promocja „masowej legalnej imigracji, i [...] tolerancja dla (również masowej) nielegalnej imigracji", bez „względu na odpowiedzialność za innych, za życie następnych pokoleń Polaków, w tym również za zdolności integracji cudzoziemców" („Błędy nowego imigracjonizmu", Magazynkontra.pl, jesień 2021).

Wiceminister Bartosz Grodecki na posiedzeniu unijnych ministrów spraw wewnętrznych wypowiadał się w sprawie nowego mechanizmu relokacji migrantów dość stanowczo. – Ten mechanizm jest dla nas nie do zaakceptowania. U nas w kraju nie będzie na to przyzwolenia. Nie jesteśmy w stanie wyjaśnić społeczeństwu, które przyjęło ponad milion uchodźców wojennych z Ukrainy, że jak teraz nie przyjmą kolejnych, to będą musieli zapłacić de facto z własnej kieszeni – mówił przedstawiciel polskiego rządu. Warto dodać, że porozumienie relokacyjne, które zostało na poziomie unijnym zaakceptowane pomimo sprzeciwu Polski i Węgier, oznacza obowiązek przyjęcia określonej liczby imigrantów. Może on być zastąpiony przez wniesienie ekwiwalentu finansowego w wysokości 20 tys. euro za każdego nieprzyjętego imigranta albo przez udzielenie pomocy operacyjnej. Choć dziś mówi się, że Polska miałaby przyjąć ok. 2 tys. migrantów, to jednak problemem nie są liczby, które przecież mogą się zmieniać, ale sama zasada.

PRACOWNICY Z ZAGRANICY

To jednak tylko jedna strona medalu, drugą jest realna polityka migracyjna, którą prowadzi PiS, a także to, kto i w jakiej liczbie ostatecznie trafia do Polski. Co z tego bowiem, że być może skutecznie przeciwstawimy się jako państwo relokacji 2 tys. migrantów, skoro w niedługim czasie sami sprowadzimy do naszego kraju setki tysięcy – a może i więcej w dłuższej perspektywie – pracowników z zagranicy. A znaczna ich część będzie pochodziła z krajów muzułmańskich lub innych regionów całkowicie obcych nam kulturowo. Najnowsze dane, doprowadzone

eprasa.pl 9223c44521

do zeszłego roku, wskazują, że na takiej ścieżce Polska już się znalazła.

Jak podała niedawno „Rzeczpospolita", przez ostatnie osiem lat, czyli od czasu kryzysu migracyjnego, który dotknął Europę w roku 2015, do dziś „liczba wydanych czasowych praw pobytu dla obywateli tylko 19 państw wzrosła blisko pięciokrotnie – z 18 tys. do 86,5 tys. – bez uchodźców z Ukrainy i Białorusi". I tak w 2015 r. pozwoleń na pobyt wydanych obywatelom Azerbejdżanu było 309, obecnie jest to 3,2 tys. Jeśli chodzi o obywateli Uzbekistanu, to w 2015 r. było to 511 pozwoleń, obecnie – 5,8 tys. I dalej, jeśli chodzi o Gruzinów, osiem lat temu pozwoleń było 633, dziś jest to 20 tys., Hindusów – 2,3 tys. w 2015 r., teraz – 14 tys., obywateli Zimbabwe – było 24, jest – 2,1 tys., obywateli Turcji było – 1,6 tys., jest – 7 tys. Do tego trzeba dopisać 5 tys. Chińczyków i 11 tys. Wietnamczyków.

Z KRAJÓW MUZUŁMAŃSKICH NAD WISŁĘ

Przyrosty są znaczne, ale tak naprawdę to nie o nie chodzi najbardziej. „Rzeczpospolita" skupiła się na danych, które nie budzą aż tak wielkich kontrowersji i nie powodują szczególnego niepokoju. Być może to efekt politycznej poprawności, może powód takiego doboru materiału był inny. Te niepokojące Polaków informacje znajdziemy w statystykach mówiących, ile Polska przyznaje wiz pracowniczych osobom pochodzącym z krajów muzułmańskich. I tu przyrosty są tak duże, że – pisząc metaforycznie – wychodzą poza skalę. Na podstawie danych rządowych można wyliczyć, że w roku 2022 przyznano ok. 135 tys. wiz pracowniczych ludziom z krajów muzułmańskich, przy – dla porównania – ogólnej skali ok. 230 tys. takich wiz dla mieszkańców Azji. W roku 2021 było to niespełna 59 tys., w roku 2020 blisko 28 tys. w roku 2019 prawie 30 tys., w roku 2018 niecałe 22 tys., w roku 2017 ok. 9,5 tys. W roku 2016 zaś nieco ponad 3,7 tys. wiz. To pełny przekrój zmian migracyjnych z lat rządów centroprawicy w Polsce, która przynajmniej część swojego kapitału politycznego zbiła na retorycznym oporze wobec pozaeuropejskiej imigracji. Ktoś mógłby powiedzieć, że przekrój społeczny, kulturowy, a nawet charakterologiczny legalnych i nielegalnych migrantów zapewne jest inny. To tylko jednak domysł. Nie jest domysłem to, że imigranci z krajów muzułmańskich i ich potomkowie stanowią element destabilizujący zachodnie społeczeństwa.

Czy ktoś jeszcze pamięta, że w 2018 r. wiceminister resortu rodziny, pracy i polityki społecznej Stanisław Szwed negocjował na Filipinach z tamtejszym rządem umowę o zatrudnianiu pracowników? – Jesteśmy na dobrej drodze, aby to porozumienie zawrzeć. Mam nadzieję, że jesienią uda nam się zawrzeć przynajmniej takie wstępne porozumienie – mówił Szwed. – Filipiny delegują ok. 10 mln obywateli, kraj liczy ok. 110 mln. Mają to dosyć dobrze rozwiązane, bo koordynują to przez rządowe agencje zatrudnienia. Wybrano Polskę, bo nasz kraj jest im bliski kulturowo, m.in. ze względu na wiarę katolicką – przekonywał wtedy wiceminister. I dodawał: – Podczas rozmów mocno podkreślano, że mamy dobry Kodeks pracy, że uregulowaliśmy kwestie związane z wynagrodzeniami – chodzi o płacę minimalną, stawkę godzinową. To dla nich ma znaczenie.

W roku 2022 Polska wydała Filipińczykom jedynie 22,5 tys. wiz pracowniczych, wobec pracowników z krajów muzułmańskich to naprawdę niewiele.

Jest jeszcze inny aspekt tej sprawy. „W ciągu ostatnich ośmiu lat nastąpił radykalny, niekiedy ponaddziesięciokrotny wzrost poziomu imigracji w odniesieniu do cudzoziemców z niektórych państw spoza zachodniego kręgu kulturowego. Czy nasze służby mają metody weryfikacji tych ludzi? Obawiam się, że nie" – mówił cytowany niedawno przez „Rzeczpospolitą" Marek Biernacki, poseł, były szef MSWiA i były koordynator ds. służb specjalnych. „Wpuszczenie do Polski aż tylu cudzoziemców z krajów obcych nam kulturowo pokazuje stosunek rządzących do kwestii imigracji. PiS straszy obywateli groźbą islamizacji, a w praktyce stosuje politykę otwartych drzwi" – dodawał poseł.

11 czerwca na łamach „The Guardian" opublikowano reportaż zatytułowany: „Warszawa przypomina mały Związek Sowiecki: jak język rosyjski zdobywa popularność w stolicy Polski". Ten ciekawy tekst, przygotowany przez Shauna Walkera, opisuje, jak język rosyjski stał się częścią krajobrazu stolicy Polski. „Warszawa stała się prawdopodobnie najbardziej rosyjskojęzycznym miastem poza krajami dawnego Związku Radzieckiego" – napisał Walker. „Mój przyjaciel z Białorusi był tu w zeszły weekend, szliśmy ulicą i policzyliśmy języki, które słyszymy, i wydawało się, że polski jest w mniejszości. Słyszeliśmy dużo rosyjskiego i trochę ukraińskiego" – miał Walkerowi powiedzieć jeden z bohaterów jego tekstu. Rosyjski jest oczywiście tak dobrze słyszalny w Warszawie głównie za sprawą Ukraińców i Białorusinów.

Jednak w artykule pojawia się także postać Tadżyka Sulimiona, który – nikogo to pewnie nie zdziwi – jest kierowcą Ubera. Co Sulimion mówi o sobie? „Spędziłem trzy lata w Moskwie, pracując w kebabie, ale kiedy usłyszałem, że jest możliwość przyjazdu do Europy, pomyślałem, że będzie to znacznie lepsze niż bycie w Rosji". I tak po trzech latach Sulimion po prostu zamienił Moskwę na Warszawę. Ilu takich Sulimionów jest dziś w Polsce i czy nasze służby wiedzą, co robili oni w czasie, gdy przebywali na terenie Rosji?

Powyżej zarysowany problem tadżyckiego kierowcy Ubera to tylko jeden wyspecyfikowany problem związany z migracją. A jest ich przecież wiele, poczynając od najważniejszego: czy Polacy w ogóle chcą ponosić społeczne i kulturowe koszty akceptowanego przez rząd obniżania kosztów pracy szczególnie przez duże, międzynarodowe korporacje. Do tego przecież sprowadza się imigracja zarobkowa. To szczególnie duże firmy chętnie korzystają z dość liberalnego prawa w naszym kraju i ściągają z zagranicy tylu pracowników, ilu po prostu im potrzeba.

Kolejne pytanie dotyczy tego, czy to dobrze, że 90 proc. zagranicznych pracowników to mężczyźni, z których wielu niekoniecznie podziela zachodnie podejście w kwestii traktowania kobiet czy zachodni sposób rozwiązywania sporów międzyludzkich. Może jednak lepiej, gdyby nasz rząd – jeśli już uznamy konieczność polityki imigracyjnej – w sposób zorganizowany starał się sprowadzać do Polski rodziny z wyselekcjonowanych krajów. Takie były przecież przed laty zapowiedzi. Są państwa, których obywatele nie budzą podejrzeń, jeśli chodzi o zdolności asymilacyjne.

No dobrze, ale co, jeśli Polacy naprawdę nie chcą, by do naszej, względnie jednolitej społecznie narodowej zupy dorzucać zbyt wiele obcych przypraw? Co zrobi z tym rząd? A może właśnie nie zrobi nic?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Sprawa Doroty

Zuzanna Dąbrowska

Choć nie wiadomo jeszcze, jaki błąd popełnili lekarze, śmierć ciężarnej kobiety w szpitalu posłużyła do kolejnego ataku na katolików w Polsce

Aktywistki organizacji kobiecych i polityczki opozycji pytają wprost: Czy przynależność polityczna dyrektora szpitala im. Jana Pawła II mogła mieć wpływ na decyzję dotyczącą postępowania wobec pacjentki? Czy w szpitalu, któremu patronuje papież, który był zagorzałym przeciwnikiem aborcji, wykonywane są aborcje?" – czytamy w tekście opublikowanym w serwisie internetowym „Gazety Wyborczej".

Chodzi o tragiczną śmierć 33-letniej Doroty. Kobieta 21 maja trafiła do Podhalańskiego Szpitala Specjalistycznego im. Jana Pawła II w Nowym Targu. Była w 20. tygodniu ciąży. U pacjentki doszło do bezwodzia, czyli odejścia wód płodowych. Trzy dni później zmarła na sepsę. Media podają, że życie matki było zagrożone, a to według polskiego prawa jedna z przesłanek do legalnego dokonania aborcji. Wbrew powszechnie panującej niewiedzy oraz proaborcyjnej propagandzie w naszym kraju aborcja nie jest całkowicie zakazana – można jej dokonać, gdy ciąża to efekt czynu zabronionego, czyli gwałtu, a także gdy właśnie życie kobiety znajduje się w niebezpieczeństwie. Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r. wykluczył możliwość przerywania ciąży w przypadku wrodzonej wady dziecka nienarodzonego, co często dotyczy zespołu Downa.

Dlaczego w Nowym Targu doszło do tragedii, nie wiadomo. Śledztwo w tej sprawie prowadzi Prokuratura Regionalna w Katowicach. Dyrekcja szpitala stanowczo zaprzecza doniesieniom, jakoby personel „czekał na obumarcie płodu w związku z wyrokiem TK". Placówka przekonuje, że 33-latka była pod stałą kontrolą oraz otrzymywała pomoc, i zaznacza, że żaden kraj nie stworzył jeszcze systemu medycznego, w którym jest możliwe wykluczenie wszystkich powikłań.

PRAWO, RELIKWIE I KSIĄDZ

To, że w tej sprawie pozostaje tak wiele pytań i że dotyczy ona tak delikatnej, a jednocześnie upolitycznionej kwestii, którą jest od pewnego czasu śmierć ciężarnej kobiety, pozostawia ogromne pole do medialnych manipulacji i wskazywania niepopartych żadnymi dowodami przyczyn dramatu. Z tej atmosfery spekulacji wydaje się korzystać „Wyborcza", która sugeruje, że oprócz „drakońskiego" prawa aborcyjnego winien jest „dyrektor z Suwerennej Polski", a także to, że szpital nosi imię św. Jana Pawła II.

Ponadto „GW" wytyka, że jednym z członków rady społecznej szpitala jest ks. Jan Karlak, miejscowy proboszcz sanktuarium św. Jana Pawła II. Zarzutem ma być to, że duchowny uważa, iż dzięki modlitwom przy relikwiach krwi papieża Polaka (przekazał je szpitalowi w 2019 r. kard. Stanisław Dziwisz) małżeństwu, któremu lekarze nie dawali szans na potomstwo, urodziły się trojaczki.

„Wyborcza" wraca w swoich nacechowanych wrogością do wiary katolickiej zarzutach do 2005 r., kiedy to ówczesny dyrektor szpitala w Nowym Targu, Adam Chrapisiński, zapowiedział, że na terenie lecznicy nie będzie wykonywana aborcja. Tłumaczył swoją decyzję tym, że szpital nosi imię Jana Pawła II, a takie zabiegi są sprzeczne z głoszoną przez niego nauką Kościoła. „Nasz Dziennik" opisywał, że część polskich szpitali – te, które otrzy-

eprasa.pl 9223c44521

mały imię papieża Polaka – podpisała zobowiązania dotyczące niewykonywania aborcji na swoim terenie, ponieważ taki warunek stawiała kuria. To było jednak prawie 20 lat temu. „Wyborcza" przyznaje, że o poglądach obecnego dyrektora placówki na temat aborcji „wiadomo niewiele [...]. Wiadomo jednak, co o aborcji uważa polityczny przełożony Marka Wierzby, Zbigniew Ziobro. Ziobro opowiada się za całkowitym zakazem aborcji".

O ile faktycznie minister sprawiedliwości jest zwolennikiem zakazu tzw. aborcji eugenicznej, o tyle twierdzi – co wyrażono w komunikacie Prokuratury Krajowej z 2018 r. – że ograniczenia prawne ochrony życia dziecka poczętego „są możliwe jedynie w sytuacji absolutnej konieczności". Tu więc „GW" nie tyle dopuszcza się „kreatywnego gospodarowania" lukami w faktach, ile zwykłego kłamstwa.

SIANIE NIENAWIŚCI

Na narrację budowaną przez gazetę Adama Michnika zwróciła uwagę poseł Suwerennej Polski Anna Maria Siarkowska. Według polityk „Wyborcza" chce wzbudzić nienawiść wobec wierzących. „GW sieje nienawiść wobec katolików i zbiera obfite żniwo. To właśnie takie teksty są przyczyną agresji i przemocy skierowanej do osób wierzących. Antykatolicyzm jest tym samym co antysemityzm i prowadzi do tego samego" – napisała Siarkowska na Twitterze. Parlamentarzystka odniosła się również do wulgarnego komentarza jednego z internautów, który stwierdził, że „nienawidzi p……go katolstwa". „Tylko właśnie Kościół nie ma z tym NIC WSPÓLNEGO. Katolicy nie odpowiadają za błędy lekarskie. Upowszechniacie kłamstwa, szerzycie uprzedzenia i nienawiść wobec katolików. Wszędzie widzicie spisek. Nic was nie różni od antysemickiego szurostwa" – nie przebierała w słowach Siarkowska.

„Gazeta Wyborcza" celuje w kreowaniu wizji wierzącego nieuka, wierzącego szkodnika czy wierzącego przemocowca. Z jednej strony to element walki z Kościołem, z drugiej z rządzącymi, z trzeciej szeroko rozumianego „obalania patriarchatu". Niedawno w mediach społecznościowych szeroko komentowany był wywiad, którego udzieliła pisarka i „ekofeministka" Agnieszka Szpila. „Ja naprawdę uważam, że biały heteronormatywny ochrzczony Polak szkodzi planecie" – stwierdziła.

Z kolei w Boże Ciało dziennik ogłosił triumfalnie, że procesje z roku na rok są coraz mniej liczne. Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa to też dobra okazja, aby skojarzyć procesje z utrudnieniem życia zwykłym ludziom. „Aż szesnaście procesji przejdzie przez Białystok. Kierowco, strzeż się tych miejsc" – ostrzegała białostocka „Wyborcza". Przykłady bardziej lub mniej wysublimowanych ciosów w Kościół można przytaczać bez końca. „Nie można oczekiwać od rzeźnika, że będzie sprzedawał książki. Nie można od chrześcijaństwa jako instytucji imperialnej oczekiwać, że będzie miało jakiś szczególny wzgląd na jednostkę" – stwierdził w felietonie były dominikanin Tadeusz Bartoś.

Trudno nie zauważyć rosnącej liczby ataków o podłożu religijnym. Ofiarami często są kapłani

Jednocześnie trudno nie zauważyć rosnącej liczby ataków o podłożu religijnym. Ofiarami są często kapłani. Na początku maja młody mężczyzna dotkliwie pobił 80-letniego ks. Leona Czerwińskiego z parafii Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w Pionkach. Starszy kapłan wracał z pierwszopiątkowej posługi u chorych. Miał na sobie stój duchowny, więc było jasne, kim jest. Został zaatakowany, przewrócony i pobity.

W 2021 r. głośno było o pobiciu, a następnie śmierci 35-letniego o. Maksymiliana Adama Świerżewskiego, którego zaatakowano podczas spaceru w parku miejskim w Siedlcach. Oprawca zadał mu trzy ciosy w tył głowy i uciekł z miejsca zdarzenia. Obrazu sytuacji dostarcza raport Instytutu Ordo Iuris, według którego w samym tylko roku 2022 odnotowano 77 aktów przemocy wobec chrześcijan. W dokumencie opisano m.in. dwa fizyczne ataki na księży katolickich, cztery przypadki złośliwego zakłócania Mszy Świętej, sześć przypadków zniszczenia figury Dzieciątka Jezus, 12 przypadków zniszczenia figury Matki Bożej oraz trzy spektakle i happeningi profanujące symbole religijne i obrażające uczucia religijne chrześcijan. Być może w raporcie podsumowującym obecny rok znajdzie się incydent, do którego doszło podczas tegorocznych obchodów wspomnianego wcześniej Bożego Ciała – na warszawskim Ursynowie kierowca wjechał w procesję. „Czarne audi A6 na wołomińskich numerach rejestracyjnych wjechało w ludzi podczas procesji Bożego Ciała na Ursynowie na wysokości ulicy Nugat. Nikomu poważne obrażenia nie zostały zadane, ale ludzie byli taranowani, w tym dzieci" – relacjonował lokalnym mediom jeden ze świadków. Nikomu na szczęście nic się nie stało.

SKUTEK CZARNYCH PROTESTÓW

Gdyby chcieć wskazać konkretny moment, w którym w przestrzeni publicznej pojawiło się wyrażane niemalże wprost przyzwolenie na atakowanie wierzących, należy przypomnieć październik 2020 r. i falę protestów po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji eugenicznej. To wtedy przed kościołami organizowano wulgarne protesty, a w odpowiedzi przed świątyniami ustawiały się obywatelskie „straże" (składające się w dużej części z narodowców), chroniące je przed profanacją. Jednak kościołów nie można było pilnować wszędzie i przez całą dobę, więc na elewacjach wielu z nich pojawiały się obrazoburcze napisy.

Pytanie, jak powstrzymać kierowany emocjami tłum, jeżeli na wrogie katolikom akty pozwala sobie poseł na Sejm? W marcu sąd umorzył sprawę poseł Lewicy Joanny Scheuring-Wielgus, która była oskarżona przez prokuraturę o to, że 25 października 2020 r. w toruńskim kościele pw. św. Jakuba Apostoła złośliwie przeszkadzała we mszy świętej, znieważając jednocześnie to miejsce, i obraziła uczucia religijne innych osób. Niecały rok później, wpisując się w antyklerykalny trend, Sławomir Nitras z PO powiedział podczas przeznaczonej dla młodych imprezy Campus Polska Przyszłości, że katolików należy „opiłować z pewnych przywilejów". Piłowanie trwa do dziś i nie można nie zauważyć, że przybiera coraz bardziej radykalne formy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

Łzy Marii Magdaleny

Lorenzo Costa, „Święta Rodzina", 1494 r.
FOT. MUSÉE DES BEAUX-ARTS DE LYON

Wiesław Chełminiak

Rinascimento nadal jest znaczącym towarem eksportowym Italii. Giganci renesansu – Leonardo da Vinci, Rafael czy Michał Anioł – ocieplają wizerunek kraju, borykającego się z gospodarczym kryzysem, i państwa pogardzanego przez własnych obywateli

Emilia Romania, spichlerz Italii, słynie z doskonałej kuchni tudzież nietypowego krajobrazu. Spowita mgłami równina nadpadańska już wieki temu wpędzała co wrażliwszych podróżnych w depresję. Paweł Muratow, miłośnik włoskiej sztuki, przytłoczony „posępnym widokiem bagien i pól ryżowych, które otaczają Ferrarę", marzył, by „jak najszybciej zostawić za sobą te

eprasa.pl 9223c44521

smutne okolice i ujrzeć rześką, wesołą Bolonię". W średniowieczu nazywano mieszkańców owej malarycznej krainy żabami. W maju, gdy Emilia Romania zmagała się z katastrofalną powodzią, te słowa nabrały nowego, dramatycznego sensu.

DWA KORCE ZBOŻA

Ferrara ma u rodaków opinię miasta zmysłowego. W XX w. przychodziło tu na świat najwięcej nieślubnych dzieci. Cudzoziemcy, zauroczeni filmami Antonioniego i obrazami de Chirico, wręcz przeciwnie, widzą w niej milczącą, pogrążoną w metafizycznym letargu enigmę. Jak na ironię kiedyś było tu bardzo gwarno. Pod rządami rodu d'Este miasto stało się mekką artystów oraz luminarzy renesansu. Dynastia, choć rycerskiego pochodzenia, powodzenie zawdzięczała sprytnym zabiegom dyplomatycznym, lawirowaniu między silniejszymi graczami. Niccolo III gościł na swym zamku dwóch cesarzy: niemieckiego i bizantyjskiego, papieża tudzież sobór, który pogodził (na krótko) łacinników i prawosławnych Greków.

Panowie d'Este inwestowali w uniwersytet (na którym doktoryzował się Kopernik), pierwszy w Europie ogród botaniczny, a przede wszystkim w kulturę i sztukę. Uczynili ze swej stolicy miasto przyjazne muzom: Niccolo sprawił sobie bibliotekę i chór, których zazdrościli mu inni władcy, zatrudniał miniaturzystów i urządzał rycerskie turnieje. Jego następcy – wielbiciele antyku – otaczali się humanistami, patronowali filozoficznym i naukowym dysputom.

Mieli słabość do tapiserii, więc sprowadzali tkaczy z Francji i Flandrii, by w końcu założyć własną fabrykę kobierców. Z książęcego mecenatu korzystali ludzie pióra, rzeźbiarze, medalierzy i rytownicy. Z zaproszenia skorzystał m.in. Wenecjanin Jacopo Bellini, który jako jeden z pierwszych zaczął odchodzić od bizantyjskich schematów. Żaden z obrazów tworzonych dla d'Este się nie zachował, z dokumentów wynika natomiast, że płacono mu w naturze: w 1441 r. dostał dwa korce zboża.

„Ferrara jest ojczyzną marzenia o ustawicznie odświętnym życiu dworskim, o którym malarze i poeci tak uparcie roili potem przez trzy stulecia" – pisał galicyjski erudyta Kazimierz Chłędowski. Ludovico Ariosto napisał tu „Orlanda szalonego", Torquato Tasso „Jerozolimę wyzwoloną". Nad Padem gościli najwięksi artyści quattrocenta: Pisanello, Andrea Mantegna, Piero della Francesca (po wiekach okrzyknięty wynalazcą kubizmu), Donatello i flamandzki mistrz Rogier van der Weyden, który przekonał miejscowych malarzy do zalet realizmu, twórczej ekspresji oraz używania farb olejnych.

PAŁAC BEZTROSKI

Jakob Burckhardt, autor kultowej monografii „Kultura odrodzenia we Włoszech", nazwał Ferrarę pierwszym w historii nowoczesnym państwem. Złośliwiec Chłędowski twierdził, że owa nowoczesność objawiała się przede wszystkim w stworzeniu wyjątkowo sprawnego systemu fiskalnego. Szkatuła d'Este, w przeciwieństwie do skarbca polskich władców, nie świeciła pustkami. Przynajmniej dopóty, dopóki na tronie nie zasiadł Ercole I, nałogowy rozrzutnik. Książę kochał polowania, teatr i muzykę, utrzymywał dwór godny króla, lecz najwięcej pieniędzy pochłaniała jego pasja budowlana. Postawił sobie bowiem za cel uczynienie ze swej stolicy metropolii godnej XVI w.

Obok starej, średniowiecznej Ferrary wyrosła architektoniczna utopia. Herkulesowe (nomen omen) dzieło nigdy nie zostało doprowadzone do końca, lecz szerokie, przecinające się pod kątem prostym ulice, wielkie place i mamucie gmachy zainspirowały urbanistów z całej Europy. Na starość ambitny władca popadł w dewocję. Zapisał się do fanklubu Savonaroli i jął bez umiaru fundować nowe kościoły i klasztory.

Lorenzo Costa, „Ucieczka Argonautów z Kolchidy", 1483 r. FOT. MUSEO NACIONAL THYSSEN-BORNEMISZA, MADRID

Powodem, dla którego od połowy XIX w. miłośnicy renesansu pielgrzymowali do Ferrary, były (oprócz lektury dzieła Burckhardta) freski, odkryte pod warstwą tynku w Palazzo Schifanoia. Nie mają one sobie równych we Włoszech, poza tym dokumentują krytyczny moment w dziejach sztuki: odejście od tematów biblijnych w stronę doczesności. Powstały w 1469 r., gdy w Italii pogaństwo powstało z grobu i spacerowało z chrześcijaństwem pod rękę. Książę Borso, patologiczny kobieciarz, wychodząc naprzeciw duchowi czasów, postanowił udekorować swój Pałac Rozkoszy kompozycją astrologiczną. Każdemu z 12 miesięcy (przetrwało siedem) patronują inni apostoł i bóg olimpijski. Według Muratowa freski „przenika prosta i naturalna radość istnienia i wiara w niezmienne szczęście życia".

Nad wystrojem Palazzo Schifanoia pracowało kilku artystów (m.in. książęcy bastard Baldassare). Prawdopodobnie liderem zespołu był Francesco del Cossa, który latem 1470 r. napisał do zleceniodawcy list z żądaniem większego honorarium. Odpowiedzi nie było, w dodatku Borso grymasił, że głowy są źle namalowane, i poprawki zlecił krewniakowi. Rozeźlony del Cossa opuścił ojczyste miasto na zawsze. W ślad za nim do Bolonii wyjechał 20-letni Ercole de' Roberti, autor fresku opiewającego uroki września i główny bohater wystawy w Palazzo dei Diamanti, poświęconej ferraryjskiej odmianie renesansu.

ZA DUŻO WINA

W czasach Chłędowskiego i Muratowa koneserzy zwiedzający Emilię Romanię byli rozczarowani nie tylko krajobrazem. Zdumiewało ich, że Ferrara jest niemal pozbawiona dzieł swoich mistrzów. Od tej pory sytuacja uległa znacznej poprawie. Pinacoteca Nazionale, mieszcząca się w świeżo odrestaurowanym i przebudowanym Pałacu Diamentowym, zdołała zgromadzić wcale zacną kolekcję prac z epoki d'Este. Tym samym miasto znacznie zyskało na atrakcyjności, ponieważ łącząca prostotę i wyrafinowanie sztuka sprzed pięciu stuleci jest zaskakująco bliska współczesnym gustom.

eprasa.pl 9223c44521

Za kolebkę rinascimento uchodzi Florencja, jednak to Ferrarę pisarz Guido Piovene nazwał „miastem, w którym nasz renesans osiągnął najczystszy wyraz". Ekspozycja, na której udało się zgromadzić ponad sto dzieł z muzeów i prywatnych kolekcji – od Paryża do Teksasu – wystawia dobre świadectwo dyplomatycznym talentom kuratorów. Przełamuje też fatum ciążące nad sztuką, która tylko w niewielkiej części dotrwała do naszych czasów.

Poprzednią ekspozycję o zbliżonych ambicjach zorganizowano w roku 1933 pod auspicjami marszałka Italo Balbo, prominentnego faszysty pochodzącego z Ferrary. Imperialne zapędy Duce drogo miały Włochów kosztować, lecz wystawą prac artystów zapomnianych lub uważanych za drugorzędnych zachwycił się wtedy papież włoskiej krytyki Roberto Longhi (ten sam, który „odkrył" Caravaggia). „Szkoła ferraryjska" stała się modna. Na owym przewartościowaniu najbardziej skorzystał Cosmè Tura. Ulubiony malarz księcia Borso zdradzał zamiłowanie do bezwstydnie świeckich tematów, fantastycznych budowli i krajobrazów, pospolitych fizjonomii oraz jaskrawych barw. Śmierć pryncypała zakończyła karierę Tury. Popadł w niełaskę, opuścił dwór i umarł w nędzy. Jego miejsce zajął Ercole de' Roberti.

Historia lubi się powtarzać. W Palazzo dei Diamanti mistrz znów znalazł się w cieniu młodszego rywala. Kuratorzy poprzestali na sprowadzeniu trzech (aczkolwiek znakomitych) dzieł Tury, natomiast w przypadku de' Robertiego można mówić o prawdziwym benefisie. Nigdy wcześniej nie zgromadzono w jednym miejscu tylu dzieł autora „Września". W gruncie rzeczy niewiele o nim wiadomo poza tym, że był synem odźwiernego z Castello Estense. Vasari, biograf gigantów risorgimento, malarzy z Ferrary programowo zlekceważył. Chwalił Ercole za inteligencję i pracowitość, lecz ganił za nadmierną miłość do wina, sugerując, że nałóg przyczynił się do jego przedwczesnego zgonu (de' Roberti żył lat czterdzieści kilka)

WYPRZEDZIŁ LEONARDA

Sądząc po fresku z Pałacu Beztroski, Ercole już za młodu bardzo dobrze radził sobie z narracją i komponowaniem

Ercole de' Roberti, „Porcja i Brutus", 1490–1493 FOT. KIMBELL ART MUSEUM, FORT WORTH

przestrzeni. Miał również oko do szczegółów oraz nie wstydził się okazywania emocji. Od swego mistrza, del Cossy, nauczył się, jak malować ruch, lecz przewyższał go subtelnością. Dowodem umiejętności 20-latka jest predella poliptyku ołtarza Griffoni, niegdyś znajdująca się w bazylice św. Petroniusza w Bolonii. Del Cossa wziął na siebie malowidła centralne, resztę powierzając uczniowi. Historyk sztuki Carlo Volpe z właściwą Włochom przesadą orzekł, że było to „najpotężniejsze i najbardziej produktywne partnerstwo, jakie zna historia sztuki".

Na panelu o ponaddwumetrowej długości de' Roberti zrelacjonował cuda kanonizowanego w 1458 r. wędrownego kaznodziei – Wincentego Ferreriusza. Jednym z nich jest wygnanie diabła z kobiety, która dybała na cnotę złotoustego dominikanina. Gdy nie udało się jej dopiąć celu, oskarżyła Wincentego o molestowanie (historia sprzed wieków, a jakże współczesna!). Święty w swych pismach i kazaniach gromił heretyków, Żydów i schizmatyków, wieszcząc rychłe nadejście Antychrysta. W XVIII w. ołtarz Griffonich został rozczłonkowany. Każda z części trafiła gdzie indziej, predella – do Muzeów Watykańskich. Jesienią 2020 r. pod hasłem „Ponowne odkrycie arcydzieła" w bolońskim Palazzo Fava wystawiono 16 płócien, prawie komplet, ale mało kto obejrzał zrekonstruowany poliptyk, bo w Italii szalał COVID.

W Ferrarze prezentowane są jedynie części, które wyszły spod pędzla de' Robertiego.

W 1478 r. del Cossa, który malował freski w kaplicy Garganellich w katedrze w Bolonii, padł ofiarą dżumy. O dokończenie dzieła poproszono jego młodego współpracownika. Kaplica stała się sławna, Michał Anioł powiedział, że „jest warta połowy Rzymu", lecz nie przetrwała następnego stulecia. Zachował się fragmencik z głową płaczącej Marii Magdaleny. Jeszcze gorszy los spotkał monumentalną „Madonnę z Dzieciątkiem i świętymi", którą de' Roberti stworzył dla kościoła San Lazzaro w Ferrarze. Przepadła w zbombardowanym przez aliantów Berlinie. W Pałacu Diamentowym można podziwiać tylko czarno-białą fotografię.

Również zdjęcie, ale kolorowe, zastępuje wielki obraz ołtarzowy z kościoła Santa Maria in Porto w Rawennie, będący dziś własnością mediolańskiej Brery. Oryginał znajduje się bowiem na krótkiej liście eksponatów, których muzeum nikomu nie pożycza. „Pietę", bodaj najczęściej reprodukowaną pracę de' Robertiego, można oglądać tylko w Liverpoolu, ponieważ jest „zbyt wrażliwa, by nadawała się do transportu". Z Waszyngtonu sprowadzono arcydzielne portrety władcy Bolonii Giovanniego II Bentivoglio i jego okrutnej żony Ginewry Sforzy. Z Londynu cztery małe, lecz wyjątkowo cenione przez znawców obrazy o tematyce biblijnej. Wśród nich „Ostatnią wieczerzę", którą de' Roberti namalował siedem lat wcześniej niż Leonardo. Osobliwością tej wersji jest wiek Jezusa. Wszyscy apostołowie wyglądają przy nim staro.

W POZŁACANEJ KLATCE

W 1486 r. Ercole wrócił do ojczystego miasta i został nadwornym malarzem swego imiennika. Zarabiał tyle, co komendant fortecy i zarządca książęcego majątku. Niestety, zdarzało się, że d'Este zalegał z wypłatą pensji. Zachował się list, w którym artysta błaga władcę Ferrary o pieniądze, tłumacząc, że brakuje mu na podstawowe potrzeby. Książę zareagował – po czterech latach. De' Roberti, podobnie jak Tura, był zdany na kaprysy mecenasa i jego familii. Dekorował łoża tudzież kominki, pozłacał klatkę ulubionej papugi żony księżnej Eleonory Aragońskiej. W ramach przygotowań do ślubu jej córki, Izabeli, wyprawiono go do Wenecji na zakupy. Projektował stroje dla weselników, ozdabiał powóz, którym panna młoda odjechała do Mantui. Nie mogło go również zabraknąć w orszaku księżniczki.

Innym obowiązkiem dworaka było towarzyszenie chlebodawcom w ich wojażach. Jako członek książęcej świty

eprasa.pl 9223c44521

malarz był świadkiem inauguracji pontyfikatu Aleksandra VI Borgii oraz bawił na Węgrzech, gdzie wykonał konterfekt króla Macieja Korwina. W 1493 r. pracował w Palazzo Belriguardo nad freskiem ilustrującym mit Psyche. Jak łatwo zgadnąć, nie przetrwał on do naszych czasów. Ercole d'Este pasjami przesiadywał w pracowni ulubieńca, choć wszyscy wiedzieli, że de' Roberti należy do artystów, którzy nie cierpią, gdy ktoś patrzy im na ręce.

OBSESJA ALEGORII

De' Roberti nie miał uczniów, lecz echa jego twórczości pojawiają się w pracach drugiego z bohaterów wystawy. Lorenzo Costa, młodszy od dekadę, dłużej czekał na uznanie historyków sztuki. Zarzucano mu wtórność i eklektyzm. Rzeczywiście, nie trzeba być ekspertem, by zauważyć w jego dziełach weneckie światło i kolory, flamandzkie przywiązanie do szczegółów, toskański rysunek oraz narracyjną werwę, charakterystyczną dla mistrzów z Ferrary.

Lorenzo fach odziedziczył po przodkach, jego dziadek i ojciec też byli malarzami. Na szerokie wody wypłynął dzięki wsparciu klanu Bentivoglio. Naśladował styl poprzednika na tyle udatnie, że cykl „Wyprawa Argonautów" (odtworzony na wystawie dzięki przychylności muzeów z Madrytu, Paryża, Modeny i Florencji) bardzo długo uważano za dzieło de' Robertiego. Potem jego sztuka ewoluowała w stronę klasycyzmu, tracąc na ekspresyjności, lecz zyskując na powabie. Pretensje krytyków nie mają sensu. Świat się zmieniał, Leonardo, Perugino i Corregio zdefiniowali nową „manierę". Ferraryjczyk ją zaakceptował i wraz ze swym przyjacielem Franceskiem Raibolinim (zwanym Francią) stał się jednym z najlepszych interpretatorów dojrzałego renesansu.

Okres boloński reprezentują tak miłe dla oka obrazy jak „Madonna z dzieciątkiem i czterema świętymi" z kościoła San Giovanni in Monte, „Święta Rodzina" (sprowadzona z Musée des Beaux Arts w Lyonie) czy „Adoracja magów" – predella z ołtarza kościoła della Misericordia. Giovanni II Bentivoglio tak polubił to dzieło, że w 1506 r., uciekając z miasta, zabrał je ze sobą do Mediolanu. W Bolonii, anektowanej przez wojowniczego papieża Juliusza II, umilkły muzy. Pałac wygnanych tyranów został zdemolowany, freski Costy, przedstawiające pożar Troi i wojny grecko-perskie, zniszczono. On sam spadł jednak na cztery łapy, przyjmując propozycję Gonzagów z Mantui.

Księżna Izabela (córka Ercole d'Este) pretendowała do miana pierwszej damy renesansu i była wymagającą patronką. Swoje komnaty nazwała „rajem". Zakochana w alegoriach wymyślała tematy i narzucała je artystom. Costa nie narzekał na brak zajęcia, lecz w dzisiejszej Mantui jego dzieł trzeba szukać ze świecą. Freski, sławiące przewagi Juliusza Cezara i Gonzagów, nie przetrwały oblężenia Mantui z 1630 r. Z Luwru, który posiada dwa wielkie alegoryczne malowidła Costy, kuratorom udało się wypożyczyć „Weronikę", która była podarkiem dyplomatycznym księżnej Izabeli dla francuskiego króla.

„Portret kardynała" przyjechał do Palazzo dei Diamanti aż z Minneapolis, „Wenera", pozyskana od prywatnego kolekcjonera, jest wcieleniem ideału żeńskiej urody z pierwszej dekady XVI w. Mantua udostępniła zaś obraz z 1525 r., przedstawiający Maryję z Dzieciątkiem w asyście siedmiu świętych. To ostatnie z udokumentowanych dzieł mistrza z Ferrary pierwotnie znajdowało się w kościele św. Sylwestra, w którym go pochowano. Świątynia została zburzona, lecz obraz ocalał. Lorenzo Costa dożył sędziwego wieku, warsztat przejęli po nim synowie i wnuk o takim samym imieniu.

WIELKOŚĆ ODZYSKANA

Tło dla obrazów bohaterów wystawy, ich rywali i współpracowników stanowią prace malarzy mniej znanych lub wręcz anonimowych. Takich jak autor „Ukrzyżowania", Vicino da Ferrara, któremu nazwisko wymyślił XX-wieczny historyk sztuki. Urozmaiceniem są zaś polichromowane rzeźby z terakoty (w Emilii Romanii marmur nie występuje, za to gliny jest dostatek). Guido Mazzoni zaczynał od lepienia masek karnawałowych i teatralnych. Były one tak realistyczne, że sława rzeźbiarza przekroczyła Alpy. Mazzoni przeniósł się do Francji, gdzie wykonał m.in. nagrobek króla Karola VIII w bazylice Saint Denis. Niestety, owo arcydzieło po obaleniu monarchii padło ofiarą rewolucyjnego szału Paryżan.

Wojciech Karpiński w książce „Pamięć Włoch" orzekł, że sztuka Ferrary była pięknym kwiatem pozbawionym owoców. Eseista najwyraźniej zapomniał o manieryzmie tudzież kontynuującej styl Costy szkole bolońskiej. Później dawną stolicę d'Este istotnie ogarnął marazm, ale już w XIX w. dała światu wybornego portrecistę dam, Giovanniego Boldiniego. „Milczące miasto" obudziło się do nowego życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ercole de' Roberti, „Giovanni II Bentivoglio i Ginevra Sforza", 1473–1474
FOT. NATIONAL GALLERY OF ART, WASHINGTON

Wystawa „Rinascimento a Ferrara. Ercole de' Roberti e Lorenzo Costa" w Palazzo dei Diamanti w Ferrarze jest otwarta do 19 czerwca.

eprasa.pl 9223c44521

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CINEMAN player polsat box go

Zabiję ich wszystkich

★★★★★★
„JOHN WICK 4" („JOHN WICK: CHAPTER 4")
USA 2023

wyst. Keanu Reeves, Donnie Yen, Bill Skarsgård

Kto woli zapach benzyny i błysk na karoseriach szybkich fur, zostanie przy „Szybkich i wściekłych". Ja, wybierając swoją bezpretensjonalną rozrywkę na lato, będę wierny zbolałej minie Keanu Reevesa. 15 czerwca w streamingu pojawił się w Polsce „John Wick 4" i jestem pewien, że będzie bił rekordy w cyfrowej sprzedaży, tak jak wcześniej było to w USA. Coś, co zaczęło się jako jednorazowa wprawka w trudnej sztuce pastiszu, przerodziło się w jedną z najbardziej kasowych i efektownych serii kina akcji w historii.

Chwaliłem pierwszy film za czarny humor i za warstwę wizualną oraz energię („Do Rzeczy" 22/2015), martwiłem się lekkością, z jaką Wick likwiduje kolejnych wrogów (wtedy było to 76 trupów). Nie wiem, ile wynosi ostateczny bilans ofiar, wiem za to, że seria Chada Stahelskiego wyminęła ten problem, bo okazało się, że jest to coś więcej niż pastisz. W kolejnych filmach konsekwentnie budowano osobny surrealistyczny świat, w którym przemoc jest jedynym językiem zrozumiałym dla uczestników gry o przetrwanie.

Patrzmy zatem na przesłanie, a nie na obryzgane krwią dekoracje. Oto historia perfekcyjnego zabójcy, który najpierw mści się na krzywdzicielach, a potem próbuje wyrwać się ze świata, z którego ucieczki ponoć nie ma. Ten świat ma swoje reguły, ale zaczynają one być niebezpiecznie naginane, by zaszkodzić naszemu bohaterowi. I okazuje się, że seria „John Wick" to przypowieść, która mogłaby być westernem, filmem samurajskim albo nieznanym opowiadaniem Andrzeja Sapkowskiego. Mniejsza o krew na rękach kilera, smutniejsze jest to, że ci, którzy go otaczają, zapominają o znaczeniu słów „przyjaźń", „lojalność", „honor". Świat uczciwy (nawet tak odrealniony jak uniwersum Wicka) to ten, w którym uczciwości dochowują obie strony. Gdy dzieje się inaczej, trzeba równowagę przywrócić. Wick staje się jednocześnie tragicznym ostatnim sprawiedliwym oraz uosobieniem marzeń zwykłego człowieka o zemście na tych, którzy dla własnej korzyści naginają reguły. Filmy numer jeden i trzy są dobre, dwójka od nich nieco odstawała; część czwarta jest imponującym zwieńczeniem serii. Powstał perfekcyjny film akcji XXI stulecia, w którym wszystko imponuje: tempo, skala, pomysłowość. Opera śmierci, która sprawia, że dokonania tego gatunku już teraz dzielimy na dwa okresy: przed „Wickiem" i po „nim". ©℗

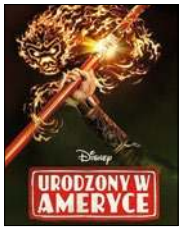

NOWE SERIALE: „URODZONY W AMERYCE" Disney+

W „Zakazanym królestwie" nastoletni bohater przenosił się z Ameryki do krainy chińskich legend, w serialu „Urodzony Amerykanin" to świat magii przychodzi do USA. I oto bohaterowie łączyć muszą naukę w szkole z walką przeciw siłom nie z tej ziemi. Uwaga! Jeden z nich jest synem słynnego Małpiego Króla! Hołd dla wuxia, żonglowanie konwencjami (kino akcji, sitcom, buddy movie) – dużo się tu dzieje. Gościnnie Michelle Yeoh, świeżo po Oscarze za „Wszystko wszędzie naraz". ***Piotr Gociek***

- *sezon 1* ***„Urodzony w Ameryce" („American Born Chinese")****, USA 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Sortownia"****, Polska 2023* CANAL+
- *sezon 2* ***„Jezioro" („The Lake")****, Kanada 2023* prime video
- *sezon 3* ***„Prawi Gemstonowie" („The Righteous Gemstones")****, USA 2023* HBO max

eprasa.pl 9223c44521

Marsz odkupienia

KINO

Jim Broadbent im starszy, tym lepszy. Niedawno jako małomiasteczkowy warchoł czarował w „Księciu", tym razem wcielił się w przeciętniaka, którego z emeryckiej rutyny wyrywa wieść, że dawna przyjaciółka trafiła do hospicjum. Zamiast wysłać grzecznościowy e-mail lub złapać za telefon komórkowy, Harold postanawia złożyć chorej wizytę, choć ma do przejścia, bagatelka, 500 mil. Bardziej od poranionych stóp doskwierają mu jednak myśli o życiowej klęsce. Nasz piechur może liczyć na wsparcie bliźnich, którym samozaparcie Harolda bardzo imponuje. Tylko małżonka nie jest zachwycona pielgrzymką Harolda i ma ku temu pewne powody.

★★★★☆☆

REŻ. HETTIE MACDONALD
„NIEZWYKŁA WĘDRÓWKA HAROLDA FRY"
WIELKA BRYTANIA 2023

wyst. Jim Broadbent, Penelope Wilton, Earl Cave

Aktorski kunszt Broadbenta skutecznie maskuje fabularne mielizny, odwraca również uwagę od płynących z ekranu mądrości typu „ogólnie ludzie są dobrzy" i „światu potrzeba więcej wiary". Powieść Rachel Joyce rozeszła się w 4 mln egzemplarzy. Film tego sukcesu raczej nie powtórzy, gdyż im bliżej finału, tym bardziej odchodzi od chwalebnej prostoty, przeistaczając się w maszynkę do wyciskania łez rzęsistych. Ta erupcja sentymentalizmu u słynących z powściągliwości wyspiarzy świadczy, że brexit i śmierć królowej zachwiały brytyjskim morale bardziej, niż się wydawało. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

FRACHTOWIEC GROZY

vod.pl

Czterdziestu siedmiu koreańskich zbirów, odsiadujących wyroki na Filipinach, czeka deportacja do ojczyzny. Już na lotnisku dochodzi do krwawego incydentu, więc zapada decyzja, by wsadzić ich na statek towarowy. Rejs ubezpiecza grupa doświadczonych stróżów prawa, którzy ani myślą cackać się ze zwyrodnialcami. Nie wiedzą jednak, że pod pokładem spoczywa dodatkowy, jeszcze bardziej śmiercionośny ładunek. Źródła natchnienia twórców azjatyckiego grand guignolu wskazać łatwo: „Con Air" i „Uniwersalny żołnierz". Koreańczycy nie odmówili też sobie przyjemności wbicia szpili Japończykom, z którymi mają rachunki krzywd sięgające drugiej wojny światowej. W kategorii widowisk z cyklu „Kto tu jeszcze został do zabicia?" to film co najwyżej poprawny. Rytm psują pojawiające się co chwila retrospekcje. Nie miejmy jednak złudzeń: jeśli przelicznik sztucznej krwi na wony i dolary okaże się korzystny, to ciąg dalszy nastąpi. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. HONGSUN KIM
„WILCZE STADO"
KOREA POŁUDNIOWA 2022

wyst. In-guk Seo, Dong-yoon Jang, Gwi-hwa Choi

PABLO KANIBAL

TVP VOD

Pół wieku po śmierci „ojca sztuki nowoczesnej" jego gwiazda nadal świeci jasno. Pod muzeami, które urządziły okolicznościowe wystawy, ustawiają się długie kolejki. Dokument, nakręcony 10 lat temu we współpracy z potomkami Picassa, zadziwia obiektywizmem: oddaje hołd artyście, lecz surowo osądza człowieka. Cóż, Pablo zawsze się karmił cudzą energią oraz talentem, wierność w przyjaźni i miłości była zaś dlań pojęciem abstrakcyjnym. Ulubionym tematem Hiszpana było kobiece ciało, zmieniał styl, gdy u jego boku pojawiała się nowa kochanka. Muzy źle znosiły egoizm mistrza, lecz tylko jedna odważyła się go porzucić. Oryginalny tytuł filmu odnosi się do bałaganu, który autor „Guerniki" zostawił spadkobiercom zamiast testamentu. Inwentaryzacja obrazów, rysunków i rzeźb trwała siedem lat. Francuskie państwo popisało się refleksem, zatrzymując dla siebie 3,8 tys. dzieł – w charakterze podatku. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. NANCY HUGHES, OLIVIER WIDMAIER PICASSO
„PICASSO: KOBIETY I SZTUKA"
FRANCJA 2013

GRA TYGODNIA: „DIABLO IV"

Albo będzie dobrze, albo będzie źle – chciałoby się zanucić. To, co dostaliśmy, to solidne podstawy, które Blizzard albo może rozwinąć, sprawiając, że gra stanie się jeszcze lepsza, albo zepsuć miłością do mamony. Na razie jest bardzo dobrze, choć bez większych zaskoczeń. Mroczniejszy klimat niż w trójce, mnóstwo nawiązań do dwójki (spotkamy też starych przyjaciół i dawnych wrogów), dość ciekawa historia i charyzmatyczna postać demonicznej Lilith. Bardzo wiele aktywności w Sanktuarium na sterydach, endgame wydaje się być bardziej zróżnicowany niż poprzednio, choć tu... albo będzie dobrze, albo... ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *RPG, hack'and'slash*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Blizzard Entertainment*

eprasa.pl 9223c44521

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Profil Mariana Eilego

To już druga w ostatnim czasie książka o twórcy tygodnika „Przekrój". W 2019 r. „»Przekrój« Eilego" opublikował Tomasz Potkaj. Mariusz Urbanek powiada, że w zaistniałej sytuacji zastanawiał się nawet, czy kończyć swą opowieść, co jednak uczynił, a dzięki poprzedniej pozycji mógł pominąć „niektóre opisane tam wątki rodzinne i skoncentrować się na fenomenie »Przekroju« i roli Eilego w przeprowadzeniu polskiej inteligencji przez »morze czerwone«". Owe wątki rodzinne odnoszą się głównie do żydowskości (w świetle ustaw norymberskich) założyciela i redaktora naczelnego wydawanego w Krakowie pisma, do którego lektury przez dłuższy czas zasiadać trzeba było z nożem do papieru w ręku. W końcu nosiło tytuł „Przekrój".

Agnieszka Osiecka napisała, że Eile „starał się, żeby jakoś przetrwać stalinizm, nie ubłociwszy kaloszy i nie przestając jeść ryby dwoma widelcami". Rzeczywiście, starał się, ale jakby słabo. W „Przekroju" – jak gdzie indziej – roniono łzy po śmierci Stalina, potępiano szpiegów w sutannach i amerykańskich imperialistów; egzekucji węgierskiego premiera Imre Nagya „nie zauważono" itd., itp. Ale że niemal równolegle popularyzowano zasady „demokratycznego" savoir-vivre'u, pisano o Picassie i jazzie, drukowano Gałczyńskiego i purnonsensowe żarty o psie Fafiku, publikowano rysuneczki Lengrena z profesorem Filutkiem w roli głównej i krzyżówki z kociakiem, uznano pismo za światłe, nowoczesne i wprawdzie na pewno nieopozycyjne, a także niekomunistyczne. Tak że mógł Eile chadzać w glorii budowniczego „Przekrojowej" cywilizacji dopóty, dopóki nie okazało się, że jego dni na fotelu naczelnego redaktora są policzone. Powszechnie uważa się, że padł ofiarą czystek antysemickich. W istocie w marcu 1969 r. wyjechał z Polski absolutnie legalnie na paszporcie służbowym. Tyle że nie kwapił się z powrotem. O emigracji nie myślał. Zdaniem Kisiela był na to zbyt ambitny; jego ojciec był legionistą i pułkownikiem Wojska Polskiego, a on sam oficerem rezerwy, uczestnikiem wojny z Niemcami w 1939 r. Ale – jak pisał Stefan Kisielewski – „wolał być Polakiem w Paryżu niż Żydem w Krakowie". Do czasu.

FOT. MARTYNA URBANEK

Nieoczekiwanie wrócił do kraju po półtora roku. Kisiel skonstatował wtedy, że zaszły w nim zmiany. Tak jak wcześniej unikał rozmów o polityce, tak teraz mówił tylko o niej. „A w ogóle wbijał mi w głowę – pisał Kisiel – że muszę zrozumieć, iż partia komunistyczna rządzi nie dla społeczeństwa czy jakiejś idei, lecz dla siebie. Ciekawe, że nie przeszkadzało mu to redagować »Przekroju«". Obaj panowie, szanujący się i lubiący, „sprzeczali się, czasem wręcz kłócili – czytamy w książce Urbanka. – Kisiela drażniła arogancja wymieszana z kokieterią gościa, który twierdził, że pożyje jeszcze najwyżej półtora roku. Eile kpił z patriotyzmu i katolicyzmu Kisielewskiego, ale przede wszystkim miał do wszystkich wokoło pretensje o to, jak źle go Polska potraktowała. Kisiel się temu dziwił. Uważał, że Eile jest sam sobie winien. Przecież ktoś, kto w komunistycznym kraju redaguje pismo o półmilionowym nakładzie, powinien być przygotowany, że w końcu zostanie skopany i opluty. Tak działa ten system, który w dodatku bezmyślnym antysemityzmem zraża do siebie najzdolniejszych ludzi. A przecież, zdaniem Kisielewskiego, Eile i tak mało wycierpiał – oczywiście jak na… garbatego. »Sam nie wiem, czy większe są jego zasługi, iż wyrobił w nowych Polakach zachodnie, niesowieckie gusta, czy też jego przestępstwa, że w zachodnim opakowaniu podawał komunistyczną propagandę« – dodał".

Zdaniem Marii Anny Potockiej, dyrektorki Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie, Eile „miał z lekka anarchistyczne podejście do polityki i historii. Polityków uważał za niższą kategorię ludzi. Kiedyś bardzo mnie zaskoczył, mówiąc, że nie obchodzi go, kto odpowiada za Katyń. Dla niego było ważne jedynie to, że i Niemcy, i Rosjanie są do czegoś takiego zdolni". W gierkowskiej dekadzie współpracował ze „Szpilkami", gdzie prowadził rubrykę „Franciszek i inni", wysoko ocenianą przez czytelników. Pół roku po pierwszym odcinku w rankingu na ulubioną pozycję w piśmie zajęła ona trzecie miejsce, ustępując tylko „Humorowi zagranicznemu" i felietonowi Urbana (tak, tak). Urządzał też Eile zabawne sesje, a właściwie seriale fotograficzne, a w 1982 r. w Warszawie otwarto wystawę jego obrazów. O „Przekroju" już tylko wspominał, nieczęsto zresztą.

Zmarł w 1984 r. Miał 74 lata. W żadnym wypadku nie nazwałbym go „poczciwym cynikiem". Ale „cwaną gapą" – i owszem. ©℗

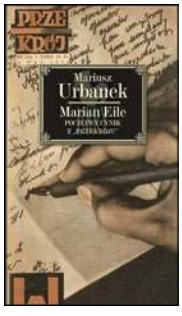

★★★☆☆☆

MARIUSZ URBANEK „MARIAN EILE. POCZCIWY CYNIK Z »PRZEKROJU«" ISKRY, WARSZAWA 2023

eprasa.pl 9223c44521

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Podróże kpiarza

Jedni z najdziwniejszych podróży przywiozą garść banalnych spostrzeżeń, inni wyjdą na spacer do parku i wrócą z kapitalną opowieścią. Książka francuskiego klasyka dowodzi, że ciekawe rzeczy przytrafiają się tylko tym, którzy potrafią o nich ciekawie opowiadać. A przecież jest to książka niemal z niczego. W Belgii Gautier szuka jakiejś biuściastej blondynki, bo chce zobaczyć, jakim typem urody inspirował się Rubens. Pech chce, że napotkane Belgijki są wychudzone i ciemnowłose. Z Anglii przywozi refleksje na temat sztuki kulinarnej („Porządny paryżanin, nieprzywykły do tak osobliwych potraw, skosztowawszy pierwszej łyżeczki, uzna, że został otruty"). „Wyprawa za rogatki" to wycieczka na paryskie przedmieścia, gdzie nie ma nic poza wysypiskiem śmieci, rzeźnią czy fabryką nawozów. Teophile Gautier częstuje nas w efekcie soczystym kawałem literatury, która zawstydziłaby autorów najkrwawszych horrorów.

Bezczelnie pozuje na podróżnika o refleksji globalnej, choć o Asyrii, Chinach i Indiach rozpisuje się na podstawie wizyty w Luwrze czy na londyńskiej Wystawie Światowej. A jednocześnie ostentacyjnie ignoruje czytelnicze oczekiwania. Po pierwsze, nie interesują go kompletnie miejsca rekomendowane przez innych podróżników (w tym autorów przewodników czy wcześniejszych relacji z podróży). Po drugie, kiedy już na coś zwróci uwagę, to opisuje zwiedzane miejsce w sposób, który raczej utrudni jego zidentyfikowanie lub zrozumienie, czym jest jego genius loci. Szczegółowo za to opisuje fizjonomie towarzyszy podróży czy miny przechodniów. Wszystko to jest niezwykle zabawne; czytałem „Kaprysy i zygzaki", jakby była to francuska odpowiedź na Dickensowski „Klub Pickwicka", zaśmiewając się czasem w głos.

Gautier, zapomniany romantyk, głoszący hasło „sztuki dla sztuki" i ostentacyjnie lekceważący oczekiwania czytelników, wyprzedził swoją książką (z połowy XIX stulecia) surrealistów o siedem dekad. Myślę, że by się z nimi dogadał. Jego historie podróżne mają w sobie też coś z ducha Borgesa, który lekko przechodził od realnego do nierealnego i niemal niezauważalnie kpił z czytelnika. Nie jest to książka dla tych, którzy kochają podróże, ale dla tych, którzy kochają literaturę. ©℗

★★★★★☆

TEOPHILE GAUTIER „KAPRYSY I ZYGZAKI" PIW 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerny wybór pism ze zbioru „Rationalism in politics" przybliża polskiemu czytelnikowi najważniejsze idee wybitnego brytyjskiego filozofa. Wybór i wstęp: Samanta Stecko, posłowie: Piotr Nowak.

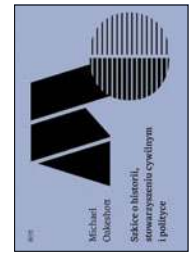

MICHAEL OAKENSHOTT „SZKICE O HISTORII, STOWARZYSZENIU CYWILNYM I POLITYCE" PIW

Od szkolnych kolegów, przez współpracowników, do hierarchów: zbiór wspomnień, dokumentów i świadectw. Planowano jego wydanie w roku 1979, światło dzienne ujrzał dopiero dziś.

AUTORZY RÓŻNI „OJCIEC KOLBE NIE WSZYSTKIM ZNANY" WYDAWNICTWO OJCÓW FRANCISZKANÓW

Znakomity tekst Michała Łuczewskiego „Słowiańska teologia polityczna" otwiera numer pełen rozważań o starciu Ukrainy z Rosją z perspektywy wiary katolickiej. Lektura obowiązkowa.

AUTORZY RÓŻNI „44. MAGAZYN APOKALIPTYCZNY NR 13"

Nowa powieść cenionego autora horrorów i thrillerów. Rok 1934, Luizjana. Desperackie czasy rodzą zuchwały plan porwania. Czy pokrzyżuje je człowiek, który słyszy to, czego inni usłyszeć nie potrafią?

ROBERT MCCAMMON „SŁUCHACZ" VESPER

KOMIKS TYGODNIA: „ŚWIAT AKWILONU"

Akwilon, uniwersum stworzone przez dwóch francuskich scenarzystów (Jean-Luc Istin oraz Nicolas Jarry), to miejsce akcji już ponad 80 albumów. Jarry tworzy kolejne fabuły, a rysownicy zmieniają się w zależności od serii. Podseria „Krasnoludy" przynosi klimat niczym z „Warhammera", a cykl „Elfy" budzi skojarzenia ze światem popularnej gry „Dungeons & Dragons". Propozycja dla fanów klasycznej fantasy.

AUTORZY RÓŻNI, „ŚWIAT AKWILONU" (SERIE „KRASNOLUDY", „EFY") EGMONT 2023

eprasa.pl 9223c44521

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Malować Chopina

Ponad 300 prac obrazujących 295 utworów Fryderyka Chopina. Ten cykl Jerzego Dudy-Gracza dedykowany polskiemu kompozytorowi to dowód wielkiego umiłowania malarza do muzyki mistrza i jedyne bodaj tak monumentalne dzieło malarskie inspirowane utworami kompozytora. Utworami, dodajmy, powszechnie znanymi oraz kompozycjami zaginionymi, których duch przetrwał jedynie w korespondencji czy literaturze. Takich prac jest w tym zbiorze kilkadziesiąt.

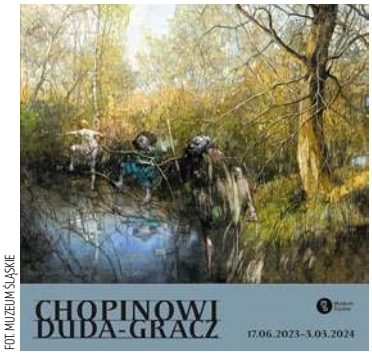

FOT. MUZEUM ŚLĄSKIE

Nie mogłoby być inaczej, takiej wystawie musi towarzyszyć muzyka. Na koncert organizowany przy okazji wernisażu wystawy „Chopinowi Duda-Gracz" specjalnie z Wiednia przyjeżdża pracujący w Operze Wiedeńskiej światowej sławy skrzypek Piotr Gładki, któremu na fortepianie towarzyszy Joanna Steczek, pianistka z Akademii Muzycznej w Katowicach. Ale to nie wszystko, bo „wystawie towarzyszyć będzie muzyka Fryderyka Chopina w wykonaniu Janusza Olejniczaka [...] na instrumentach historycznych oraz serii Koncertów zatrzymanych w czasie, będących rejestracją wydarzeń artystycznych festiwali Chopin i jego Europa". ©℗

GDZIE? ***Katowice, Muzeum Śląskie***
KIEDY? ***do 3 marca 2024 r.***

FOT. MARCIN GULIŚ/ MUZEUM KRAKOWA

CUDOWNE LATA

Idealna okazja, by pokolenie dorastające w PRL pokazało namiastkę analogowego świata swoim dzieciom. Wystawa o zabawach, grach, postaciach, przedmiotach, które wypełniały dzieciństwa dzisiejszych ~40-latków. Celuloidowe lalki, misie trociniaki, figurki żołnierzyków, zabawkowe pojazdy, popularne planszówki, wrotki, zośka, kolejka elektryczna, rzutnik do bajek, Reksio, Bolek i Lolek, Atari czy... trzepak (!). Można powspominać, można pooglądać, można dotknąć, a nawet się pobawić. ©℗

GDZIE? ***Kraków, Muzeum Nowej Huty***
KIEDY? ***do 7 stycznia 2024 r.***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Już nadszedł czas

Druga część Wojtka Mazolewskiego zachwytów nad wszechświatem. Japoński tytuł „Yugen" właśnie to oznacza.

Album rozpoczynają ciche, choć niepokojące dźwięki. Po minucie żeński głos intonuje mantrę: „Jestem, jestem, jestem tu", a po kolejnej Szczyl rozpoczyna rap o życiu na blokowisku. Po tym groźnym początku twangowa gitara Wojtka wprowadza nas do innego świata. To kojąca kraina, przepełniona wiarą w ludzi i przyrodę. Teksty napisał Wojtek, a jego newage'owe przesłania z uczuciem interpretują Bela Komorowska, Joanna Halszka Sokołowska i Ifi Ude. On sam wykonuje dwie piosenki, ale częściej „śpiewa" gitarą. Jest to bowiem klasyczny gitarowy album, w którym przestrzeń i barwy odgrywają najważniejszą rolę. Jeśli chcemy wejść do tego świata zachwytów, to należy, banalnie mówiąc, otworzyć serce. Finałowy utwór, „Dzwon życia", rozwija się powoli, by w swej drugiej części przerodzić się w burzliwe wezwanie: „Już nadszedł czas, by się obudzić / To wolny świat i mądrzy ludzie / Stoimy razem i niech się wydarzy / To, o czym śnimy, to, co nam się marzy".

Mazolewski przyznaje się do hipisowskich przesłań znanych z albumów Neila Younga czy Grateful Dead, ale równocześnie przy nagrywaniu tej płyty inspirował się dokonaniami współczesnych zespołów w rodzaju Tame Impala czy Khruangbin. ©℗

★★★★☆☆
WOJTEK MAZOLEWSKI
„YUGEN 2 – JESTEM"
AGORA

★★★☆☆☆
SIMPLY RED
„TIME"
221WARNER

Trzydzieści lat temu Mick Hucknall był supergwiazdą. Dziś jest dobrym wójciem, co przynosi tylko dobre wieści. Piętnasty album Simply Red nadaje się idealnie jako dźwiękowy podkład pod wspominkowe small talki przy herbatce i kruchych ciasteczkach.

★★★★★☆
MIKE OLDFIELD
„TUBULAR BELLS: 50TH ANNIVERSARY EDITION"
UMC

Pół wieku minęło jak jeden dzień. Mike miał 19 lat. Nikt nie chciał wydać płyty, więc Richard Branson założył wytwórnię i sprzedał 18 mln egzemplarzy. Do dziś Mike wydał cztery nowe wersje „Dzwonów". Jubileuszówka zawiera bonusy, nowe miksy i zacnie kosztuje. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

eprasa.pl 9223c44521

Krzysztof Masłoń

Rodzina przed telewizorem oznacza same problemy

Zmień kanał

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Gość w dom, Bóg w dom. Postanowiła mnie nawiedzić ciocia Idalia, a jakby tego mało, wzięła ze sobą w podróż wuja Gienia. Mówi się – trudno. Z wujem kłopot mniejszy, bo od telewizora nie można go oderwać, a podoba mu się wszystko. Za każdym razem gromko oznajmia: „Ja już to widziałem", w czym zresztą nie jest odosobniony, jako że na szklanym ekranie wakacje w pełni i poza powtórkami niczego innego się nie uświadczy. Ale wujowi w to graj, bo „skoro widział – dogryza ciociunia – to rozumie". Ona, choć podśpiewuje „Wszystko już było – rzekł Ben Akiba. / A gdy nie było, śniło się chyba" – co napisał Konstanty Ildefons Gałczyński grubo ponad 70 lat temu, a tej „Piosence z historii świata" nie pozwolił zestarzeć się Kabarecik Olgi Lipińskiej, gdzie pełnił rolę nieomal hymnu – nieustannie domaga się zmiany kanałów, w płonnej nadziei, że trafi wreszcie na coś nie tyle może nowego, ile tego, co w swoim czasie jakimś cudem przeoczyła. Ale też przesadza, zakłócała bowiem swoimi żądaniami nawet transmisję z finału Rolland Garros w Paryżu, w którym Iga Świątek odniosła wiekopomny sukces, rozsławiając imię Polski na wieki wieków, amen. Ciotka jednak kręciła nosem, narzekając, że to już oglądała wcześniej, nawet dwa razy. „Nuda" – bluźniła, wuj za to uśmiechał się szeroko, w najbardziej emocjonujących momentach wyrokując: „Na pewno wygra, ja wam to mówię".

Jeszcze poważniejszy problem spowodował festiwal opolski, gdyż cioteczka upierała się, że odbył się on już dwa tygodnie wcześniej. „Ależ to był festiwal w Sopocie" – tłumaczyłem jak komu mądremu, ona jednak wiedziała lepiej. „W Sopocie są festiwale międzynarodowe, a w Opolu krajowe – tokowała. – I już widziałam Alicję Majewską, Edytę Górniak i Marylę Rodowicz". „No to zobaczysz raz jeszcze" – zadecydowałem, co bardzo ucieszyło wuja, który na to konto zaintonował piosenkę „Ale to już było", wyprzedzając zresztą wydarzenia, bo ta odśpiewana została dopiero w finale festiwalu odbywającego się już po raz 60. pod Wieżą Piastowską. Który to finał wuj Gienio przespał zresztą, bo jakoś tak przed samą północą zachrapał.

Nie przeoczył natomiast wujo płynących z opolskiej estrady deklaracji kolejnych wykonawców, zapewniających, że nikogo tak nie kochają, jak opolskiej publiczności. Co drugi na dzień dobry krzyczał zresztą: „Opole!", zapewne w trosce, by nikt nie pomyślał, że akcja całego przedsięwzięcia dzieje się gdzie indziej, np. w Kielcach. A o możliwości takiej, branej swego czasu całkiem poważnie pod uwagę, przypomniał prezydent Opola, wcześniej stygmatyzujący telewizję publiczną jako „szczujnię", teraz jednak proszący, by nie przenosiła aby festiwalu gdzie indziej. „Bez obaw – orzekła ciocia Ida – PiS nie odda święta polskiej piosenki komu innemu. Bałabym się raczej opozycji, w końcu w Niemczech też są festiwale, w Berlinie na pewno jakiś jest". „W Rostocku też mieli – wtrącił wujo. – Tam dawali Bursztynowe Patery, a u nas Bursztynowe Słowiki". „To w Sopocie – próbowałem zapanować nad tą nazbyt chaotyczną wymianą poglądów. – Ale ten festiwal, ze Słowikami, zobaczymy dopiero w końcu sierpnia. Na TVN". „I tam też będą Majewska, Górniak i Rodowicz?" – dopytywała się ciekawska ciotunia. Tu, traf chciał, Justyna Steczkowska wystąpiła z wysmarowanym czerwoną farbą na białej koszuli apelem: „Myśl samodzielnie". „Ach, ta polityka" – teatralnie westchnęła ciotka.

– Jaka polityka? – odezwała się wreszcie moja żona, obrażona na cały świat, odkąd skazano ją na puste miesiące bez nowych odcinków seriali, które ogląda bez opamiętania. – Nareszcie ktoś zaproponował coś sensownego, a nie tylko bicie piany.

– A zięć prezydenta ci się, złotko, nie podobał? – zapytała cioteczka.

– Którego prezydenta?

– Kwaśniewskiego. Czytam właśnie jego książkę…

– To Badach napisał książkę?

– Nie, Kwaśniewski.

– Sam napisał?

Przerwałem ten dyskurs od siedmiu boleści, wyjaśniając, że ukazał się wywiad rzeka z eksprezydentem, a jeśli chodzi o Kubę Badacha, to jego dłuższy speech opolski został odebrany przychylnie, o całe niebo lepiej niż książka teścia. A Tadeusz Woźniak nawet Kubie pogratulował.

– A ten to musi być w moich latach… Śpiewał, że biegnie, gryząc pomarańcze, a ziemia mu pod nogami tańczy. Taki był… Ludzie pytali, skąd wziął pomarańcze, to tłumaczył się, że lubi zapach pomarańczy. Kto nie lubił… Ale mijał się z prawdą, bo wyraźnie było słychać, że gryzł te owoce, a nie tylko wąchał. Ho, ho… Jeszcze wcześniej śpiewał w „Dzikusach". Były czasy…

Zapowiadało się na dłuższe wspominki, wuj był bowiem fanatykiem bigbitu. Wkroczyłem zdecydowanie: – Wuju, napijemy się?

– Pomarańczówki?

– A skąd! – obruszyłem się, wyciągając whiskacza.

– Szkoda – zafrasował się wuj. – Rok 1980 mi się przypomniał, jak już całą gorzałę wymiotło ze sklepów monopolowych i tylko pomarańczówka została.

– Tylko tyle zapamiętał wuj z karnawału Solidarności? – z niewinnym uśmieszkiem spytała moja żona.

– Ciocia się z nami kieliszeczek napije? – wszedłem jej w słowo.

– Zawsze! Tylko kanał zmień.

– W żadnym wypadku. Zaraz będzie koncert festiwalowy, na specjalne życzenie telewidzów – zaoponował wujo.

Nie pomylił się. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT

DODATEK SPECJALNY – część 18

Niebezpieczeństwa seksedukacji

• Edukacja seksualna. Za czy przeciw? • Jak bronić dzieci przed pornografią
• O metodach nowoczesnej edukacji seksualnej

FOT. ADOBE STOCK

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości
funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 9223c44521

Edukacja seksualna. Za czy przeciw?

FOT. ADOBESTOCK

Zbigniew Barciński

Gdyby patrzeć na spór o edukację seksualną przez pryzmat mediów głównego nurtu, można by odnieść wrażenie, że chodzi o walkę między postępem a zacofaniem, nowoczesnością a średniowieczem, nauką a ideologią katolicką. Jak jest naprawdę?

W tym sporze można wyróżnić trzy poziomy. Pierwszy dotyczy wartości podstawowej edukacji seksualnej, jej zasady konstrukcyjnej. Drugi – jej ideału wychowawczego, czyli zespołu wzorców normatywnych. Trzeci – sposobu organizacji zajęć w szkole, czyli m.in. nazwy przedmiotu i zasad udziału.

Na pierwszym poziomie kwestią sporną jest pytanie: Co powinno być wartością podstawową edukacji seksualnej? Padają tu dwie alternatywne odpowiedzi: rodzina albo przyjemność. W pierwszej podkreśla się, że trwałe małżeństwo i dzieci to tak wielkie wartości, że powinny stanowić kontekst i ramę dla seksu, że przyjemność seksualną trzeba podporządkować dobru miłości małżeńskiej i rodziny. W drugiej podkreśla się, że w imię przyjemności seksualnej trzeba usunąć wszelkie bariery na drodze do jej osiągnięcia. Seks trzeba oderwać od kontekstu małżeństwa i potomstwa – i w ten sposób wyzwolić z krępujących go ram rodziny.

Na drugim poziomie kwestią sporną jest pytanie: Jaki powinien być ideał wychowawczy edukacji seksualnej? Tam, gdzie wartością podstawową tej edukacji jest rodzina, chodzi o wychowanie osoby, która ceni trwałe małżeństwo, ojcostwo i macierzyństwo. Właściwym miejscem aktywności seksualnej jest dla niej małżeństwo, bo tylko ono buduje rodzinę. Dzieci traktuje jako wartość i dlatego akceptuje naturalne metody planowania rodziny. Taka osoba panuje nad swoją seksualnością, tak by służyła ona trwałości i szczęściu rodziny. Identyfikuje się ze swoją płcią – męską lub żeńską – bo to mężczyzna i kobieta tworzą rodzinę. Tam, gdzie zasadą tej edukacji jest przyjemność, chodzi o wychowanie osoby, która jest otwarta na „różnorodne związki" tworzone przez „partnerów" i na „niestereotypowe" związki „rodzinne". Akceptuje ona każdą aktywność seksualną (np. masturbację, korzystanie z pornografii, seks z przygodnymi osobami, prostytucję, seks homoseksualny, biseksualny, sadomasochistyczny itd.), jeśli jej strony wyrażają na nią zgodę. Możliwe poczęcie dziecka traktuje jako zagrożenie. Unika tego „niebezpieczeństwa" za pomocą antykoncepcji albo aborcji. Taka osoba nie próbuje opanować impulsów seksualnych, bo nie ma do tego żadnych powodów. Jest gotowa na określenie swej płci według tego, co odczuwa, bo to da jej nowe możliwości poszukiwania przyjemności. Spór o ideał wychowawczy jest więc – w pewnym uproszczeniu – sporem o to, czy wchodzący w dorosłe życie młodzi ludzie powinni umieć założyć rodzinę czy prezerwatywę.

Na trzecim poziomie kwestią sporną jest pytanie: Jak powinny być zorganizowane w szkole zajęcia z edukacji seksualnej? Z jednej strony mamy realizowany obecnie od IV klasy szkoły podstawowej przedmiot, który w swej nazwie wskazuje na wartość podstawową: wychowanie do życia w rodzinie (WDŻ). Szkoła ma obowiązek zorganizować zajęcia z tego przedmiotu, ale o uczestnictwie w nich decydują rodzice dziecka (lub pełnoletni uczniowie). Dla drugiej strony sporu charakterystyczny jest projekt ustawy o edukacji seksualnej, wniesiony do Sejmu w 2013 r. [druk sejmowy 1298]. Wedle tego projektu – wtedy odrzuconego – przedmiot wiedza o seksualności człowieka powinien być obowiązkowy od I klasy szkoły podstawowej. Układ i zakres treści powinny być oparte na „Standardach edukacji seksualnej w Europie", nazywanych w skrócie standardami WHO. W sporze o organizację zajęć mamy więc następującą alternatywę: albo dobrowolny WDŻ, albo obowiązkowa wiedza o seksualności człowieka według standardów WHO.

Istotą sporu jest de facto pierwsza kwestia: Co powinno być podstawową wartością edukacji seksualnej – rodzina czy przyjemność? Odpowiedzi na pytania o ideał wychowawczy i organizację zajęć są bowiem tylko logiczną konsekwencją tego fundamentalnego rozstrzygnięcia.

ARGUMENTY I KONTRARGUMENTY

Zwolennicy edukacji seksualnej służącej rodzinie tak za nią argumentują: ma ona wielkie znaczenie profilaktyczne, co potwierdzają badania naukowe (zapobiega wczesnej inicjacji, ciążom nieletnich dziewcząt, aborcjom, chorobom przenoszonym drogą płciową), promuje całościową wizję seksualności umieszczoną w kontekście rodziny; zajęcia WDŻ są dobrze prowadzone, a młodzież jest z nich zadowolona, podczas zajęć WDŻ jest poszanowana wola rodziców. Jedno-

eprasa.pl 9223c44521

cześnie wysuwają takie kontrargumenty przeciw edukacji seksualnej służącej przyjemności: to jest demoralizacja, deprawacja, seksualizacja dzieci i młodzieży, jest w interesie pedofilów, jej skutkiem jest wiele negatywnych zjawisk społecznych (m.in. wczesne inicjacje, aborcje, choroby); wiedza o seksualności jest fragmentaryczna i pozbawiona kontekstu małżeństwa i rodziny, ma ona charakter ideologiczny oraz jest elementem radykalnej przebudowy kultury i życia społecznego, łamie prawa rodziców do wychowywania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami.

Zwolennicy edukacji seksualnej służącej przyjemności argumentują następująco: ma ona charakter naukowy, jest rzetelna i nowoczesna, chroni dzieci przed pedofilami, wiedza o antykoncepcji jest niezbędna już dzieciom, wiedza na temat seksu jest ważniejsza niż prawa rodziców, rodzice są w tych sprawach niekompetentni, jest to jedyna alternatywa dla czerpania wiedzy o seksie z internetowych stron pornograficznych, a sprzeciw wobec tej edukacji ponoszą tylko niebezpieczni dla społeczeństwa fundamentaliści i faszyści. Jednocześnie tak kontrargumentują przeciw WDŻ: to nie jest w ogóle edukacja seksualna, bo nie daje ona uczniom wiedzy o seksie (szczególnie o antykoncepcji), na WDŻ rozpowszechniane są mity i kłamstwa o seksie, WDŻ utwierdza w uczniach wstyd seksualny, pruderię i zahamowania, WDŻ to średniowiecze, WDŻ to bardzo słabe zajęcia prowadzone przez niekompetentne osoby, WDŻ to narzucanie koncepcji seksualności Kościoła katolickiego.

Warto poczynić tu dwie uwagi. Z jednej strony argumentacja obu stron nie dotyczy istoty sporu. Zwolennicy WDŻ nie eksponują dostatecznie mocno, że największym jej atutem jest właśnie prorodzinność. W krytyce standardów WHO nie podkreślają, że powinno się je odrzucić przede wszystkim dlatego, że są antyrodzinne. Z drugiej strony zwolennicy standardów WHO nie wskazują przyjemności jako głównego powodu przyjęcia ich propozycji. Osią ich krytyki WDŻ nie jest też jego prorodzinność. Argumentacja obu stron koncentruje się na niższych poziomach sporu: zwolenników WDŻ na poziomie sporu o ideał wychowawczy, zwolenników standardów WHO na poziomie sporu o organizację zajęć.

Ponadto w argumentacji obu stron dominuje krytyka odrzucanego modelu, a nie wskazywanie wartości własnej propozycji. Dla jakości debaty publicznej byłoby lepiej, gdyby ten spór toczył się o wartość podstawową edukacji seksualnej i gdyby dominowały argumenty pozytywne – za wyborem proponowanych modeli.

KTO MA RACJĘ?

Spór o wartość podstawową edukacji seksualnej jest w debacie publicznej na dalszym planie. Gdyby ta tematyka stanęła w jej centrum, to jedna strona mogłaby mocniej eksponować szeroką, interdyscyplinarną argumentację dla uzasadnienia wyższości wartości rodziny nad przyjemnością, a druga mogłaby podkreślać wyższość przyjemności, bo przyjemność równa się szczęściu. Wtedy wyraźnie byłoby widać, że ten spór stawia przed nami fundamentalne pytanie o człowieka: Co daje mu szczęście – zdolność do bezinteresownej miłości czy nagromadzenie przyjemności?

Na poziomie sporu o ideał wychowawczy ściera się wiele argumentów. Wśród nich są m.in. argumenty „z pedofilii". Zwolennicy wprowadzenia do szkół standardów WHO przekonują, że tego typu edukacja seksualna uczy dzieci obrony przed pedofilami, przed „złym dotykiem". Przeciwnicy twierdzą, że wręcz przeciwnie – osłabia ich naturalne odruchy obronne przed pedofilami. Jeśli sięgniemy do standardów WHO, to znajdziemy tam m.in. zalecenia, żeby dzieciom od szóstego roku życia „pomóc rozwijać" „zrozumienie pojęcia »akceptowalne współżycie/seks« (odbywany za zgodą obu osób, dobrowolny, równy, stosowny do wieku i kontekstu, zapewniający szacunek dla samego siebie" (s. 42), a między 12. a 15. rokiem życia nauczyć dziecko „umiejętności negocjowania i komunikowania się w celu uprawiania bezpiecznego i przyjemnego seksu" (s. 48). Zarówno w obydwu zaleceniach, jak i we wszystkich standardach WHO nie ma mowy o tzw. wieku zgody, czyli wieku, od którego aktywność seksualna jest dopuszczalna prawnie. W polskim prawie jest to 15 lat. Warunek „stosowności wieku" – obecny w jednym z tych zaleceń – jest ogólny i niekonkretny. Obydwa zalecenia dopuszczają zatem interpretację, że czymś dobrym jest współżycie seksualne np. 30-latka z dzieckiem 12-letnim, jeśli tylko zostało ono wynegocjowane jako „przyjemne i bezpieczne" i obydwie strony się na to zgodziły. W świetle polskiego prawa taka sytuacja to pedofilia. Spór o edukację seksualną stawia nas więc wobec pytania o bezpieczeństwo dzieci w szkole: Czy uczenie sześciolatków pojęcia „akceptowalne współżycie/seks za zgodą stron", a 12-latków negocjacji „przyjemnego i bezpiecznego seksu" pomaga dzieciom w obronie przed pedofilami? Czy wręcz przeciwnie – osłabia ich naturalne odruchy obronne i służy pedofilom?

Na poziomie sporu o ideał wychowawczy ścierają się także argumenty „z badań naukowych". W standardach WHO znajdziemy zapewnienia, że obecne tam wzorce normatywne są oparte na nauce, ale żadne konkretne badania nie są tam opisane. Jeśli ktoś jest nimi zainteresowany, to ma podane wskazówki, gdzie ich szukać. Zwolennicy WDŻ w uzasadnieniu swojego ideału wychowawczego także odwołują się do nauki. Eksponują m.in. wyniki badań Eurostatu na temat zjawisk społecznych, mających związek z typem edukacji seksualnej realizowanym w różnych krajach. Stajemy więc przed pytaniem o rzetelność argumentacji w tym sporze: Kto jest bardziej wiarygodny – ten, kto przytacza wyniki badań naukowych na poparcie swojej koncepcji, czy ten, kto tylko zapewnia, że takie wyniki są, ale trzeba ich szukać samemu?

Na poziomie sporu o organizację zajęć w szkole ścierają się m.in. argumenty dotyczące ich dobrowolnego lub przymusowego charakteru. W przypadku WDŻ udział w tych zajęciach zależy od decyzji rodziców (dorosłych uczniów). Podstawowym argumentem jest tu prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami, poświadczone m.in. przez Konstytucję RP. Państwo ma pomagać rodzicom w wychowaniu, a nie ich zastępować. Zwolennicy standardów WHO chcą zajęć obowiązkowych, egzekwowanych pod przymusem państwa. Dzieci mają prawo do wiedzy, a wiedza o seksie jest ważniejsza od praw rodziców. Dlatego też rodzice nie powinni mieć prawa odmowy posyłania dzieci na te zajęcia. Spór o edukację seksualną stawia więc przed nami pytanie o fundamenty życia społecznego: Kto ma pierwszeństwo w wychowywaniu dzieci – rodzice czy państwo?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

Z Barbarą Nowak, małopolską kurator oświaty
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Genderowe samorządy promują permisywną edukację seksualną

TOMASZ D. KOLANEK: Można odnieść wrażenie, że temat zainstalowania w polskich szkołach ideologii gender/LGBT i „nowoczesnej edukacji seksualnej" według standardów WHO zszedł w ostatnim czasie na dalszy plan. Czy środowiska lansujące seksualizację polskich dzieci odpuściły, bo widzą, że nie są w stanie niczego konkretnego zdziałać, czy też mamy do czynienia z ciszą przed burzą?

BARBARA NOWAK: Środowiska LGBT nie odpuściły ani na chwilę, jedynie zmieniły sposób działania. Mają ogromne pieniądze z potężnych fundacji, chociażby Sorosa, oraz wsparcie polityczne agend Unii Europejskiej. Opłacane przez nich rzesze ludzi promują postulaty LGBT w Internecie, w licznych akcjach, wydarzeniach, programach realizowanych w kulturze – i to w każdej dziedzinie sztuki. Kiedy zrobiło się głośno o organizacjach pozarządowych wchodzących z programem permisywnej edukacji seksualnej według standardów WHO – czyli sztucznie rozbudzającej zainteresowanie seksem od najmłodszych lat – promujących eksperymentowanie z własną seksualnością, dyrektorzy szkół, nauczyciele i rodzice stali się bardzo uważni, pilnowali, aby dzieci nie miały kontaktu z niszczącymi treściami. Było to tym łatwiejsze, że prawo oświatowe daje odpowiednie narzędzia do skutecznego zadbania o bezpieczeństwo dzieci. Trzeba tylko chcieć z nich skorzystać.

Środowiska LGBT w reakcji na nową sytuację zmieniły formę docierania do uczniów. Posłużyły się samorządami, w których sprzyjano ideologii neomarksistowskiej. Sygnał do boju o tęczowy chaos w głowach dzieci i młodzieży dał prezydent Trzaskowski, podpisując deklarację LGBT. Równocześnie zobowiązał się do indoktrynowania uczniów. Za nim poszły kolejne samorządy. Wychodząc poza kompetencje organów prowadzących, uzurpując sobie prawo do edukowania młodych ludzi, wprowadziły do szkół promocję homoseksualizmu, związków partnerskich, aborcji, ryzykownych zachowań seksualnych. Wszystko to pod mylącym, kłamliwym tytułem programów zdrowotnych bądź chroniących dzieci przed niebezpieczeństwami. Szafowano przy tym pojęciami „równość" i „antydyskryminacja", a także „nowoczesność", które dla zaczadzonych wirusem poprawności są przepustką otwierającą drzwi szkół.

Te same samorządy przygotowywały się w tym czasie do wyjątkowo perfidnej ofensywy. Rozpoczęły szkolenia genderowe samych nauczycieli. To oni mieli się stać atutem w kształceniu ideologicznym uczniów. To działanie najskuteczniejsze – wychowawcy mają najlepsze przełożenie na swoich uczniów. To im ufają i podopieczni, i ich rodzice. Na szczęście nie wszędzie to się udało. Wiem o reakcji nauczycieli w Krakowie, którzy wyśmiali genderowe tezy szkoleń i nie spełnili pokładanych w nich nadziei, że będą swoistym ideologicznym pasem transmisyjnym. Z pewnością w wielu miejscach

eprasa.pl 9223c44521

FOT. MARCIN KAPRON

Polski po tych szkoleniach to właśnie nauczyciele inicjowali tęczowe piątki, dni solidarności z lesbijkami, homoseksualistami, transseksualistami itp.

Inną drogą działań środowisk LGBT jest wyszukiwanie za pomocą mediów społecznościowych młodych ludzi z wątpliwościami co do swojej tożsamości płciowej i oferowanie im blokerów rozwoju, hormonów, proponowanie i przygotowanie do zabiegów zmiany płci. We wszystkich tych działaniach atak na nieletnich odbywa się poza wiedzą i wolą rodziców.

Czy wyobraża sobie pani sytuację, że to ideolodzy gender/LGBT odnoszą ostateczne zwycięstwo i to ich wizja świata, człowieka, natury jest podawana dzieciom w polskich szkołach?

Nie muszę sobie tego wyobrażać, wystarczy, że popatrzę na kraje takie jak Kanada, USA czy – bliżej – Holandia, Francja i wiele innych. Posłużę się przykładem Nowego Jorku, gdzie osiem lat permisywnej edukacji seksualnej i promocji środowisk LGBT (2009–2017) skutkowało w grupie młodzieży 14–18 lat wzrostem z 8,9 proc. do 25,3 proc. deklarujących, że są homoseksualistami, biseksualistami lub że nie są pewni swojej tożsamości płciowej. Podobne badania, rozszerzone o kolejne literki w innych państwach, pokazują stałą tendencję wzrostową. Młodzi ludzie pod wpływem intensywnej propagandy homoseksualnej, transseksualnej, namawiani do eksperymentów z własnym ciałem, do szukania seksualnego zaspokojenia w związkach z wieloma partnerami gubią swoją tożsamość płciową, szacunek do siebie i innych. Jak w każdej zgubnej dla ludzkości ideologii nie ma spokojnej konsumpcji osiągniętych celów wyznaczonych na początku. Machina się nakręca nieustannie, aż do momentu katastrofy totalnej. Obserwowaliśmy wzrost liczby płci kulturowych i orientacji seksualnych, minioną modę na homoseksualizm, transseksualizm. Nie podejmuję się wyliczyć choćby części odchyleń od normy płci biologicznych. Dość powiedzieć, że obowiązuje powszechna akceptacja zachowań, które do niedawna miały swoje miejsce tylko w psychiatrycznych zakładach zamkniętych. Kilka przykładów: dorosły mężczyzna, który przebiera się w śpioszki i wymaga, by karmić go z butelki ze smoczkiem; kobieta, która ogłasza, że jest w związku partnerskim z częścią kadłuba samolotu; kolejna wchodząca w związek małżeński z samą sobą, inna z psem, a mężczyzna z dmuchaną lalką. Dzieciom w przedszkolach organizuje się zajęcia z drag queen, standardem są lekcje tolerancji poprzez oglądanie nagich dorosłych i starszych ludzi, których można dotknąć, zapytać o szczegóły anatomiczne. Szaleństwo nie ma końca, wielość płci zamienia się w usytuowanie w bezpłciowości. Małe dzieci nie słyszą od rodziców, czy są chłopcem czy dziewczynką – to one mają same zdecydować, czy chcą w ogóle z jakąś płcią się identyfikować.

Warunkiem osiągnięcia takiego poziomu szaleństwa jest dokonanie demontażu systemu cywilizacji chrześcijańskiej. Wykarczować z ludzkich mózgów Boga, zburzyć fundamenty moralne, szacunek do życia, godność istoty ludzkiej jako dziecka Bożego. W społecznościach, w których zburzono ład moralny, zniszczono autorytety, nie ma żadnych reguł, wszystko jest płynne – dziś takie, a jutro inne. Każde bezrozumne zachowanie jest akceptowane w obawie przed ostracyzmem środowiska, prześladowaniem, pozbawianiem wolności. Myślozbrodnia Orwella dziś znajduje swoją realizację w aresztowaniu ludzi, którzy w milczeniu stoją przed aborcyjnym klinikami, modląc się bezgłośnie. A to jeszcze nie koniec ofensywy ideologii neomarksistowskich. Nie musimy formułować hipotez, ku czemu nas pchają te ideologie – wystarczy, że nie zamkniemy oczu i uszu na lekcję zaczadzonych tęczowatością społeczeństw.

Dlaczego ideolodzy gender/LGBT są tak bardzo zdeterminowani, aby wprowadzić swoją wizję w życie? Dlaczego nie potrafią odpuścić? Dlaczego można odnieść wrażenie, że naprawdę wierzą, iż dzięki temu, co proponują, świat będzie lepszy, a człowiek ostatecznie wyzwolony?

eprasa.pl 9223c44521

U źródła wszelkich rewolucji nie leży chęć poprawy tego, co szwankuje. Tu chodzi o zniszczenie systemu. Czy to Wielka Rewolucja Francuska, bolszewicka, chińska – wszystkie zakładały zrujnowanie systemu. Potem dopiero zbudowanie nowego – według pomysłu czołowych ideologów. Robespierre, Lenin, Mao Zedong zakładali niszczenie, dopiero gdzieś tam później budowę nowego, ponoć lepszego, sprawiedliwszego, ale przecież z ich nieograniczoną władzą, wpływami. Nigdy jednak poza fazę terroru nie wyszli, zawsze pozostawał jeszcze taki obszar, który wymagał represji, prześladowania.

Ideolodzy gender wpasowują się w tę logikę. Najpierw formułują hasła uwolnienia rzekomo prześladowanych osób LGBT, opowiadają łzawe historie o tym, że chcą tylko się kochać, odwiedzać w szpitalu i zawierać trwałe aż po grób związki, nazywając je celowo rodzinami, aby zmienić znaczenie pojęcia rodziny, a trochę później życzą sobie przywilejów w prawie, w życiu codziennym. Na często obscenicznych demonstracjach krzyczą: „Wasze dzieci będą takie jak my" i wchodzą do przedszkoli i szkół, żeby kształtować młode pokolenia na swój obraz. Wnikają do wszelkich dziedzin kultury. Tematem wiodącym filmów fabularnych, sztuk teatralnych, piosenek, a także akcji, wydarzeń różnego rodzaju staje się przekaz zgodny z ideologią środowisk LGBT. Nie odnoszę wrażenia, że oni wierzą w swoje wizje lepszego, wolnego prawdziwie świata. Oni są zdeterminowani, aby niszczyć, ale co zbudować chcą na ruinach – nie wiedzą. Po omacku szukają szczęścia, gubią się w chaosie i kolejnych szaleństwach. Są generalnie nieszczęśliwi, niespełnieni. Usiłują sobie zrekompensować pustkę egzystencjalną, zaznaczeniem siebie w rzeczywistości poprzez obsceniczność, tatuaże, kolory, irracjonalne zachowania. Jedni popadają w depresję, inni są agresywni. Zburzyli w sobie spokój, odrzucili prawo naturalne i porządek moralny. Odrzucili rozum i logikę. Dążą do samozniszczenia.

Ratunkiem, który może jakaś część tych ludzi przyjmie, jest powrót do tego, co sprawdzone i niezawodne: system cywilizacji chrześcijańskiej, wiara w Boga, szacunek do życia od poczęcia do naturalnej śmierci, rodzina, miłość bliźniego. Nie ma innej drogi do wolności człowieka, wyzwolenia od poczucia bezradności, bezsensu.

Czy w całej „nowoczesnej edukacji seksualnej" aby na pewno chodzi „jedynie" o poszerzenie „świadomości seksualnej", „odkrywanie siebie" etc.? Może mamy do czynienia z drugim dnem – projektem stworzenia nowego człowieka, dla którego jedynym odniesieniem i życiowym wyznacznikiem jest seks?

Odpowiedź na to pytanie daje nam analiza funkcjonowania systemu totalitarnego komunistycznego w Rosji, gdzie jednym z istotnych pól bitwy było zniszczenie ładu moralnego i wprowadzenie wolności seksualnej. Aleksandra Kołłątaj głosiła szkodliwość rodziny, promowała absolutną rozwiązłość seksualną. Kobieta miała oddawać się każdemu mężczyźnie, który jej pożądał. Wtedy skończyło się to klęską, bo zburzyło relacje społeczne, system opieki nad dziećmi i nastąpił straszliwy wzrost chorób wenerycznych. To był tylko pilotaż projektu seksualnej wolności. Współczesność zasobna w możliwości, o jakich przed wiekiem nie śniło się rewolucjonistom bolszewickim, ma wszelkie narzędzia do takiej konstrukcji społeczeństwa, aby uwolnić seksualność od jakichkolwiek systemów moralnych.

Konstrukcja nowego człowieka jest w planach i podlega eksperymentom. Jasno to opisuje chociażby Juwal Noach Harari. Człowiek jako przedmiot inżynierii genetycznej, zaczipowany, sterowany, podłączony do sztucznej inteligencji i używany według planów rządzących. Kolejna wersja niewolnika, którym można swobodnie manipulować. Takiego człowieka można od najmłodszych lat uzależnić np. od pornografii i doznań seksualnych. Wystarczy tylko tę strefę stale pobudzać, dostarczać podniet, gadżetów, a nie będzie on zdolny do podejmowania zadań obliczonych na działania wyższe, w interesie społecznym czy państwowym.

Na początku maja ruszyła zbiórka podpisów pod obywatelskim projektem ustawy „Chrońmy dzieci". Chodzi m.in. o zwiększenie uprawnień rodziców do kontroli nad treściami, które są prezentowane ich dzieciom w szkołach podstawowych i przedszkolach. Jak ocenia pani ten projekt i czy pani zdaniem ma on szanse na wejście w życie?

Analiza zapisów projektu nasuwa istotne uwagi. Przede wszystkim trzeba zauważyć, że samoistnym źródłem treści demoralizujących rzadko kiedy są dziś organizacje pozarządowe czy stowarzyszenia. Dziś to genderowe samorządy – takie jak Warszawa prezydenta Rafała Trzaskowskiego, Gdańsk prezydent Aleksandry Dulkiewicz, Poznań prezydenta Jacka Jaśkowiaka czy Słupsk prezydent Krystyny Danileckiej-Wojewódzkiej – wykorzystują swoją pozycję organów prowadzących i szkolą nauczycieli oraz wprowadzają do szkół treści demoralizujące, promują środowiska LGBT, promują permisywną edukację seksualną. Równocześnie ich programy zawierają treści

eprasa.pl 9223c44521

FOT. ADOBE STOCK

antyrodzinne, antyreligijne, zwalczają tradycyjne wzorce patriotyczne. Dobrze byłoby tę formę aktywności samorządów powstrzymać poprzez dookreślenie obszaru działalności i kompetencji w par. 10 Prawa oświatowego i pozostawić kwestię dydaktycznego oddziaływania na uczniów i nauczycieli po stronie nadzoru pedagogicznego, czyli kuratorów i MEiN. Żeby nie pozostawić pola do dowolności interpretacji słowa „seksualizacja", proponuję wpisanie definicji w art. 4 Prawa oświatowego.

Osobiście z zadowoleniem odnotowuję fakt powrotu do dyskusji ochrony dzieci i docenienie roli rodziców. Myślę, że warto przy okazji podkreślić rolę rodziców stowarzyszonych w organizacjach, które pokazały, że mimo braku specjalistycznego oświatowego uposażenia prawnego z determinacją i z sukcesem walczą od lat o ochronę dzieci w przedszkolach i szkołach. Szczególnie trzeba tu wymienić Odpowiedzialny Gdańsk, który zrzesza walecznych i mądrych rodziców i który skutecznie zablokował koszmarnie wulgarny program gdańskiego magistratu pt. „Zdrovve love". Wymienić należy też ogromną akcję Stowarzyszenia Rodzin Wielodzietnych Warszawy i Mazowsza, które w liście skierowanym do 20 tys. społeczności szkolnych ujawniło prawdziwe cele i treści kryjące się pod hasłami szkoleń i warsztatów antydyskryminacyjnych wprowadzanych do szkół. Od lat stowarzyszenia takie jak Rodzice Chronią Dzieci, Instytut On i Ona, Fundacja Mamy i Taty, Centrum Życia i Rodziny, Instytut Profilaktyki Zintegrowanej czy organizacja Ordo Iuris pomagają rodzicom w chronieniu własnych dzieci, uświadamiają zagrożenia i pułapki zastawiane przez lewicowych ideologicznych deprawatorów, którzy zgodnie ze standardami WHO usiłują wprowadzić permisywną edukację seksualną w polskich szkołach. Oni wielokrotnie proponowali rozwiązania prawne skutecznie broniące bezpieczeństwa dzieci i młodzieży. Niestety, nie zostały one podjęte przez rządzących, nie skierowano ich nawet do konsultacji społecznych.

Według mnie szansą jest zjednoczenie siły społecznej organizacji prorodzinnych i politycznej woli rządzących oraz inicjatywy ujawnionej w projekcie ustawy „Chrońmy dzieci, wspierajmy rodziców". Jesteśmy w stanie obronić dzieci i młodzież przed niebezpieczeństwem deprawacji. Ważne jest, żeby wspólnie działać i wygasić źródła emisji genderowania, seksualizowania dzieci – a są nim nieodmiennie od lat konwencja stambulska i środki unijne płynące do polskich szkół, uwarunkowane realizacją treści ideologicznych promujących płci kulturowe, edukację włączającą i seksualizację dzieci od lat najmłodszych. Pułapek jest całe mnóstwo. Fundusze unijne spływają do Polski na inwestycje, edukację, infrastrukturę, kulturę itd., ale pod warunkiem tzw. równości, co wyraża się np. zakazem finansowania szkół specjalnych, bo po prostu ma ich nie być po wprowadzonej na życzenie Unii Europejskiej edukacji włączającej, według której wszystkie dzieci – zdrowe i chore, ze wszystkimi niepełnosprawnościami – mają być razem w szkołach masowych i mają się uczyć według tej samej podstawy programowej. W zapisach dokumentów unijnych edukacji włączającej możemy przeczytać o wymogu „równouprawnienia płci", rzecz jasna kulturowych, i niedyskryminowaniu.

Na koniec pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jeden cytat, tym razem Pawła Lisickiego, opublikowany na łamach tego dodatku: „Prawdziwymi nauczycielami współczesnych rodziców są media, w których szukają porad i informacji. Są przekonani, że na każde pytanie, również to o sferę intymną, właściwą odpowiedź znają eksperci. Nic dziwnego zatem, że w większości krajów zachodnich rodzice praktycznie nie sprzeciwiają się odebraniu sobie podstawowych praw do wychowania. W powszechnej, wspierającej postulaty LGBT edukacji seksualnej widzą zdobycz cywilizacji. Nie opierają się jej, bo nie mają żadnego wzorca człowieczeństwa innego niż ten, który im został wpojony". Projekt „Chrońmy dzieci" dowodzi, że polscy rodzice nie chcą iść drogą wyznaczoną przez rodziców z Zachodu. Co jednak należy zrobić, żeby utrzymać ten trend? Co zrobić, żeby polskim rodzicom nigdy nie zabrakło siły i odwagi do przeciwstawiania się ideologii gender/LGBT?

Jestem zdania, że w Polsce – inaczej niż w krajach zachodnich – coraz więcej rodziców jest świadomych, że trzeba aktywnie chronić dzieci i że to, co nadciąga z Zachodu, zwłaszcza w sferze ideologicznej, jest poważnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa ich rodzin. Polacy są naznaczeni piętnem komuny czy wcześniej – zaborów. My wiemy, że trzeba uważnie obserwować świat, że nie wolno bezkrytycznie przyjmować „nowinek". Już zresztą mamy swoje doświadczenia unijne. Widzimy, jak chce się nas podporządkować interesom silniejszych państw UE. Po pierwszych zachwytach światem Zachodu uczymy się cenić to, co nasze – tradycyjne i polskie.

Wydaje mi się, że dynamika przemian społecznych ostatnio bardzo przyspieszyła. Są i w Polsce rodzice tacy, jak opisani przez redaktora Pawła Lisickiego, ale ja obserwuję budzenie się sporej części społeczeństwa. Prężnie działają organizacje prorodzinne. Proszę popatrzeć na marsze prorodzinne przechodzące przez całą Polskę, począwszy od Warszawy, gdzie organizacja Centrum Życia i Rodziny gromadzi wiele tysięcy ludzi. Powstają bardzo liczne wspólnoty o zasięgu lokalnym, a także ogólnopolskim. Zachwycam się Wojownikami Maryi, którzy odbudowują etos rodziny jako związku trwałego, pełnego miłości wzajemnej, w oddaniu dla Boga i ojczyzny. To są z pewnością już nie setki tysięcy, ale kilka milionów ludzi. Oni wszyscy, a właściwie powinnam powiedzieć – my wszyscy dbamy o właściwą formację duchową, właśnie dlatego, żeby uchronić przed zniszczeniem cywilizację chrześcijańską, tę, która wierzy w Boga, szanuje życie, kocha bliźniego i odpowiedzialnie podejmuje zadania swoich rodzin, społeczne i Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

FOT. ADOBESTOCK

O metodach nowoczesnej edukacji seksualnej

Paweł Chmielewski

„Negocjowanie stosunków seksualnych" przez nieletnich, nauka masturbacji i praktyk sadomasochistycznych, „kreowanie tożsamości płciowej" w przedszkolach – to rzeczywistość systemu edukacyjnego w wielu krajach Europy Zachodniej i stanach Ameryki. W Polsce jeszcze nie, ale nie brakuje środowisk ideologicznych i politycznych, które dążą do wdrożenia także w naszym kraju tego „modelu" pedagogicznego

Przez Polskę debata o edukacji seksualnej przeszła w latach 2019 i 2020. Była to konsekwencja podpisu, który prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski złożył pod skandaliczną Deklaracją LGBT. Jej tekst był oparty na standardach Światowej Organizacji Zdrowia, które w dziedzinie edukacji seksualnej przyjmują perspektywę rewolucyjnej pedagogiki, promując aborcję, antykoncepcję, masturbację, homoseksualność, a nawet pedofilię (dzieci w wieku 12–15 lat mają być uczone „negocjowania i komunikowania się w celu uprawiania bezpiecznego i przyjemnego seksu").

Podczas gdy ideologiczna lewica zażarcie broniła standardów, nierzadko referując ich treść wbrew faktom, większość Polaków nie kryła swojego oburzenia. Dzięki trzeźwej postawie społeczeństwa, wspieranej przez władze, udało się zachować pewien racjonalny status quo – z podpisania deklaracji niewiele wyniknęło. Niestety, świat nie stoi w miejscu: edukacja seksualna w krajach zachodnich przyjmuje coraz bardziej zwyrodniałe oblicze, co ma swoje odzwierciedlenie m.in. w dokumentach Unii Europejskiej. A to oznacza, że polskie szkoły bynajmniej nie są bezpieczne.

DEPRAWACJA PO NIEMIECKU

Deklaracja LGBT podpisana przez Trzaskowskiego była oparta na dokumencie „Standardy edukacji seksualnej w Europie". WHO przygotowała go razem z niemieckim Federalnym Biurem ds. Edukacji Zdrowotnej (BzgA). Republika Federalna Niemiec odgrywa kluczową rolę w zakresie definiowania pedagogiki seksualnej nie tylko ze względu na jej samozwańczą przywódczą rolę polityczną w Unii Europejskiej, lecz także ze względu na zaangażowanie krajowych pedagogów i socjologów w rozwijanie „nowoczesnej" edukacji w tym zakresie.

Za Odrą sytuacja od lat wygląda dramatycznie. Na łamach dziennika „Die Tagespost" psychoterapeutka dziecięca Christina Meves opowiadała niedawno o poważnych traumach dzieci, nawet kilkuletnich, które są konfrontowane z agresywną pedagogiką seksualną. Skąd biorą się te traumy? Magazyn „Die Welt" już 10 lat temu opisywał doświadczenie matki z Badenii-Wirtembergii, której 10-letni syn przynosił z zajęć edukacji seksualnej w szkole coraz to nowe informacje: w pierwszym tygodniu opowiedział o „krwawieniu kobiet tam na dole", w drugim o tym, jak zakłada się prezerwatywę, w trzecim – o sposobach zaspokajania seksualnego w związkach lesbijskich. W Berlinie rodzice protestowali swego czasu przeciwko wykorzystywaniu w przedszkolach (sic!) książki „Skąd pochodzisz?" (niem. „Woher kommst du?"), która przedstawiała m.in. nagie dzieci pod namiotem; chłopiec z penisem w erekcji przytula się do dziewczynki, a narrator opowiada, czym jest orgazm. Landowy urząd ds. szkolnictwa w tym mieście przedstawił też materiały dla dzieci w wieku od sześciu do 10 lat, które opowiadały m.in. o związkach gejowskich oraz o transseksualizmie. W dodatku przeznaczonym dla nastolatków zachęcano nauczycieli do odgrywania z uczniami pantomimy w takich tematach jak „orgazm, porno, sado-maso".

Niestety, sytuacja wygląda podobnie w innych krajach niemieckojęzycznych, zwłaszcza w Szwajcarii. W szkole podstawowej dzieci czytają m.in. książkę zatytułowaną „Lisa i Jan". Jeden z obrazków przedstawia dziewczynę, która się mastur-

eprasa.pl 9223c44521

buje. Przygląda się temu druga i zaczyna ją naśladować. Na kolejnym obrazku chłopiec masturbuje innego chłopca. W Bazylei próbowano też wprowadzić do użytku w przedszkolach „skrzynki seksualne", zawierające środki antykoncepcyjne oraz gadżety erotyczne.

KOŚCIÓŁ MILCZY

W samych Niemczech padają kolejne bastiony oporu, przede wszystkim po stronie Kościoła katolickiego. Kilka miesięcy temu w diecezji Limburg, którą kieruje przewodniczący Episkopatu Niemiec bp Georg Bätzing, przyjęto wytyczne dotyczące wychowania seksualnego w instytucjach kościelnych. Wytyczne mówią o „wychowaniu seksualnym w zakresie różnorodności". „Różnorodność" dotyczy zarówno orientacji i tożsamości płciowych, jak i modeli rodziny. Wytyczne przedstawiają te sprawy tak, jak wynikają one ze stanu prawnego w kraju, w którym od dziesięcioleci legalne są pornografia i prostytucja, a od kilku lat – również tzw. małżeństwa homoseksualne z prawem do adopcji dzieci. Kościół uznał, że nie powinien przeciwstawiać się ideologii państwowej. Jak komentowali autorzy katolickiego „Die Tagespost", katolicka edukacja seksualna w Limburgu, a po części również w innych niemieckich diecezjach, przyjęła też za swoją sztandarową zasadę pedagogiki seksualnej stwierdzenie znanego socjologa i seksuologa Helmuta Kentlera: „Seksualność można kształcić tylko wtedy, gdy dzieje się coś seksualnego".

PEDOFILSKI EKSPERYMENT KENTLERA

Kentler to ojciec założyciel niemieckiej edukacji seksualnej, a przy tym – promotor pedofilii. Przez kilkadziesiąt lat w kilku landach Niemiec realizowano tzw. eksperyment Kentlera; polegał on na w pełni świadomym przydzielaniu pedofilom dzieci z Jugendamtu. Pedofil miał budować z dzieckiem bliską relację, opartą na wzajemnych świadczeniach seksualnych. Gwałty były zatem strategicznym elementem programu. W ten sposób zraniono wiele dzieci, zwłaszcza chłopców. Media piszą dziś o „przestępstwie pedofilskim z udziałem państwa", ale pomimo krytyki samego „eksperymentu" pedagogika seksualna Kentlera nadal leży u podstaw wielu publikacji promowanych za Odrą jako podstawowe źródła dla tworzenia programów edukacji seksualnej.

Kentler nie jest jedynym niemieckim ideologiem pedoseksualizmu. W rewolucyjnej pedagogice cały czas rezonują publikacje wydawane zwłaszcza w latach 80. i 90., jak np. „Portet psychologiczny pedofila", napisany przez prof. Rudigera Lautmanna w niesławnej książce pt. „Ochota na dziecko" (niem. „Lust am Kind").
W tamtym okresie w Niemczech swobodnie funkcjonowały organizacje polityczne zabiegające o legalizację pedofilii, zwłaszcza w środowiskach Zielonych i liberalnej FDP; na zjeździe pierwszej z nich w 1980 r. powstała grupa Geje i Pederaści. Była rzecznik drugiej, Dagmar Döring, w książce „Pedofilia dzisiaj" pisała o fascynacjach pedohomoseksualnych. Dziś obie te partie współtworzą niemiecki rząd razem z socjalistyczną SDP.

TĘCZOWA HISZPANIA

Ten sam zdeprawowany nurt edukacyjny niszczy szkolnictwo również w innych krajach Unii Europejskiej. Czołowym przykładem jest Hiszpania, w której skrajnie lewicowy rząd Pedra Sáncheza wprowadza kolejne ustawy uderzające w rodzinę i normalność.

Dziennik „El Mundo" informował w 2022 r. o materiałach pedagogicznych dla przedszkolaków do szóstego roku życia, z których można się dowiedzieć o „konstruowaniu płci". Starsze dzieci demoralizowane były już wcześniej: nastolatków pouczano, że mogą uniknąć ciąży, uprawiając seks analny, a dziewczynki mają prawo do zakupu pigułki „dzień po", mającej m.in. działanie wczesnoporonne – i nie muszą informować o tym rodziców. Podobnie jak w Niemczech protesty społeczne pomagają tam tylko tymczasowo lub wcale.

WOJNA W AMERYCE

Zdeprawowana edukacja seksualna nie jest wyłączną domeną Europy. Problem dotyka w ogromnej mierze również Stanów Zjednoczonych, obecnie zwykle pod płaszczem ideologii „przebudzenia" (wokeizm). Przykładem na wcielanie deprawacji w życie jest Kalifornia, gdzie zmiany w edukacji postępują za poglądami dzieci i młodzieży poddanych silnej indoktrynacji medialnej (według badania z 2017 r. aż 27 proc. kalifornijskich nastolatków uważało się za osoby, które nie w pełni zgadzają się ze swoją płcią biologiczną).

W 2019 r. władze Kalifornii przyjęły nieobligatoryjne wytyczne dla nauczycieli w ramach programu „Health Education Curriculum Framework". Zalecono w nich przedstawianie starszym uczniom m.in. seksu analnego i praktyk sadomasochistycznych. Z kolei przedszkolaki powinny uczyć się akceptacji wobec osób uznających się za transpłciowe. Dzieci uczą się także o zabijaniu innych dzieci w ramach radzenia sobie z niechcianą ciążą.

Magazyn Vox.com opisywał przebieg „lekcji edukacyjnej" w college'u w Anaheim, mieście w metropolii Los Angeles. „Czy ktoś może ci powiedzieć, jaka jest TWOJA tożsamość płciowa?" – pyta młoda edukatorka seksualna. „Nie!" – krzyczy entuzjastycznie grupa nastoletnich słuchaczy. „Czy jest w porządku nie być pewnym co do własnej tożsamości?" – „Tak!". „Należycie do siebie samych. Jesteście wyjątkowi. Jesteście doskonali" – słyszą w puencie uczniowie.

UNIJNA PRESJA

Nie sposób założyć, że Polska na trwałe zabezpieczona jest przed ideologicznym naciskiem w przestrzeni edukacji. „Różnorodność seksualna" to stały punkt programu rozmaitych strategii przyjmowanych przez Unię Europejską, promowany często w ramach tzw. pedagogiki inkluzywnej (włączającej). Jej elementy próbuje się wdrażać także w naszym kraju, m.in. za sprawą „Umowy partnerstwa dla realizacji polityki spójności 2021–2027", gdzie przewiduje się finansowanie dla tych podmiotów edukacyjnych, które odrzucają „segregację" i stawiają na „włączenie grup wykluczonych", pod czym można rozumieć również środowisko LGBTQIA+. Prawdziwy przełom przyjdzie jednak dopiero wówczas, gdy ewentualna lewicowa władza w Polsce zaakceptuje postulaty Brukseli w dziedzinie wprowadzenia formalnych związków jednopłciowych. Gdy tylko pojawią się w naszym kraju „tęczowe rodziny", edukacja zostanie gruntownie przebudowana, a dzieci będą się uczyć tego, czego uczą się w Niemczech, Szwajcarii czy Hiszpanii. Przed takim rozwojem wypadków trzeba się bronić ze wszystkich sił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 9223c44521

Jak bronić dzieci przed pornografią

Marek Grabowski

Co mówią statystyki dotyczące użytkowania pornografii przez osoby małoletnie? Jakie konsekwencje niesie pornografia dla jej widzów? Czy można rozwiązać ten problem?

Współczesna pornografia swoje korzenie czerpie z rewolucji kontrkulturowej lat 60. „Wyzwolenie seksualne", obalające takie wartości jak wierność czy odpowiedzialność, owocowało traktowaniem seksualności głównie w kategoriach konsumpcji i przyjemności, eksperymentowania i kolekcjonowania doświadczeń.

Upowszechnienie pigułki antykoncepcyjnej, kultury masowej, kina i telewizji kablowej stanowiło technologiczną podwalinę dla rozwoju całej branży pornograficznej w Stanach Zjednoczonych oraz Europie Zachodniej.

Wraz z rozwojem Internetu pornografia stała się jednym z większych biznesów, a popularyzacja smartfonów przyczyniła się do zwiększenia jej zasięgów o potencjalnie każdego posiadacza komórki.

Raport „Nastolatki wobec pornografii cyfrowej", opublikowany przez NASK w 2022 r., prowadzi do zatrważających wniosków.

Aż 72 proc. badanych dzieci uważa, że dostęp do pornografii w Internecie jest łatwy. Taka odpowiedź wskazywana jest częściej przez dzieci uczące się w szkołach podstawowych. Ponad 21 proc. badanych uważa, że ich rówieśnicy oglądają treści pornograficzne co najmniej raz dziennie. Zatem co piąte dziecko ogląda pornografię codziennie!

Najczęstszymi miejscami, w których nastolatki natrafiają na pornografię, są wyszukiwarki internetowe oraz wiadomości prywatne wysyłane w mediach społecznościowych.

TECHNOLOGIA W RĘKACH DZIECI

– W mojej opinii technologia w rękach dziecka to jest samo zło. Im później dziecko dostanie smartfon do ręki, tym lepiej, ponieważ rodzic nie ma szans wygrać z algorytmami i z firmami, które za tym stoją. Na przykład TikTok ma budżet większy niż nasze państwo, zatrudnia setki ludzi, którzy głowią się nad tym, co zrobić, żeby dziecko jak najdłużej zatrzymać przed ekranem. Mało tego – opracowują algorytmy, które uzależniają od telefonu – mówił dr Rafał Lange z NASK w trakcie panelu eksperckiego na konferencji „Bezpieczeństwo i rozwój dziecka", organizowanej przez Fundację Mamy i Taty w 2022 r. – W zasadzie nie tylko rodzice nie mają w konfrontacji z nimi szans; nawet państwo polskie nie ma takiej możliwości. Akcjonariuszami TikToka są Goldman Sachs, Stanley Morgan i inni wielcy gracze, więc jesteśmy z góry skazani na porażkę. Nie ma się co łudzić, że będziemy edukować, tłumaczyć i wszystko się jakoś ułoży. Niedawno przeprowadziliśmy w NASK badania, by sprawdzić, gdzie młodzi ludzie oglądają pornografię na swoich smartfonach. 75 proc. respondentów odpowiedziało, że ogląda pornografię w środowisku szkolnym! – dodawał.

Zaawansowana technologia w rękach dzieci naraża je na kontakt z bardzo negatywnymi treściami. Nie tylko pornografii sensu stricto, lecz także przemocy, patostreamingu, lewicowych ideologii i przekazów wrogich chrześcijaństwu. Internet oswaja przemoc. Znieczula i „wypiera" sumienie z wartości.

Badania i doświadczenia Fundacji Mamy i Taty pokazują, że niestety dużą część odpowiedzialności za kontakt z treściami niebezpiecznymi ponoszą dorośli. Po pierwsze, dzieci zbyt wcześnie dostają smartfony. Jesteśmy już po okresie komunijnym. Ile z naszych pociech dostało smartfon? Niestety, to jeden z bardziej popularnych prezentów. Z jednej strony cieszymy się szczęściem i niewinnością dzieci, a z drugiej sami prezentujemy im klucz do zła.

Po drugie, nie zabezpieczamy smartfonów, nie wprowadzamy oprogramowania, które blokowałoby negatywne treści. Po trzecie i najważniejsze – nie mamy czasu dla dzieci. Spędzamy czas równolegle i niejako obok dzieci.

– Dla rodziców smartfon to szwajcarski scyzoryk, narzędzie, które służy do organizacji życia, zakupów, sprawdzania itd. Natomiast dla dziecka smartfon to przestrzeń społeczna. Ono nie używa tego jak narzędzia jak młotowiertarki, potrzebnej, żeby coś zrobić. W sieci dziecko buduje swoją autonomię, miejsce w hierarchii społecznej – mówi dr Lange. – Pozbawiliśmy dzieci życia społecznego. Nie ma już

eprasa.pl 9223c44521

FOT. ADOBE STOCK

placów zabaw, są parkingi. Gdy nie było smartfonów, były galerie handlowe, teraz już galerie nie są konieczne, bo wystarczy mieć konto na komunikatorze. Pozbawiliśmy dzieci, po pierwsze, miejsca, gdzie mogą żyć społecznie, a po drugie – czasu. W Wielkiej Brytanii zbadano, że dzieci pracują więcej niż ich rodzice, jeżeli założymy, że praca dziecka to nauka i zajęcia pozaszkolne związane z nauką. Dla dziecka smartfon stał się nowym życiem społecznym, w którym realizuje wszystkie swoje aspiracje. Przecież nie ma gdzie – w domu widuje się z rodzicami rano albo wieczorem. Udało się wmówić niektórym ojcom, że ważny jest czas wysokiej jakości i trzeba w weekend zorganizować superwyprawę, żeby dziecko padło na kolana. I co się okazuje? Dzieci kojarzą czas przyjemny tylko z wychodzeniem z domu. Wtedy jest fajnie, kiedy się z domu gdzieś wyjeżdża, a czas spędzony z rodziną w domu postrzegany bywa jako czas nieprzyjemny. Ważny jest nawet ten czas niskiej jakości!

Raport „Młodzież a media", przygotowany przez Fundację Mamy i Taty w 2021 r., wskazuje, że 42 proc. dzieci w wieku do lat sześciu i 61 proc. dzieci w wieku 15–17 lat może oglądać telewizję samodzielnie w swoim pokoju. Aż 38 proc. dzieci i młodzieży ogląda przy najmniej raz w tygodniu telewizję w czasie, w którym mogą być emitowane audycje „tylko dla dorosłych".

Niestety, sami – jako dorośli – nieodpowiedzialnie narażamy młodzież i dzieci na kontakt z pornografią.

KONSEKWENCJE PORNOGRAFII

Podczas konferencji w Sejmie dotyczącej ochrony dzieci i młodzieży, która odbyła się w tym roku, przedstawiciele kilkunastu organizacji pozarządowych zajmujących się sprawami rodziny i młodzieży jako jedno z kluczowych wyzwań wskazali ograniczenie dostępu do pornografii.

Spostrzeżenia te potwierdza psychoterapeutka dr Sabina Zalewska. Uważa, że wpływ pornografii na dzieci i młodzież jest znaczący. – Oczywiście ogromny. Zwłaszcza na rozwój w sferze emocjonalnej i społecznej. Emocjonalnej, gdyż wpływa na postrzeganie głębokich relacji międzyludzkich. Uprzedmiotawia je – mówi dr Zalewska. – Druga osoba staje się tylko narzędziem do zaspokajania własnych potrzeb. Nie chcą, wręcz boją się młodzi nawiązywać głębokich relacji, bo boją się być wykorzystani i obawiają się zranień. Seks traktują także przedmiotowo. Spłycają jego znaczenie. Odrywają od prokreacji, wręcz się jej boją i zaprzeczają – tłumaczy. I dodaje: – Pornografia wpływa także na postrzeganie przez nich miłości. Rewidują powszechną jej definicję i tworzą własną. Boją się jej i bronią przed nią. Jednocześnie za nią bardzo tęsknią. Jest to związane ze strachem przed odsłonięciem i byciem wykorzystanym.

– Ekspozycja na brutalną pornografię wiąże się z agresywnymi zachowaniami seksualnymi zarówno u nastolatków, jak i u dorosłych mężczyzn – wskazuje Janusz Wardak, prezes Akademii Familijnej. – Korzystanie z pornografii przez nastolatków i młodych dorosłych często prowadzi do zniekształconego poglądu na seksualność i jej rolę w budowaniu zdrowych relacji osobistych. Zniekształcenia te obejmują przecenianie powszechności aktywności seksualnej w społeczności, przekonanie, że rozwiązłość seksualna jest normalna, oraz przekonanie, że abstynencja seksualna jest niezdrowa. Perspektywy te prawdopodobnie utrudnią młodym ludziom tworzenie trwałych, znaczących relacji z płcią przeciwną, co ostatecznie doprowadzi do większego niepokoju, depresji i ogólnego niezadowolenia z życia.

BEZPIECZNA PORNOGRAFIA TO MIT

W dyskusji o pornografii koncentracja następuje na dzieciach i młodzieży. Eksperci i badacze wskazują na jej szkodliwość dla rozwoju emocjonalnego, psychicznego i duchowego.

Zarazem przemilcza się jej konsekwencje dla dorosłych.

Doktor Sabina Zalewska, zapytana o wpływ pornografii na ludzi dorosłych, wyjaśnia: – Głównie wpływa na ich relacje. Stanowi zastępnik dla tych w realu. Najpierw zastępuje się seks

eprasa.pl 9223c44521

i rozładowuje napięcie. Później powstaje chłód uczuciowy między partnerami. Niechęć do komunikowania potrzeb, zwłaszcza tych w sferze seksualnej. Partnerzy stają się samowystarczalni w tej sferze i niczego nie muszą. Badania prof. Zimbardo wskazują, że związki często zamieniają się w związki puste. Trwają, ale nie ma w nich bliskości i namiętności. Tak więc ten chłód wpływa na prawie wszystkie aspekty życia małżeńskiego: komunikację, więzi, okazywanie uczuć, funkcjonowanie społeczne, relacje z dziećmi i dalszymi członkami rodziny.

Janusz Wardak z kolei wskazuje na negatywne konsekwencje pornografii dla relacji małżeńskich. – Pornografia ma negatywny wpływ na małżeństwa i długotrwałe konkubinaty, czyniąc je bardziej podatnymi na rozwód – mówi. – Kobiety, których mężowie lub partnerzy oglądają pornografię, czują się zdradzone i postrzegają pornografię jako formę seksualnego uprzedmiotowienia kobiet.

Według American Academy of Matrimonial Lawyers 56 proc. wszystkich rozwodów wiązało się z obsesyjnym zainteresowaniem jednej ze stron stronami pornograficznymi.

Eksperci wskazują, że uzależnienie od pornografii wiąże się z poszukiwaniem coraz mocniejszych bodźców, sięganiem po coraz bardziej brutalną i zwyrodniałą produkcję.

Część wywołanych przez pornografię fantazji i obsesji może wpływać na chęć wdrożenia ich w życie. Rozmowy z seryjnymi mordercami wskazują, że nieraz pornografia stanowiła impuls do popełniania straszliwych zbrodni. Nie jest prawdą, że korzystanie z pornografii nie wpływa na osoby dorosłe i jest dla nich bezpieczne.

PORNOGRAFIA TO WIELKI BIZNES

Analitycy branży pornograficznej wskazują, że jej roczne przychody przekraczają 97 mld dol. 35 proc. ściąganych plików z sieci to materiały pornograficzne. 12 proc. wszystkich istniejących stron internetowych to strony pornograficzne.

Nic dziwnego, że przemysł ten obudowuje swoje istnienie ideologią (np. prawem do wolności słowa), rzekomymi korzyściami (rozładowywanie napięcia), walorami edukacyjnymi (inspiracja seksualna) lub swobodą kreacji artystycznej (rozmaite pornograficzne quasi-artystyczne wydarzenia).

Pornografia to nie tylko zyski branży jej producentów i dystrybutorów, lecz także sieci komórkowych, które zarabiają na przesyle danych.

Zyski nielicznych to realne koszty społeczne dla większości społeczeństwa. Niestety, produkcją tego typu materiałów zajmują się nie tylko dorośli, lecz także dzieci. Doktor Rafał Lange z NASK tak komentuje jedną z interwencji policji:
– I jakie było zdziwienie, gdy okazało się, że nikt nie zmuszał dzieci, że one same produkują pornografię dziecięcą. Ośmio-, siedmio- czy sześciolatkowie umieszczają zdjęcia w Internecie dla popularności, dla poczucia akceptacji, dla pieniędzy. Rodzice o tym nie wiedzą, bo prawie wcale nie rozmawiają z dziećmi.

CZAS DZIAŁAĆ

Dobrostan naszych rodzin i dzieci to nie tylko bezpieczeństwo ekonomiczne czy wsparcie programami socjalnymi. To również bezpieczeństwo fizyczne, możliwość rozwoju emocjonalnego czy duchowego.

Od wielu lat, niestety, próby uregulowania i ograniczenia pornobiznesu kończą się na niczym.

Osobiście uważam, że produkcja i dystrybucja materiałów pornograficznych powinna być zdelegalizowana na terytorium Rzeczypospolitej.

Ograniczenie dostępu do stron i materiałów pornograficznych jest jak najbardziej wykonalne. W Polsce mamy pozytywne przykłady ograniczenia dostępu do nielegalnego hazardu czy materiałów propagandy rosyjskiej. Również algorytmy mediów społecznościowych, takich jak Facebook, wskazują, że możliwe jest wyeliminowanie treści pornograficznych z postów.

Zgadzając się na tymczasowy, ograniczony i przejściowy dostęp do pornografii, można pomyśleć o weryfikacji wieku poprzez mikropłatność kartą kredytową bądź przelewem.

Wydaje się, że brakuje jednak politycznej woli do przeprowadzenia poważnych działań chroniących społeczeństwo przed tym patologicznym biznesem. Być może rządzący obawiają się, że mogłoby to wywołać niepokoje bądź protesty społeczne. Nic bardziej błędnego.

Badania zlecone przez Fundację Mamy i Taty wskazują, że 88 proc. respondentów popiera działania mające na celu ograniczenie dostępu do pornografii osobom nieletnim w Polsce.

Jednym z pomysłów ograniczających dostęp do pornografii jest wprowadzenie weryfikacji wieku, podobnie jak w przypadku gier hazardowych w Polsce. Za takim rozwiązaniem opowiada się 76 proc. badanych. Ograniczenie korzystania ze smartfonów przez dzieci w szkole mogłoby pomóc w utrzymaniu koncentracji skupienia uwagi uczniów. Za ograniczeniem opowiada się 80 proc. badanych.

W Sejmie czeka projekt Ministerstwa Cyfryzacji. Jest on krokiem w dobrą stronę, chociaż w mojej ocenie nie wprowadza realnych obostrzeń w dostępie do treści niewłaściwych.

W swojej petycji (dostępnej na Serwisrodzinny.pl) skierowanej do parlamentarzystów, dotyczącej poparcia propozycji Ministerstwa Cyfryzacji w sprawie większej kontroli nad dostępem do pornografii, Fundacja Mamy i Taty stwierdza: „Nie mamy czasu do stracenia. Każdy tydzień zwłoki to kolejne ofiary wśród dzieci. Nie umywajcie rąk od tragedii młodego pokolenia. Liczymy na pozytywny odzew kół i klubów poselskich. Niech kończąca się IX kadencja Sejmu przyniesie dobre owoce dla dzieci".

Pornografia zabija wartości, które przekazujemy naszym dzieciom. Przygotowuje pacjentów potrzebujących wsparcia psychologicznego i psychiatrycznego. Utrudnia budowanie szczęśliwych rodzin opartych na miłości i wierności rodziców.

Nie poddawajmy się terrorowi biznesu porno. Mamy prawo walczyć o świat wolny od agresywnej seksualizacji dzieci i pornografii. Możemy być dumni, że chcemy ograniczyć gigantyczne wpływy ekonomiczne i kulturowe przemysłu porno i branż z nim powiązanych.

Pora ratować nasze dzieci, rodziny i społeczeństwo. Stopniowo wygaszajmy pornografię. Potrzeba odwagi każdego z nas i gotowości do nacisku na polityków. Razem zwyciężymy zło.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest socjologiem, badaczem opinii, prezesem Fundacji Mamy i Taty, właścicielem pracowni badawczej Social Changes, wiceprzewodniczącym Rady Rodziny.

eprasa.pl 9223c44521

Czy polskie prawo skutecznie chroni dzieci przed seksualizacją w szkołach?

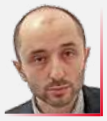

Marek Puzio

Porównując przepisy dotyczące prowadzenia zajęć z wychowania do życia w rodzinie oraz organizacji zajęć przez podmioty zewnętrzne, w tym również w dziedzinie seksualności, widać wyraźną niekonsekwencję polskiego prawa

Nie od dziś spotykamy się z usiłowaniem epatowania najmłodszych treściami dotyczącymi seksualności człowieka. Niemniej w ostatnich latach zjawisko to przybiera na sile, a przy tym treści, które próbuje się „wkładać" do młodych głów, przekraczają kolejne granice przyzwoitości i moralności. Głośnym echem odbiła się w 2010 r. publikacja „Standardy edukacji seksualnej w Europie" Biura Regionalnego WHO dla Europy oraz niemieckiego Federalnego Biura ds. Edukacji Zdrowotnej. Warto przypomnieć, że jej autorzy zalecają rozpoczęcie edukacji seksualnej u dzieci już przed czwartym rokiem życia, a w jej ramach przekazywanie, w przedziale wiekowym od 0 do 4 lat, m.in. informacji o radości i przyjemności z dotykania własnego ciała, w tym masturbacji w okresie wczesnego dzieciństwa, oraz nauczanie dzieci ufania własnym instynktom. W starszych grupach wiekowych (9–12 lat) postuluje się m.in. przekonywanie, że antykoncepcja to odpowiedzialność obu płci, a przy tym kształtowanie postawy akceptacji, szacunku i rozumienia „różnorodności dotyczącej seksualności i orientacji seksualnych".

W najnowszych „Międzynarodowych technicznych wytycznych dotyczących edukacji seksualnej" z 2018 r., opracowanych przez UNESCO we współpracy m.in. z WHO i Funduszem Ludnościowym ONZ, podnosi się, że zapobieganie niezamierzonym ciążom i niebezpiecznym aborcjom wymaga od państw przyjęcia środków prawnych i politycznych w celu zagwarantowania wszystkim osobom dostępu do przystępnych cenowo, bezpiecznych i skutecznych środków antykoncepcyjnych, wszechstronnej edukacji seksualnej, w tym dla nastolatków, zliberalizowania restrykcyjnych przepisów aborcyjnych oraz zagwarantowania dostępu do bezpiecznych usług aborcyjnych.

Wspomniane publikacje są przykładem próby wprowadzenia, zarówno na poziomie europejskim, jak i światowym, jednolitych standardów edukacji seksualnej. Miałaby to być edukacja seksualna w tzw. wszechstronnym ujęciu (comprehensive sexuality education – CSE), określana niekiedy jako „edukacja seksualna typu C". W tym permisywnym modelu krytykuje się podejście sugerujące zachowanie wstrzemięźliwości seksualnej, a promuje postawę hedonistyczną, akcentując czerpanie przyjemności z kontaktów seksualnych oraz zaspokajanie popędu. Kontakty te przedstawiane są w zupełnym oderwaniu od ich funkcji prokreacyjnej, postrzeganej jako zagrożenie, a nawet jako źródło zniewolenia kobiet (zobacz: standardy WHO z 2010 r., s. 11).

EDUKACJA SEKSUALNA W POLSKICH SZKOŁACH

Wbrew twierdzeniom, z jakimi można się spotkać niekiedy w przestrzeni publicznej, polski system oświaty zapewnia edukację seksualną, choć nie jest to permisywna edukacja seksualna promowana przez UNESCO czy WHO. Artykuł 4 ust. 1 ustawy z 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży (Dz.U. z 2022 r., poz. 1575) przewiduje wprowadzenie do programów nauczania szkolnego „wiedzy o życiu seksualnym człowieka, o zasadach świadomego i odpowiedzialnego rodzicielstwa, o wartości rodziny, życia w fazie prenatalnej oraz metodach i środkach świadomej prokreacji". Zakres oraz sposób nauczania tej materii został określony w Rozporządzeniu Ministra Edukacji Narodowej z 12 sierpnia 1999 r. (tj. Dz.U. z 2014 r., poz. 395) oraz w rozporządzeniach określających podstawę programową.

Powyższe treści są przekazywane w ramach zajęć wychowanie do życia w rodzinie. Zajęcia te są względnie obligatoryjne, co przejawia się tym, że rodzic, a w przypadku ucznia pełnoletniego –

eprasa.pl 9223c44521

ten uczeń, może w każdej chwili zgłosić dyrektorowi szkoły pisemną rezygnację z udziału ucznia w zajęciach, co wynika z par. 4 ust. 1 i 2 rozporządzenia MEN z 12 sierpnia 1999 r. Dodatkowo, zgodnie z par. 5 ust. 1 rozporządzenia: „W każdym roku szkolnym przed przystąpieniem do realizacji zajęć nauczyciel prowadzący zajęcia wraz z wychowawcą klasy przeprowadza co najmniej jedno spotkanie informacyjne z rodzicami uczniów niepełnoletnich oraz z uczniami pełnoletnimi. Nauczyciel jest obowiązany przedstawić pełną informację o celach i treściach realizowanego programu nauczania, podręcznikach szkolnych oraz środkach dydaktycznych".

Przytoczone regulacje dają rodzicom narzędzia weryfikacji treści przekazywanych w ramach WDŻ (choć – rzecz jasna – wiele zależy tu również od nauczyciela prowadzącego i od tego, co „dopowie" w trakcie lekcji) oraz pozwalają zrezygnować z udziału swojego dziecka w tego rodzaju zajęciach. Stanowi to wyraz realizacji konstytucyjnej zasady pierwszeństwa wychowawczego rodziców, wyrażonej m.in. w art. 53 ust. 3 Konstytucji RP, który gwarantuje rodzicom „prawo do zapewnienia dzieciom wychowania i nauczania moralnego i religijnego zgodnie ze swoimi przekonaniami".

PODMIOTY ZEWNĘTRZNE

Wspomniane przepisy rozporządzenia MEN z 12 sierpnia 1999 r., realizujące zasadę pierwszeństwa wychowawczego rodziców, nie regulują zasad działalności w szkole podmiotów zewnętrznych, w tym również tych przekazujących treści odnoszące się do seksualności i rozwoju psychoseksualnego człowieka. Zastosowanie znajdą tu przepisy ustawy z 14 grudnia 2016 r. o prawie oświatowym (Dz.U. z 2023 r., poz. 900), w szczególności jej art. 86. Przepis ten w ust. 1 dopuszcza działalność w szkole stowarzyszeń i innych organizacji, z wyjątkiem partii i organizacji politycznych, „których celem statutowym jest działalność wychowawcza albo rozszerzanie i wzbogacanie form działalności dydaktycznej, wychowawczej, opiekuńczej i innowacyjnej szkoły lub placówki". W uproszczeniu powiedzieć można, że w szkole mogą działać te stowarzyszenia i organizacje, których działalność związana jest z zadaniami realizowanymi przez szkołę, z tym zastrzeżeniem, że wyłączona jest działalność partii i organizacji politycznych.

Prawo oświatowe umożliwia uczniowi rezygnację z zajęć takich jak wychowanie do życia w rodzinie

Artykuł 86 ust. 2 Prawa oświatowego przewiduje jednak dodatkowe warunki, które takie stowarzyszenie lub organizacja musi spełnić. Mianowicie przed podjęciem działalności w szkole musi ono uzgodnić jej warunki z dyrektorem oraz uzyskać jego zgodę, która to zgoda powinna być z kolei poprzedzona uzyskaniem pozytywnej opinii rady szkoły lub placówki i rady rodziców. Pojawia się zatem element kontroli ze strony rady rodziców, reprezentującej ogół rodziców uczniów.

Czy jednak wspomniane regulacje stanowią wystarczającą ochronę uczniów (oraz zasady pierwszeństwa wychowawczego rodziców) przed elementami permisywnej edukacji seksualnej, które mogą być kolportowane do szkół przez podmioty zewnętrzne? Odpowiadając na to pytanie, warto wspomnieć o kampanii pt. „Chrońmy Dzieci!", prowadzonej w 2017 r. przez Instytut Ordo Iuris. W jej ramach rodzice uczniów zwracali się do Ordo Iuris z prośbą o weryfikację działalności organizacji zewnętrznych na terenie poszczególnych szkół. Po zbadaniu sytuacji w przeszło 800 placówkach okazało się, że ponad połowa z nich nie zachowała procedury przewidzianej w art. 86 ust. 2 Prawa oświatowego. Pokazuje to, że przepis ten, mający z założenia pełnić rolę narzędzia umożliwiającego rodzicom kontrolę i weryfikację treści przekazywanych przez podmioty zewnętrzne w szkołach, nie spełnia swej roli. Brak realnej odpowiedzialności po stronie szkół oraz samych organizacji zewnętrznych powoduje, że wskazane normy stanowią tzw. lex imperfecta.

Należy ponadto zauważyć, że obowiązujące przepisy Prawa oświatowego stanowią o działalności „stowarzyszeń

eprasa.pl 9223c44521

FOT. ADOBE STOCK

i innych organizacji zewnętrznych". Nie odnoszą się natomiast wprost do osób fizycznych, które na własną rękę mogą prowadzić działalność edukacyjną bądź też działać w porozumieniu z zewnętrznymi organizacjami, tyle że w sposób niejawny. Choć wykładnia celowościowa normy przewidzianej w art. 86 ust. 2 Prawa oświatowego nie powinna pozostawiać wątpliwości, że procedurę w niej przewidzianą należy stosować również w stosunku do indywidualnych osób, to jednak brak jednoznacznej regulacji może powodować w takich przypadkach różne podejście w poszczególnych szkołach.

Mankamentem obecnego art. 86 Prawa oświatowego jest także posługiwanie się nieostrym określeniem „działalność w szkole". Takie sformułowanie może być interpretowane wąsko jako odnoszące się do bezpośredniego prowadzenia zajęć na terenie szkoły. Tymczasem podmioty zewnętrzne mogą podejmować taką działalność np. poprzez promocję w przestrzeni szkolnej wydarzeń organizowanych poza szkołą (rozprowadzając ulotki, rozwieszając plakaty) czy prowadząc „badania ankietowe", zawierające pytania odnoszące się do sfery seksualnej, gdzie proponowane odpowiedzi jako normę sugerują podejmowanie aktywności seksualnej przez nieletnich czy też różnorodność orientacji seksualnych. Można również spotkać się z zamieszczaniem w tego rodzaju ankietach, w pytaniu o płeć respondenta, więcej niż dwóch wariantów do wyboru. Dodać należy, że rodzice nie zawsze są informowani, na jaki film lub jaką sztukę teatralną udają się ich dzieci w ramach organizowanego przez szkołę wyjścia do kina lub teatru.

DWA RÓŻNE PODEJŚCIA

Porównując przepisy dotyczące prowadzenia zajęć z wychowania do życia w rodzinie oraz organizacji zajęć przez podmioty zewnętrzne, w tym również w dziedzinie seksualności, widać wyraźną niekonsekwencję. O ile bowiem w przypadku zajęć z WDŻ przewidziana jest obligatoryjna procedura informacyjna w stosunku rodziców wszystkich dzieci, o tyle zamiar prowadzenia zajęć przez organizacje zewnętrzne wymaga pozytywnej opinii jedynie rady rodziców, która nie musi informować każdego z rodziców z osobna o treści opinii i treści planowanych zajęć. W efekcie część rodziców może w ogóle nie wiedzieć (lub dowiedzieć się po fakcie), że ich dzieci brały udział w zajęciach prowadzonych przez osoby z zewnątrz. Budzi to tym większe zastrzeżenia, że podstawa programowa WDŻ jest zawarta w ogólnodostępnym rozporządzeniu MEN, czego nie można powiedzieć o treściach przekazywanych przez podmioty zewnętrzne.

Próbą zaradzenia tej sytuacji miałaby być niedawna propozycja nowelizacji Prawa oświatowego, firmowanego jako projekt inicjatywy obywatelskiej o nazwie „Chrońmy dzieci, wspierajmy rodziców", który został objęty patronatem marszałka Sejmu RP – Elżbiety Witek. Choć przewiduje on założenia, które po pewnym doprecyzowaniu mogłyby m.in. ograniczyć w szkołach, zwłaszcza podstawowych, działalność tzw. seksedukatorów, to jednak nie rozwiązuje wielu ze wskazanych wyżej problemów i wątpliwości.

POTRZEBNE ZMIANY

Choć wraz ze zmieniającą się rzeczywistością inne są sposoby i metody oddziaływania na dzieci i młodzież szkolną ze strony różnych środowisk, to aktualne brzmienie art. 86 ust. 1 i 2 Prawa oświatowego jest dosłownym powtórzeniem przepisów ustawy o systemie oświaty, uchwalonych 7 września 1991 r., a zatem ponad 30 lat temu.

Projekt „Chrońmy dzieci, wspierajmy rodziców" mógłby ograniczyć działalność tzw. seksedukatorów w szkołach

Powyższe rozważania skłaniają do konkluzji, że aktualne przepisy regulujące dopuszczalność podejmowania działalności w szkołach przez podmioty zewnętrzne wymagają zmian. Brak sankcji oraz niejednoznaczność sformułowań ułatwiają omijanie obowiązującego prawa, czyniąc je w wielu przypadkach jedynie niewiążącym zaleceniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest analitykiem Instytutu Ordo Iuris.

eprasa.pl 9223c44521

FOT. ADOBESTOCK

Jestem Kasia, ale mówcie mi Tomek

ks. Paweł Bortkiewicz

Tak bardzo kultywowana dzisiaj wolność nauki nie liczy się faktycznie z wartością, która tę wolność ocala – z wartością prawdy

Sytuacja z pewnej uczelni, z pewnego kierunku studiów. Przychodzi studentka do profesora i przedstawia się imieniem i nazwiskiem. Jednocześnie od razu dodaje, niejako jako imię własne, to, że jest osobą transpłciową, i mimo że w dokumentach figuruje jako Katarzyna, prosi, aby traktować ją jako Tomasza. Jest dla niej oczywiste, że nie jest Kasią, tylko Tomkiem. Jednak dla wykładowcy sprawa nie jest tak oczywista. Zaznacza, że obowiązuje go zapis w uniwersyteckim systemie obsługi studenta, a tam pani Kasia figuruje wciąż jako pani Kasia. Profesor stwierdza, że jest zobowiązany do respektowania norm prawnych.

MYŚLOZBRODNICZA DYSKRYMINACJA

Załóżmy, że świadkiem tej rozmowy jest ktoś z kolegów czy koleżanek tego wykładowcy. Wówczas wykładowca może usłyszeć w czasie tej rozmowy albo po jakimś czasie, że powinien zwracać się do osoby transpłciowej imieniem i nazwiskiem przez nią określonym. Dlaczego? Dlatego że w sytuacji niezgodności między płcią biologiczną a psychologiczną powinien uznać prymat subiektywnej autoidentyfikacji psychicznej ponad obiektywnymi biologicznymi wyznacznikami określającymi płeć. Profesor może też usłyszeć, że nie tylko ignoruje ten stan świadomości, lecz także na dodatek zachowuje się opresyjnie w tym trudnym procesie, który przeżywa jego rozmówczyni. Jedynym sensownym rozwiązaniem w tej sytuacji jest bowiem proces tranzycji, a skoro to wyjście zostało przez daną osobę wybrane, to nie należy się temu sprzeciwiać. Jedyną postawą godną postawy ludzkiej wrażliwości będzie tutaj wsparcie, tak by czuła się i była rozpoznawana jako Tomasz.

Może pojawić się jeszcze jeden element całej sprawy. Mianowicie rozmówca owego profesora może poczuć się „sygna-

eprasa.pl 9223c44521

listą". Sygnalista wysyła sygnał do władz rektorskich, że na jego oczach dokonała się strasznie myślozbrodnicza dyskryminacja. Oto osoba transpłciowa została poniżona w swojej autoidentyfikacji. Zostało jej odmówione zaafirmowanie się taką, jaką się czuję. Sygnalista donosi, przepraszam – sygnalizuje (choć słowo „donos" oczywiście byłoby tutaj prawdziwe i poprawne, jako że sygnalista nie jest nikim innym, jak tylko donosicielem w tradycyjnej i poprawnej nomenklaturze). Sygnalista zatem sygnalizuje – czyli donosiciel donosi – a profesor, który stoi na gruncie rozpoznawanej obiektywnej rzeczywistości i próbuje ją ocalić, staje się przedmiotem oceny ze strony komisji dyscyplinarnej albo komisji antydyskryminacyjnej, albo komisji do spraw nierównego traktowania osób transpłciowych czy nieheteronormatywnych.

EKSTREMALIZACJA

Cała ta sytuacja może oczywiście się wydarzyć i niewątpliwie się wydarza.

31 marca tego roku obchodziliśmy międzynarodowy dzień widoczności osób transpłciowych. Bardzo głośno i hucznie celebrowany w Stanach Zjednoczonych, gdzie w ubiegłym roku prezydent USA, Joe Biden, ogłosił istnienie „epidemii przemocy" wobec tych osób. Słowo „epidemia" ma oczywiście swój ciężar gatunkowy. Oznacza nie tylko dramat pojedynczej śmierci, lecz także dramat zwielokrotniony, przekładający się na tysiące, dziesiątki tysięcy czy nawet miliony ofiar. No to policzmy.

Szacuje się, że w wyniku epidemii COVID-19 zmarło w Stanach Zjednoczonych ok. miliona osób. W roku 2022, w wyniku użycia broni palnej, zostało zabitych niespełna 18 tys. osób. W tym samym roku, w wyniku agresji i przemocy przestrzeni domowej, zginęło w Stanach kilka tysięcy osób. W tym samym okresie zmarło w efekcie przedawkowania narkotyków ok. 100 tys. osób. W latach 2013–2020 FBI odnotowało tylko 11 morderstw przeciwko transseksualistom, w części – nieumyślnych zabójstw. Oczywiście każde morderstwo musi budzić sprzeciw, każda śmierć jest tragedią, o każde życie trzeba się upominać, ale sprzeciw musi budzić też manipulowanie faktami, ekstremalizacja tego, co jest marginesem statystyk. Ale wciąż żyjemy tłumieni przez narrację powtarzającą jak mantrę słowa: dyskryminacja, nietolerancja, prześladowania, przemoc.

Tej narracji nie zmienia nawet to, że kilka dni przed celebrowaniem owego dnia widoczności w tych samych Stanach Zjednoczonych transseksualna 28-letnia kobieta zastrzeliła troje dzieci i troje nauczycieli w swojej dawnej szkole w Nashville. Zabarykadowana w szkole ostrzeliwała policjantów przybyłych na miejsce tragedii. W wyniku ostrzału zginęła.

Większość mediów amerykańskich i reakcja polityków okrzyknęły tę zbrodniarkę… ofiarą tradycyjnej przemocy. Ostatecznie obarczono winą za jej śmierć prezbiteriańskie – czyli ostatecznie chrześcijańskie – wychowanie. Oskarżono jej rodziców, choć ci utrzymywali 28-letnią córkę i otaczali ją swoją rodzicielską miłością. Oskarżono chrześcijaństwo z jego opresyjnym stosunkiem do rozchwianej rzeczywistości, bo zgodnym z obiektywną prawdą.

Chrześcijaństwo istotnie stanowi w perspektywie rewolucji transseksualizmu przeszkodę do zwalczenia. Trzeba bowiem jednoznacznie stwierdzić, że nie da się pogodzić z zasadami wiary ani uznania tzw. osób transseksualnych, ani przyzwolenia na autoidentyfikację tych osób zgodnie z ich stanem zafałszowanej świadomości, ani nie da się pogodzić tzw. terapii w stosunku do tych osób z miłością do nich.

Twierdzenia, że istnieją osoby transpłciowe, że istnieje mnogość orientacji płciowych ponad obiektywną tożsamością płciową, że płeć jest kontinuum, a nie układem binarnym, wyraźnie sprzeciwiają się prawdzie o stworzeniu człowieka jako mężczyznę i kobietę. Przyzwolenie na autoidentyfikację opartą na kruchych stanach świadomości jest przyzwoleniem na kłamstwo, jest współudziałem człowieka okłamującego, który ponosi odpowiedzialność moralną. Wreszcie: stosowanie blokerów czy też operacje chirurgiczne w ramach tzw. zmiany płci godzą w piąte przykazanie Dekalogu. Dokonują bowiem okaleczenia człowieka, zagrażają jego zdrowiu i życiu.

PROBLEM SPOŁECZNY – NIE BIOLOGICZNY

Oczywiście można stwierdzić, że w takiej perspektywie religia – a konkretnie chrześcijaństwo – znów wkracza w teren współczesnej kultury czy nawet dynamicznie rozwijającej się wiedzy. Warto jednak zauważyć znaczącą zgodność tych opinii chrześcijańskich z tym, co wyraziły w ostatnich latach różne instytucje – w Finlandii, Szwecji (gdzie był to Instytut Karolinska) czy ostatnio we Francji, w której Francuska Akademia Medyczna jednoznacznie orzekła, że zjawisko transseksualizmu jest zarażeniem społecznym, a nie problemem biologicznym. Źródłem tego zarażenia społecznego są niewątpliwie Internet, różnego rodzaju media społecznościowe, grupy wsparcia, które umacniają rozchwiany stan świadomości. Tylko tym można tłumaczyć dane, które pokazują, że w niektórych krajach liczba osób transseksualnych wzrosła w ostatnich latach o przykładowo 10 tys. czy 40 tys. proc. Jak pokazują choćby historie z Wielkiej Brytanii związane z działalnością sieci klinik tranzycyjnych Tavistock, to zarażenie społeczne zbiera straszliwe żniwo w postaci trwałych okaleczeń, nieodwracalnych porażek życiowych. Niekiedy kończą się one samobójstwami, co też jest dokumentowane we współczesnych badaniach.

Wracając do scenki profesora spotykającego panią Kasię, mówiąc trochę ironicznie – choć ironia nie jest tu na miejscu – raz jeszcze się okazuje, że różnica między studentką a profesorem jest taka, iż studentce bądź studentowi coś się wydaje, profesor natomiast wie – ma wiedzę.

Niestety, profesor może czuć się opuszczony w niektórych uczelniach. Narasta wokół niego wiele instytucji, które pod pozorem ochrony przed dyskryminacją, nietolerancją czy poniżeniem dokonują dyskryminacji, poniżenia i nietolerancji. Tak bardzo kultywowana dzisiaj wolność nauki nie liczy się faktycznie z wartością, która tę wolność ocala – z wartością prawdy.

Warto byłoby w tym kontekście zapoznać się z treścią przemówień św. Jana Pawła II, zwłaszcza tego z Lublina z 1987 r., a także tego skierowanego do środowiska Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1997 r. Warto, by z tymi słowami zapoznali się zwłaszcza rektorzy tych uczelni, które miały honor i zaszczyt obdarzyć św. Jana Pawła II swoimi doktoratami honoris causa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

Jan Fiedorczuk

Władza poza wszelką

W ostatnich latach politycy PiS zaczęli wymykać się demokratycznej kontroli społeczeństwa. Rząd coraz częściej podejmuje decyzje o fundamentalnym znaczeniu dla państwa, zupełnie ignorując zdanie Polaków, obchodząc system prawny i nie oglądając się na krytykę

Powołanie komisji do spraw badania rosyjskich wpływów zostało przez opozycję uznane za kolejny przejaw deptania praworządności przez Zjednoczoną Prawicę. I jakkolwiek w ostatnich latach opozycja oceniała w podobny sposób niemal każdą decyzję rządu, to akurat w tym przypadku trudno nie przyznać racji krytykom władzy. PiS faktycznie „poszedł na rympał", a przegłosowane przez Sejm przepisy zdają się gwałcić jakąkolwiek logikę znamionującą praworządny system. Próba budowy sądu „poza" systemem prawnym RP została negatywnie oceniona nie tylko przez polityków opozycji, lecz także przez prawicowych komentatorów, publicystów i ekspertów (w tym Instytut Ordo Iuris, który ciężko uznać za lewicową jaczejkę).

Sprawa jest jednak poważniejsza i nie sprowadza się do powołania jednej komisji – to jedynie przejaw szerszego procesu, który zachodzi w rządzącym obozie. Od pewnego czasu jesteśmy świadkami zrywania się władzy z łańcucha demokratycznej kontroli. Co najmniej od wybuchu pandemii PiS faktycznie zaczął się oddalać od demokratycznych standardów, dryfując w sobie tylko znanym kierunku. Jednak wbrew temu, co twierdzi opozycja, odejście od demokracji nie oznacza w tym przypadku budowy dyktatury, tylko alienację władzy – oderwanie się polityków od ludzi, standardów, procedur, nawet od oczekiwań własnego elektoratu.

Władza najpierw usprawiedliwiała swoje arbitralne, często pozaprawne działania nadzwyczajną sytuacją związaną z koronawirusem, a następnie wojną na Ukrainie i rosyjskim zagrożeniem. Przez ostatnie lata ograniczano prawa obywatelskie, wolność prasy, nakładano bezprawne pandemiczne restrykcje, a sami politycy znajdowali się coraz bardziej poza kontrolą społeczeństwa, za plecami Polaków kreśląc wielkie plany strategicznego sojuszu z Ukrainą.

PANDEMIA KONTROLI

Każda władza ma naturalną predylekcję do poszerzania zakresu swej kontroli. Jak ujął to John Acton: „Każda władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie". W normalnych warunkach te zapędy są jednak hamowane przez wiele czynników – zaczynając od systemu prawnego, przez kontrolę społeczną, na poziomie kultury politycznej danego narodu kończąc. Ten mechanizm – oczywiście niedoskonały – został zachwiany kilka lat temu, gdy strach przed koronawirusem sparaliżował niemal cały cywilizowany świat. Z dnia na dzień zamykano kolejne gałęzie gospodarki, wprowadzano lockdowny, inwigilowano obywateli, nakładano kary i restrykcje.

Wszyscy pamiętają ten czas, ale warto zawrócić uwagę, że ta rosnąca omnipotencja władzy nie spotkała się w świecie Zachodu z niemal żadną kontrakcją. Nie licząc pojedynczych, zazwyczaj rachitycznych protestów, społeczeństwa dumne ze swego umiłowania wolności bez chwili

eprasa.pl 9223c44521

Premier Mateusz Morawiecki podczas posiedzenia Sejmu, na którym przegłosowano powstanie komisji mającej badać rosyjskie wpływy

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

kontrolą?

wahania poparły quasi-autorytarne reżimy, które zapanowały na dobre dwa lata. Australijskie obozy dla podejrzanych o kontakt z wirusem, kanadyjska policja konna tratująca protestujących, polscy funkcjonariusze chodzący po domach i notujący, kto posłusznie siedzi w zamknięciu – bez mrugnięcia okiem akceptowaliśmy działania władz.

To w czasie pandemii – stawiam tezę – rządzący w Polsce PiS zaczął się odrywać od społeczeństwa. Nawet jeżeli bagatelizowanie potrzeb własnego elektoratu było widoczne już wcześniej (vide: „piątka dla zwierząt", zdymisjonowanie ministra Ardanowskiego), to właśnie kilkanaście miesięcy zupełnego pozaprawnego „zawieszenia", które bezwolnie zaakceptował lud, odurzyło rządzących. Wszak teraz, gdy już emocjonalne wzmożenie i strach przed wirusem minęły, sądy obalają kolejne decyzje władzy, wskazując na ich bezprawną samowolkę, na czele z absurdalnymi restrykcjami i pandemicznymi nakazami.

W czasie tych dwóch lat, gdy społeczeństwo biernie akceptowało poczynania PiS, ten mechanizm zazgrzytał jedynie przy próbie przeprowadzenia wyborów kopertowych. Nie licząc jednak tego incydentu, Polacy akceptowali wszelkie legislacyjne fikołki rządu, opozycja – na co dzień grzmiąca o łamaniu praworządności – nabrała wody w usta, a rządzący skwapliwie korzystali z tej sytuacji, poszerzając zakres swej władzy.

Pandemia w końcu minęła, ale apetyty rządzących najwyraźniej nie zmalały. Zwłaszcza że na horyzoncie pokazał się kolejny pretekst, usprawiedliwiający totalną samowolkę – inwazja Rosji na Ukrainę.

NIE KOMENTOWAĆ, NIE KRYTYKOWAĆ

Dobrą egzemplifikacją omawianego procesu jest postawa rzecznika Prawa i Sprawiedliwości Radosława Fogla, który – zapytany o kompromitującą sytuację z rosyjską rakietą, która spadła pod Bydgoszczą – odparł jedynie, że „nie jest to kwestia, którą powinno się rozstrzygać publicznie". Przypomnijmy: rosyjska rakieta spadła na terytorium Polski w grudniu, a jej szczątki odnaleziono dopiero w kwietniu. Dla władzy to oczywiście bardzo wygodne rozwiązanie, aby „publicznie nie rozstrzygać" jednej z największych kompromitacji MON w ostatnim 30-leciu. Te słowa brzmiały jednak mało wiarygodnie, biorąc pod uwagę, że padły już po tym, jak minister Błaszczak „publicznie rozstrzygnął", iż winę ponosi Wojsko Polskie.

Co więcej, słowa Fogla dotyczące rakiety były jedynie wyrazem szerszej strategii wobec polskiego społeczeństwa, którą przyjęło Prawo i Sprawiedliwość po 24 lutego 2022 r. Strategii sprowadzającej się do zasady – robimy swoje, a obywatele mają za nami podążać, nie zadając zbędnych pytań. Przykładem może być pomysł Jarosława Kaczyńskiego, który padł w pierwszych miesiącach wojny, dotyczący „misji pokojowej", która miałaby się sprowadzać do tego, że NATO wkroczy na Ukrainę. Była to wszak propozycja atomowa, która angażowałaby cały sojusz w konflikt rosyjsko-ukraiński, a z Polski de facto zrobiłaby państwo frontowe.

Od kilku tygodni polscy dygnitarze coraz śmielej mówią o zawarciu jakiegoś rodzaju sojuszu z Ukrainą, który Jakub Kumoch roboczo określił mianem „paktów sarmackich" (część prorządowych intelektualistów mówi wręcz o powołaniu federacji dwunarodowej). Rządzącym nikt jednak nie dał mandatu do zawierania żadnego sojuszu z Ukrainą. Jeżeli jakikolwiek alians miałby w ogóle zostać zawarty, to jedynie po wcześniejszym

eprasa.pl 9223c44521

ogólnonarodowym referendum, gdyż sojusze oznaczają nie tylko profity, lecz także zobowiązania i konkretne ryzyka. PiS tymczasem jak ognia unika jakichkolwiek konkretów w sprawie relacji polsko-ukraińskich. Rządzący obracają się wokół ogólników i niedopowiedzeń, tak że właściwie nie wiadomo, na czym mają polegać „sarmackie pakty", nad którymi pracują władze obu państw. PiS nie raczy ujawnić, jakie zobowiązania nakładają rzeczone pakty na nasz kraj i jakie ryzyka ze sobą niosą. Po wejściu do NATO i Unii Europejskiej w Polsce zapanowała nasza mała, swojska wersja końca historii, którą znamionowało przeświadczenie, że sojusze są zawsze wartością dodatnią, że wiążą się z nimi jedynie profity, a nie zobowiązania. Tymczasem prawda jest bardziej złożona – sojusze działają dwustronnie i niosą ze sobą tyleż szans, ile zagrożeń. Ponadto art. 89 konstytucji wyraźnie wskazuje, że ratyfikacja sojuszu czy układu wojskowego może odbyć się wyłącznie na drodze ustawy, a nie zakulisowych pertraktacji.

Powyższe zarzuty nie dotyczą abstrakcyjnej tematyki, jakichś mglistych planów na przyszłość, ale jak najbardziej konkretnych konsekwencji działań polskiego rządu. Na początku tego roku ujawniono choćby, że polskie władze wydelegowały na Ukrainę kontyngent policji, do którego zadań należało rozbrajanie materiałów wybuchowych na terenach opuszczonych przez Rosjan. I znowu – polskie władze za plecami społeczeństwa podjęły arbitralną decyzję o wysłaniu w okolice frontu polskich służb. Wyobraźmy więc sobie sytuację, w której dochodzi do nagłego kontrataku Rosjan i polscy policjanci zostają zabici na służbie albo wzięci do niewoli. Jak wówczas rząd wynegocjowałby od Putina wypuszczenie jeńców albo odzyskanie ciał poległych?

Całość jest potęgowana oczywistym romantycznym zadęciem władzy, która konflikt z Rosją postrzega w quasi-mesjanistyczno-eschatologicznym wymiarze, ale przecież obecnych zapędów władzy nie można tłumaczyć wyłącznie wojną na Ukrainie. Bo niby jak rosyjska inwazja ma tłumaczyć cenzurowanie prawicowych mediów, które obserwujemy w ostatnich miesiącach? Mówię tutaj przede wszystkim o blokadzie telewizji internetowej wRealu24, portalu gazety „Myśl Polska" czy internetowej strony dwutygodnika „Najwyższy Czas!". ABW nie spowiadała się ze swoich działań, najwyraźniej odgórnie uznając, które media uważa za prorosyjskie i groźne dla interesu RP. Jeżeli istniały przesłanki świadczące o tym, że te media mogą być pod wpływem Kremla, to należało w cywilizowany sposób dowieść tego przed sądem. Wszak art. 54 ustawy zasadniczej jasno zakazuje prewencyjnej cenzury. Pandemia i czas wojny nauczyły jednak rządzących posługiwania się strachem – strachem przed zakażeniami, strachem przed rosyjskimi agentami.

Dlatego też tak niepokojąco brzmią zakusy władzy dotyczące nowelizacji konstytucji w celu umożliwienia nacjonalizacji majątków osób podejrzanych o wspieranie Rosji. PiS chce wprowadzić do konstytucji podrozdział XIa: „Zagrożenie bezpieczeństwa państwa", w którym znalazłby się art. 234a o następującym brzmieniu:

„W razie zbrojnej napaści na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej lub zbrojnej napaści na terytorium innego państwa powodującej bezpośrednie, zewnętrzne zagrożenie Rzeczypospolitej Polskiej lub jej porządku publicznego majątek, który znajduje się na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, może zostać przejęty przez Skarb Państwa z mocy prawa i bez odszkodowania, w przypadku gdy można domniemywać, że majątek ten jest wykorzystywany lub może być wykorzystany w jakiejkolwiek części do finansowania lub wspierania w innej formie napaści lub działań z nią związanych, w szczególności ze względu na osobiste, organizacyjne lub finansowe powiązania właściciela majątku z podmiotem dokonującym napaści".

Jeżeli zatem Rosja prowadzi wojnę z Ukrainą, bo przecież tego dotyczy powyższy zapis, to władza na mocy samego domniemania, że ktoś wspiera działania Kremla, może znacjonalizować jego cały majątek. Biorąc pod uwagę, z jaką nonszalancją rządzący podeszli do cenzurowania prawicowych mediów, powyższe zapisy wyglądają jak zapowiedź usankcjonowanego rabunku. Jednocześnie PiS zdaje się działać zgodnie z przeświadczeniem, że obecna koniunktura polityczna będzie trwać wiecznie, a PO nigdy nie dojdzie do władzy i nie będzie miała szans wykorzystać tych przepisów do własnych celów.

ALIENACJA WŁADZY

Mechanizm odrywania się polityków od społeczeństwa – czy nawet od własnych wyborców – obserwowaliśmy jeszcze przed wybuchem pandemii. W grudniu 2020 r., wbrew własnym obietnicom i wbrew woli żelaznego elektoratu, PiS de facto zgodził się na krok w kierunku federalizacji Unii Europejskiej, wiążąc unijne fundusze z mechanizmem tzw. praworządności, i w zamian za miraż pieniędzy ukręcił bat na państwo polskie. Kolejny raz absolutnie fundamentalne decyzje, które będą rezonować na kolejne dekady, podjęte zostały bez jakichkolwiek konsultacji i wbrew protestom środowisk prawicowych, a nawet jednego z koalicjantów. Z kolei kilka miesięcy później – po tym, jak się okazało, że Bruksela oczywiście skwapliwie wykorzystała bat, który jej podała Polska – premier Morawiecki ogłosił triumfalnie, że udało mu się wynegocjować jakieś „kamienie milowe", po których spełnieniu Polska ma otrzymać (należne jej!) fundusze. Znowu negocjacje odbywały się za zamkniętymi drzwiami, nie do końca wiadomo, co premier obiecał, co mu obiecano ani dlaczego w imieniu państwa polskiego zgadzał się na jakiekolwiek „kamienie milowe".

To tylko kolejny przejaw zrywania się władzy z łańcucha demokratycznej kontroli. Rządzący zapewniają, że wygrali wybory i obecnie realizują jedynie swój mandat, a wyborcy przy urnach rozliczą ich z mijającej kadencji. Problem w tym, że nie na tym polega demokratyczny mandat, iż można robić absolutnie wszystko, tłumacząc się zwycięstwem wyborczym. Zwłaszcza jeżeli działa się wbrew swoim własnym obietnicom wyborczym.

PiS wygrywał od 2015 r. głównie dzięki świetnemu słuchowi społecznemu – umiejętności odczytywania potrzeb „zwykłych Polaków" i prezentowania się jako reprezentant tejże „normalnej" Polski. Dzisiaj, Anno Domini 2023, trudno dalej postrzegać PiS jako partię „zwykłych Polaków". Rząd zerwał się z łańcucha demokratycznej kontroli, oderwał od własnych wyborców i forsuje na siłę coraz bardziej niepokojące i szkodliwe projekty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

Wciąż bezbronni

Łukasz Warzecha

Z dużej chmury mały deszcz. Albo nawet kompletny brak deszczu. Tak można podsumować nadzieje, które posiadacze broni oraz ci, którzy chcieliby ją mieć, wiązali z wybuchem wojny na Ukrainie – jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało

Gdy 24 lutego ubiegłego roku zaczęła się nowa faza konfliktu i Rosja dokonała inwazji na Ukrainę, na strzelnicach pojawiło się wiele osób, które wcześniej nigdy nie miały broni w ręku. Ten sam efekt można było zaobserwować dziewięć lat wcześniej (gdy ja sam zaczynałem przygodę ze strzelectwem). Szybko pojawiły się głosy, że rosyjska agresja na sąsiedni kraj wymaga zmiany zasad dostępu do broni w Polsce.

Przypomnijmy, jak dzisiaj to wygląda. Pod względem liczby sztuk broni na 100 mieszkańców Polska jest na szarym europejskim końcu. W tej chwili współczynnik ten wynosi 2,51 – a i tak wzrósł w ciągu kilku ostatnich lat. Następna od końca jest Rumunia: 2,63. Inne względnie rozbrojone kraje Europy prześcigają nas wyraźnie: Anglia i Walia – 4,64 (w Wielkiej Brytanii obowiązują jedne z najbardziej restrykcyjnych reguł dotyczących posiadania broni – jakiejkolwiek, nie tylko palnej), Estonia – 4,96, Hiszpania – 7,52. Rekordziści europejscy są daleko, daleko przed nami: Finlandia – 32,36, Szwecja – 23,14, Norwegia – 28,82, Niemcy – 19,62, Portugalia – 21,30. Wyraźnie wyprzedzają nas Czesi – 12,53, a także Słowacy – 6,53. Trzeba natomiast pamiętać, że ta statystyka ujmuje różne rodzaje broni. W wielu krajach relatywnie łatwo jest zdobyć pozwolenie na broń długą, myśliwską, taką jak strzelba czy sztucer, ale znacznie trudniej – nawet trudniej niż w Polsce – na broń krótką, szczególnie z prawem do jej noszenia. To jeden z nielicznych plusów naszych rozwiązań: będąc np. strzelcem sportowym, ma się dostęp do bardzo różnych rodzajów broni, a zgodnie z prawem broń tę można także nosić.

Trzeba też pamiętać, że liczba sztuk broni nie jest tożsama z liczbą jej posiadaczy. W Polsce posiadacze pozwoleń na broń do celów sportowych lub kolekcjonerskich mają po kilka, kilkanaście, a czasem nawet kilkadziesiąt sztuk broni. Pod koniec 2021 r. było w naszym kraju ok. 132 tys. osób z pozwoleniem do celów łowieckich, posiadających łącznie ponad 356 tys. sztuk broni, ok. 44 tys. z pozwoleniem do celów sportowych (tu widać bardzo dynamiczny wzrost), posiadających ponad 123 tys. sztuk broni, ok. 40 tys. z pozwoleniem kolekcjonerskim (132 tys. egzemplarzy broni) i tylko 31 tys. z pozwoleniem do ochrony osobistej. Te ostatnie pozwolenia to jedyna kategoria, w której policji pozostawiono uznaniowość decydowania. Policja korzysta z tego, weryfikując posiadane pozwolenia i część z nich w tej kategorii cofając.

W innych kategoriach policja uznaniowość utraciła w wyniku nowelizacji Ustawy o broni i amunicji, przeprowadzonej za rządów PO, w 2011 r. Była to ostatnia licząca się i naprawdę znacząca zmiana prawa do posiadania broni.

ARCHAICZNE PRAWO

Obecna ustawa pochodzi z 1999 r. i jest już archaiczna przede wszystkim ze względu na niekompatybilność z unijną dyrektywą broniową. A także – może przede wszystkim – ze zdrowym rozsądkiem. Ustawa stosuje bowiem podział broni nie pod względem jej rodzaju, ale przeznaczenia. Jest to podział sprzeczny z używanym w akcie unijnym, który – całkiem sensownie – dzieli broń w zależności od jej rodzaju, a nie zastosowania. Mamy zatem cztery kategorie – A, B, C i D. Kategoria A zawiera sprzęt generalnie niedostępny dla cywilnych posiadaczy. Jeśli posiada się zaś np. pistolet glock (kategoria B), to nie ma znaczenia, czy jest to broń używana na polowaniu do dostrzeliwania zwierzyny, na zawodach statycznych albo dynamicznych czy do ochrony osobistej. Liczy się, jaka to broń, a nie to, po co się ją ma.

Klasyfikacja broni pod względem celu jej posiadania prowadzi do aktualnie trwającego absurdu, o którym wszyscy znający się na rzeczy doskonale wiedzą: osoby, które po prostu chcą posiadać broń, muszą znaleźć sobie powód. Nie „ochronę osobistą", bo otrzymanie zgody policji w tej kategorii graniczy z cudem. Stąd wiele osób zapisuje się do klubów sportowych, ale uczestniczy jedynie w takiej liczbie zawodów, która jest niezbędna do utrzymania licencji, co z kolei jest warunkiem utrzymania pozwolenia do celów sportowych. Inni zapisują się do stowarzyszeń zawiązywanych tylko po to, żeby ich członkowie mogli występować o pozwolenia do celów kolekcjonerskich. Policja z kolei – teoretycznie – mogłaby robić trudności tym, którzy swoją

eprasa.pl 9223c44521

broń wykorzystują niezgodnie z celem wskazanym w pozwoleniu. Na przykład kolekcjoner w zasadzie nie ma prawa brać udziału w zawodach z posiadaną na mocy takiego pozwolenia bronią, bo ma ją po to, żeby mieć (kolekcjonować), a nie po to, żeby startować z nią w zawodach sportowych.

W utrzymaniu tego absurdalnego systemu sporą rolę odgrywają też interesy niektórych środowisk. Na przykład Polski Związek Strzelectwa Sportowego pobiera opłatę za przedłużenie licencji sportowej na kolejny rok, a także za przeprowadzane egzaminy, będzie więc twardo lobbował za tym, żeby systemu nie zmieniać.

NADZIEJE SZYBKO ROZWIANE

Po zwycięstwie PiS w wyborach w 2015 r. przez krótki moment niektórzy łudzili się, że „prawicowa partia" pójdzie strzelcom na rękę i w końcu uda się zastąpić obecną ustawę nowymi, lepszymi, racjonalniejszymi przepisami. Nie chodziło przy tym o to – jak twierdzili obsesyjni przeciwnicy posiadania broni – żeby pistolet można było kupić na każdym rogu w sklepie z bułkami, ale o to, żeby wprowadzić do systemu jakąś logikę, w niektórych aspektach nawet go być może uszczelnić. Przede wszystkim jednak o to, aby posiadanie broni przestało być przez polskie państwo w końcu traktowane jako przywilej, którym władza nagradza obywatela. Powinno się stać prawem każdego chętnego, kto spełnia jasno określone kryteria, z możliwością ograniczenia jedynie w wyraźnie opisanych przypadkach (choroba psychiczna, niektóre problemy motoryczne, bycie karanym za określony rodzaj przestępstwa).

Te nadzieje zostały szybko rozwiane. Sporadyczne wypowiedzi prezesa PiS na ten temat, od którego przecież ostatecznie wszystko zależy, nie pozostawiały wątpliwości, że Jarosław Kaczyński jest takim pomysłom skrajnie niechętny. Prezes PiS powtarzał tezy, kojarzone ze skrajną lewicą, jakoby Polacy do posiadania broni „nie dojrzeli". Niestety, nikt nigdy nie zapytał go, dlaczego ta rzekoma niedojrzałość ma dotyczyć akurat Polaków, a nie choćby wspomnianych wcześniej Czechów, którzy do posiadania broni mają w swoim kraju całkowicie odmienne podejście. W czym Polacy są gorsi niż nasi południowi sąsiedzi – tego się nigdy od Jarosława Kaczyńskiego nie dowiedzieliśmy.

Wydawało się, że wojna może być impulsem, który odblokuje zmianę. Patrząc na sytuację z perspektywy półtora roku, można jednak powiedzieć, że nadzieja ta była całkowicie płonna. Wygląda nawet na to, że środowiska posiadaczy broni były od samego początku zwodzone przez tych, od których ostatecznie zależała decyzja.

Korowody wokół ewentualnej zmiany przepisów przypominają telenowelę z fabułą tak skomplikowaną, że wielu przestało już nadążać za rozwojem wypadków. Dość powiedzieć, że w grze mieliśmy cztery projekty, z których uchwalony został jeden – w zasadzie niczego niezmieniający z punktu widzenia zwykłego posiadacza broni (poza myśliwymi, którzy dzięki niemu nie będą musieli powtarzać badań okresowych). Na tę mnogość koncepcji nałożyły się wewnętrzne spory w środowisku posiadaczy broni. Mocno odmienne podejście prezentują bowiem stronnictwo „legalistów", którego liderem jest Jarosław Lewandowski, redaktor naczelny miesięcznika „Strzał.pl. Pro Libertate" i prezes Fundacji Rozwoju Strzelectwa w Polsce, oraz stronnictwo skrajnie liberalne, reprezentowane przez Jacka Hogę, prezesa Fundacji Ad Arma. Obaj panowie brali udział w pracach nad projektami.

Prezes PiS powtarza tezy, kojarzone ze skrajną lewicą, jakoby Polacy do posiadania broni „nie dojrzeli"

Najstarszy stażem jest projekt „legalistów", wywodzi się bowiem z jeszcze poprzedniej kadencji Sejmu – choć w tej został oczywiście zaprezentowany na nowo, znów przez koło Kukiz'15. Do Sejmu trafił w marcu ubiegłego roku i do dzisiaj przeszedł prześwietlenie Biura Analiz Sejmowych, był opiniowany przez Rządowe Centrum Legislacji, a także został przepuszczony – z uwagami i wnioskiem o poprawienie do wnioskodawców – przez Komisję Ustawodawczą Sejmu.

To projekt całkowicie nowej ustawy, porządkującej kwestie posiadania broni

eprasa.pl 9223c44521

FOT. ADOBE STOCK

Do końca kadencji Sejmu pozostały trzy posiedzenia. To absolutnie ostatni moment, by coś w tej sprawie zrobić

zgodnie z brzmieniem unijnej dyrektywy. Krytycy zarzucali mu zbytnie zbiurokratyzowanie oraz to, że wprowadza właśnie całkowicie nowy ład prawny, zamiast bazować na istniejącym ustawodawstwie. Autor projektu odpowiadał jednak, że nie da się już nic zbudować na podstawie tak przegniłej jak dzisiejsza ustawa, a żeby system był wewnętrznie logiczny, musi zostać postawiony od zera. Dopiero taki mechanizm znacznie trudniej zaatakować, zepsuć czy zrobić w nim wyłom. Nie sposób tej argumentacji odmówić słuszności.

Na drugim biegunie stał projekt formalnie zgłoszony przez Republikanów Adama Bielana w kwietniu. Tu nie mieliśmy nowej ustawy, ale próbę nowelizacji dotychczasowej. Ten projekt był – przynajmniej do pewnego momentu – utożsamiany z poglądami Jacka Hogi. Przeszedł do dzisiaj podobną drogę co projekt Fundacji Rozwoju Strzelectwa w Polsce.

W lipcu z kolei pojawił się projekt firmowany przez poseł wówczas jeszcze Solidarnej Polski Annę Marię Siarkowską, który nastawiony był przede wszystkim na ułatwienie posiadania broni przez członków organizacji proobronnych, był zatem w swoim zakresie bardziej ograniczony.

Wreszcie jest i czwarty projekt. Poseł PiS Bartłomiej Wróblewski – niedoszły rzecznik praw obywatelskich – wrzucił zmiany dotyczące posiadania broni do firmowanej przez siebie ustawy „o zmianie ustaw w celu likwidowania zbędnych barier administracyjnych i prawnych", czyli, mówiąc prościej, do ustawy deregulacyjnej. Ustawa została uchwalona w styczniu tego roku, a opublikowana w Dzienniku Ustaw w kwietniu. Ułatwia ona uzyskanie prywatnego pozwolenia funkcjonariuszom służb, a więc m.in. policji, ABW, Straży Granicznej, Służby Ochrony Państwa czy Służby Celno-Skarbowej. Nie ma to nic wspólnego z racjonalizacją całego systemu i niczego nie upraszcza z punktu widzenia zwykłego Kowalskiego, który chciałby wejść w posiadanie broni.

DECYDUJĄCE OBAWY ELEKTORATU

Jakie było polityczne tło wszystkich tych starań? Nakłada się tu kilka czynników. Po pierwsze, osobista niechęć Jarosława Kaczyńskiego do jakiegokolwiek poluzowania zasad posiadania broni. To logiczne w przypadku polityka, stawiającego na pierwszym miejscu państwo i nieceniącego specjalnie wolności obywateli. Po drugie, kalkulacja, że na pójściu choć trochę na rękę posiadaczom broni da się zarobić punkty poparcia. Po trzecie, kalkulacja przeciwna: że temat posiadania broni jest w Polsce do tego stopnia zmitologizowany i odbierany histerycznie, że tknięcie go jest bardzo ryzykowne. Rozstrzygnięcie tego dylematu w dużej mierze zależy od tego, do jakiego elektoratu PiS się zwraca. Wśród jego twardych wyborców dominują osoby, dla których posiadanie broni nie tylko nie jest sprawą znaczącą, lecz także przeciwnie – budzi niechęć i nieracjonalne obawy. Zatem gra na zmobilizowanie tej grupy wyborców wyklucza raczej korzystne zmiany w prawie do posiadania broni. A że PiS na ten właśnie elektorat konsekwentnie gra – mamy, co mamy.

W pewnym momencie ze szczytów PiS do osób firmujących poszczególne projekty miał trafić przekaz: pogódźcie się i zróbcie jeden szkic, a wtedy pogadamy. Przynajmniej do projektu Kukiz'15 została wprowadzona autopoprawka, której celem było właśnie pogodzenie różnych podejść, jakkolwiek było to trudne. Niczego to jednak nie zmieniło – woli politycznej nie było nadal. Dlatego dzisiaj można uznać, że była to tylko gra pozorów.

Propozycje zmian są jednak gotowe. Do końca kadencji Sejmu pozostały jeszcze trzy posiedzenia. To absolutnie ostatni moment – wliczając etap Senatu – żeby coś w tej sprawie zrobić. W przeciwnym wypadku projekty przepadną. Gdyby tak się stało oraz gdyby jednak PiS rządził również w następnej kadencji i gdyby znów próbował sprawą dostępu do broni kokietować osoby nim zainteresowane, jego wiarygodność w tej kwestii będzie całkowicie zerowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

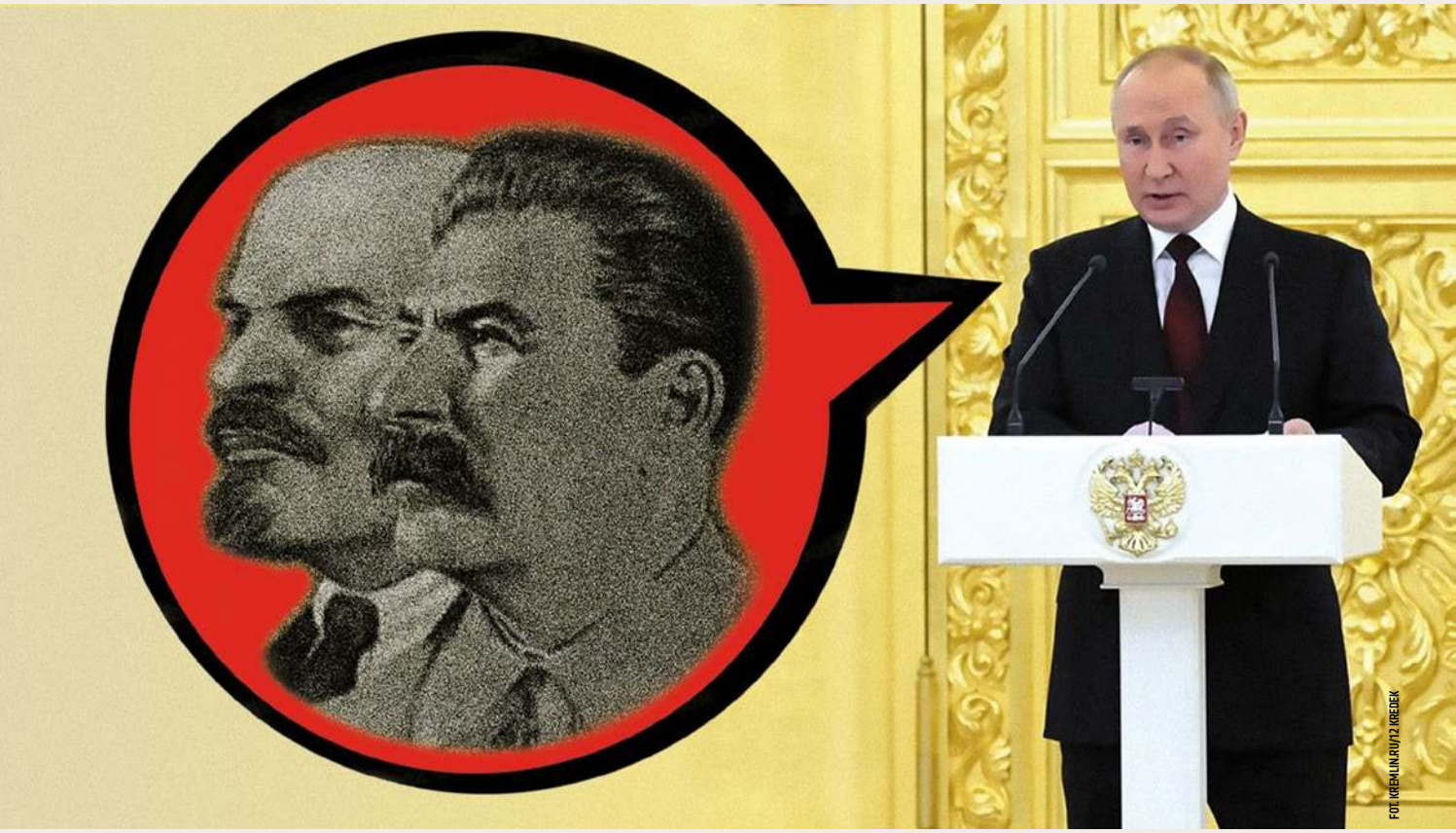

FOT. KREMLIN.RU/12 KREDEK

Wojna i gra:

dziedzictwo Lenina i Stalina w Rosji Putina

Andrzej Nowak

Fragment najnowszej książki „Powrót »Imperium Zła«. Ideologie współczesnej Rosji. Ich twórcy i krytycy (1913–2023)"

Jaka jest relacja między Rosją sprzed 1917 a tą, którą opanował Lenin z towarzyszami i zmieniał Stalin oraz jego następcy do 1991 roku? To pytanie ważne dla zrozumienia Rosji Putina [...]. Interesującej odpowiedzi na pierwsze z tych pytań udzielił „na gorąco", w ostatnich dniach agonii Związku Sowieckiego, obecny gospodarz Kremla. Wtedy był jeszcze, nieznanym praktycznie poza Leningradem (Petersburg nosił tę nazwę do 16 maja 1992 roku), urzędnikiem nowego merostwa tego miasta. I w tym charakterze udzielił krótkiego wywiadu na potrzeby filmu dokumentalnego o nowej, tworzącej się dopiero władzy.

Urodzony w 1952 roku w Leningradzie, od 1975 roku kadrowo związany z KGB, pracował w wywiadzie zagranicznym „firmy". Po nieudanym puczu w obronie partyjnego systemu Związku Sowieckiego w sierpniu 1990 roku zdecydował się z nią formalnie rozstać. Z lat działalności na placówce w Dreźnie (formalnie jako kierownik Domu Przyjaźni Sowiecko-Enerdowskiej, faktycznie jako oficer rekrutujący i prowadzący agenturę nakierowaną głównie na RFN) Putin wyniósł, jak sam twierdzi, głęboką traumę. 5 grudnia 1989 roku, już blisko miesiąc po skruszeniu muru w Berlinie przez protestujących mieszkańców stolicy NRD, oddolna rewolucja przeciwko sowieckiej zwierzchności dotarła na próg rezydentury KGB w Dreźnie. Tłum demonstrantów napierał. Okrążeni w willi przy Angelikastrasse 4 oficerowie KGB próbowali uzyskać odpowiedź z centrali: co robić? Czekali na decyzje i na wsparcie wszechmocnej dotąd, jak się zdawało, organizacji. Ale „Moskwa milczała". Trzeba było w pośpiechu palić tajne dokumenty

eprasa.pl 9223c44521

i własnymi tylko siłami, a raczej perswazją, a nie siłą, przekonać demonstrantów, by odstąpili od zamiaru zdobycia rezydentury „imperium zła". Jak wspominał Putin, to właśnie ten moment – „milczenie Moskwy" – przekonał go, że nie ma już jego państwa, „wielkiego państwa".

W stopniu podpułkownika, odznaczony brązowym medalem Zasługi dla Ludowej Armii NRD, wrócił w styczniu 1990 roku do kraju. Do sierpnia pracował w leningradzkim zarządzie KGB. „Podpinał się" już jednak pod swego wykładowcę z czasu studiów prawniczych na Uniwersytecie Leningradzkim, Anatolija Sobczaka. Ten zaczynał robić karierę polityczną jako nowo wybrany rektor Uniwersytetu i lider „demokratycznej opozycji" w mieście Lenina. W sierpniu, kiedy było już jasne, że starych struktur Związku Sowieckiego nikt nie obroni, Putin złożył oficjalne podanie o dymisję ze swych dotychczasowych obowiązków w KGB. Dymisja została przyjęta, a przedsiębiorczy oficer z dobrymi kontaktami w Niemczech zaczął nową służbę – jako asystent rektora Sobczaka do spraw międzynarodowych. Kiedy Sobczak został w końcu czerwca 1991 roku wybrany merem miasta, Putinowi powierzył funkcję przewodniczącego Komitetu merostwa do spraw stosunków zagranicznych.

ZNIKAJĄCA STATUETKA

I tu właśnie, w gabinecie odpowiednim do tej funkcji, jesienią owego roku przyszły prezydent Rosji udziela swojego pierwszego bodaj wywiadu telewizyjnego. Bezpośrednią pobudką do odpowiedzi na pytanie o stosunek do dziedzictwa Związku Sowieckiego stała się uwaga prowadzącego rozmowę, że za plecami Putina zniknęła statuetka Lenina, która jeszcze dzień wcześniej była w jego gabinecie. 39-letni przewodniczący Komitetu merostwa odpowiedział:

„Ja odnoszę się do tego spokojnie. Są [te portrety i statuetki] czy ich nie ma. Wychodzę z tego [założenia], że trzeba się odnosić do historii jak do czegoś, co było. I tego [to jest Lenina i sowieckich czasów] nie można wykreślić z naszej historii. Jeśli interesuje pana mój stosunek do tego człowieka [Lenina], tej nauki, którą reprezentował, to powiedziałbym tak: że był czas w moim życiu, kiedy odnosiłem się z zainteresowaniem do nauki [uczenija] marksizmu-leninizmu, dużo czytałem. Znajdowałem tę lekturę interesującą, często logiczną, ale w miarę dojrzewania stawała się dla mnie bardziej oczywistą prawda, że to wszystko nic więcej, jak piękna i szkodliwa bajka [wriednaja skazka]. Szkodliwa, gdyż jej urzeczywistnienie czy próba urzeczywistnienia w naszym kraju spowodowała ogromne straty. W związku z tym chciałbym powiedzieć dwa słowa o tej tragedii, którą przeżywamy obecnie, to jest tragedii rozpadu naszego państwa. A inaczej jak tragedią nazwać tego nie można. To właśnie działacze Października 1917 roku założyli minę z opóźnionym zapłonem [minu miedliennogo diejstwija] pod tę budowlę – budowlę jednolitego państwa [zdanije unitarnogo gosudarstwa], które nazywało się Rosją. Oni rozbili naszą ojczyznę na oddzielne księstwa, które wcześniej w ogóle nie figurowały na mapie kuli ziemskiej, nadali owym księstwom rządy i parlamenty – tak. A teraz mamy to, co mamy. To z jednej strony, a z drugiej oni zniszczyli to, co łączy i spaja stosunki, zniszczyli rynek, rodzący się kapitalizm. Jedyna rzecz, którą zrobili, czym utrzymywali kraj we wspólnych granicach, był drut kolczasty. Jak tylko zabrany został drut kolczasty, tak i rozpadł się kraj. Uważam, że w znacznym stopniu to była wina tych ludzi. Czy tego chcieli czy nie? Myślę, że nie chcieli, ale obiektywnie odegrali taką negatywną rolę". Zapewne dzisiejszy prezydent Rosji też nie chce, ale niewykluczone, że odegra również podobnie „negatywną rolę" z punktu widzenia Wielkiego Imperium…

Nie wiem, czy wyrażał w przytoczonych słowach swoje osobiste przekonanie czy też powtarzał „mądrość etapu", jaką w końcu 1991 roku wyznaczała sytuacja i nastroje społeczne w Rosji wyłaniającej się z ram rozmontowanego Związku Sowieckiego. Wyobraźnię historyczną, jaką prezentuje dziś Putin, przybliżam w ostatnim rozdziale mojej najnowszej książki. Tu traktuję jego słowa z początku cywilnej kariery jako punkt wyjścia do refleksji nad spuścizną sowieckiego rozdziału historii „wielkiego państwa", bo z niego wszak bezpośrednio wyrasta współczesna Rosja. Nie będę zatrzymywał się nad oczywistym skądinąd faktem, że to z sowieckiego okresu wywodzi się unikalna formacja służb, które uformowały osobiście Putina i trzon elity polityczno-gospodarczej, dominującej od 2000 roku w Rosji. CzK, OGPU, NKWD, KGB – z dumą przywoływane przez owe elity kolejne nazwy policji politycznej totalitarnego państwa, tradycje Dzierżyńskiego (patrona pierwszej z tych organizacji) oraz Andropowa (patrona ostatniej) – to symbole tego, co Rosja Putina bezspornie czerpie ze spuścizny ZSRS. I co w istotny sposób wpływa na kształt dzisiejszej Rosji, jej ideologię, sposób zarządzania i prowadzenia przez nią polityki, także zagranicznej.

ANDRZEJ NOWAK „POWRÓT »IMPERIUM ZŁA«. IDEOLOGIE WSPÓŁCZESNEJ ROSJI, ICH TWÓRCY I KRYTYCY (1913–2023)" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2023

„INSTRUKCJE DZIAŁANIA"

W pismach, wypowiedziach i decyzjach Lenina oraz Stalina pozwolę sobie wskazać zaskakująco aktualny zbiór „instrukcji działania" imperium Putina, koncepcji wyjaśniających jego stosunek wobec bezpośrednich sąsiadów, Europy, Zachodu i współczesnego świata – tego właśnie, który zaczął ujawniać swe nowe kontury po 1917 roku.

Zaczynam od serii tekstów, jakim początek daje narada Lenina z Josifem Dżugaszwilim w Krakowie, na przełomie lat 1912 i 1913. Młodszy od Lenina o osiem lat rewolucjonista z Kaukazu właśnie w moim rodzinnym mieście wybrał dla siebie nowy pseudonim partyjny: Stalin. Lenin chciał uczynić z „cudownego Gruzina" (jak go wtedy nazwał w liście do Maksyma Gorkiego) specjalistę w dziedzinie polityki narodowościowej. Jak rozpalić pożar nowej rewolucji w wielonarodowościowym imperium carskim? Na to pytanie obaj mieli szukać odpowiedzi, łącząc z ideologią marksistowską perspektywę geopolityczną, w której centrum jest Rosja. Takie podejście charakteryzuje najlepiej tekst, jaki podpisany został pseudonimem Stalin, a wydany – po wizycie autora w Krakowie i Wiedniu – w publikowanym w Petersburgu legalnym miesięczniku bolszewików „Proswieszczenije", w numerach 3–5 z 1913 roku. „Kwestia

eprasa.pl 9223c44521

narodowa i socjaldemokracja" ujmuje tytułowe zagadnienie w kontekście bieżącej polityki, na styku Europy i Azji. „Rosja znajduje się między Europą i Azją, między Austrią i Chinami. Wzrost demokratyzmu w Azji jest nieuchronny. Wzrost imperializmu w Europie – nieprzypadkowy" – pisze Stalin. Rosyjscy marksiści (tu Stalin używał już wąsko narodowego określenia, którym najwidoczniej obejmował również siebie: „russkije marksisty") muszą uznać „prawo narodów do samookreślenia" – w formie terytorialnej autonomii. Miałyby z niej korzystać „takie określone wspólnoty, jak Polska, Litwa, Ukraina, Kaukaz itp.". Całe to rozumowanie służy ostatecznie Stalinowi do wykonania zadania, jakie postawił mu Lenin: zdecydowanie przekreślić ideę federacji, którą na grunt socjaldemokracji w imperium rosyjskim przeszczepić próbuje żydowska organizacja robotnicza Bund. Partia musi być jedna, scentralizowana, dla całego ruchu robotniczego imperium. Reszta to taktyka, która ma jakoś, tymczasowo, rozwiązać kwestię narodową – dopóty, dopóki nie unieważni tej kwestii ostateczny triumf rewolucji. Żądanie federacji piętnuje Stalin jako trącące „reakcyjno-klerykalną wspólnotą".

To była teraz linia partii w sprawie narodowej. Razem z „cudownym Gruzinem", a także m.in. Zinowiewem i Kamieniewem, świętował Lenin nowy rok (wedle kalendarza gregoriańskiego był 14 stycznia 1913 roku), po zakończonej naradzie partyjnej udając się do jednego z krakowskich teatrów. Martwił się tylko, że z wojny bałkańskiej na razie nie zapowiada się jeszcze generalne starcie imperializmów. Na wojnę musiał Lenin jeszcze trochę poczekać, ale oczywiście nie próżnował. Stalin, aresztowany w marcu 1913 roku zaraz po powrocie do Rosji, trafił tym razem na zesłanie aż do Turuchańskiego kraju w guberni jenisejskiej, skąd wydostanie się dopiero w końcu 1916 roku. Już więc bez „cudownego Gruzina" Lenin tworzył dalej koncepcję rozwiązania imperialno-narodowej kwadratury koła.

Wśród kilkuset tekstów napisanych przez niego w Krakowie, Białym Dunajcu i Poroninie, gdzie przyszły wódz rewolucji spędzał letnie miesiące 1913 i 1914 roku, dwa będą miały zasadnicze znaczenie dla sposobu rozegrania kwestii narodowej przez bolszewików w ich walce o władzę nad Rosją i światem. „Krytyczne uwagi w sprawie narodowej" oraz „O prawie narodów do samookreślenia". Dopełnił je – już po wybuchu wojny, napisany w neutralnej Szwajcarii – tekst „O dumie narodowej Wielkorusów". Tworzą razem z artykułem Stalina swoisty kanon sowieckiej sztuki operacyjnej w sprawie narodowej. Operacja miała przebiegać w dwóch etapach i polegać najpierw na wykorzystaniu ruchów narodowych, potencjalnie rozsadzających od środka imperium Romanowów, do sprawy sterowanej przez bolszewików rewolucji, a następnie na zapewnieniu ich skutecznej reintegracji w nowej, stworzonej przez rewolucję rzeczywistości. Lenin oskarżył w swoim artykule ukraińskich i żydowskich socjalistów o nacjonalistyczne odchylenie, które polega na przeciwstawianiu ich kultury i języka kulturze i językowi Rosjan („Wielkorusów"), faktycznie – na przeciwstawianiu się asymilacji do rosyjskości. To oczywiście jest traktowane jako przeszkoda na drodze do rewolucyjnego zjednoczenia.

Clausewitzowska definicja celu wojny jako środka polityki była potwierdzeniem sposobu rozumienia własnej działalności przez praktyka rosyjskiej rewolucji – Lenina

Artykuł „O dumie narodowej Wielkorusów" dawał argumenty na rzecz tezy, że to Rosja, a ściślej rosyjskie centrum partii bolszewickiej, może, a nawet powinno stać się centrum dowodzenia rewolucji i nowej reintegracji. Pisany tuż po wybuchu wojny artykuł odpowiadał na doświadczenie narodowego entuzjazmu z tych pierwszych miesięcy, kiedy pod hasłami obrony przed germańskim najeźdźcą i pod sztandarami patriotycznymi, wielkoruskimi właśnie, a szerzej słowiańskimi, skupiały się miliony poddanych cara, prostych chłopów i robotników. Wspominając plany „wyzwolenia" Galicji z rąk Austriaków, Armenii z rąk Turków czy w ogóle narodów bałkańskich spod dominacji habsbursko-niemieckiej, Lenin przedstawiał swoją wizję narodowej dumy rosyjskiej. Pisał: „Chcemy dumnej Wielkorosji" i wskazywał źródła tej dumy w praktyce walki z caratem, w jej historycznych bohaterach, w przewodzeniu w owej walce innym narodom. W grudniu 1914 r. dopuszczał jeszcze taki scenariusz, w którym tocząca się wojna może tymczasowo zakończyć się zwycięstwem „wielkoruskiego samodzierżawnego kapitalizmu" nad „stoma i jednym maleńkim narodem". A w owym scenariuszu – dodawał – „wcale nie jesteśmy koniecznie zwolennikami małych narodów; bezwzględnie, przy zachowaniu innych równych warunków, jesteśmy za centralizacją i przeciw mieszczańskiemu ideałowi federacyjnych stosunków".

Po wybuchu wojny, jak wiemy, 8 sierpnia 1914 roku, Lenin został aresztowany w Nowym Targu jako poddany wrogiego imperium. Po 11 dniach zwolniony wskutek interwencji polskich posłów socjalistycznych do parlamentu austriackiego, wyjechał z Galicji do neutralnej Szwajcarii (przed odjazdem podziękował jeszcze osobiście w Białym Dunajcu Janowi Kasprowiczowi, który również wstawił się za rosyjskim rewolucjonistą). Od 5 września Lenin był już z rodziną w Bernie. Spokojne szwajcarskie miasto miało jedną zaletę: względnie zasobną bibliotekę. W niej Lenin mógł zacząć opracowanie strategii wykorzystania toczącej się wojny, by to nie carat czy inni „imperialiści" ją wygrali, ale by zatriumfowała jego partia – na czele rewolucji.

POLITYKA I WOJNA

Sięgnął do najwybitniejszego klasyka nie marksizmu, ale teorii wojny: do pruskiego sztabowca, Carla Clausewitza, i jego wydanej pośmiertnie, w 1832 roku, summy – „O wojnie" („Vom Kriege"). Wielu już badaczy analizowało związki między militarną teorią Clausewitza i polityczną praktyką Lenina. Tu zwrócić chcę uwagę tylko na jeden aspekt zainteresowania przywódcy bolszewików dziełem Clausewitza, podkreślony szczególnie w kilkudziesięciostronicowych wypiskach, jakie Lenin poczynił w berneńskiej bibliotece z „Vom Kriege" (studiował je równolegle z filozofią Heraklita). Oczywiście z entuzjazmem przepisywał i komentował Lenin

eprasa.pl 9223c44521

zdania o nierozerwalnym związku polityki i wojny, o wojnie jako formie polityki, o przemocy i nienawiści jako żywiole wojny branym w karby polityki. Zniszczyć „siłę żywą" przeciwnika, by złamać jego wolę i podyktować mu swoje warunki pokoju – ta Clausewitzowska definicja celu wojny jako środka polityki była potwierdzeniem sposobu rozumienia własnej działalności przez praktyka rosyjskiej rewolucji. Lenin jednak podkreślił coś jeszcze: dokonane przez pruskiego generała przeciwstawienie dwóch typów wojny. Wojna „starego stylu", która podporządkowana była pewnym regułom, ustalonemu zestawowi wyćwiczonych manewrów oraz reguł walki w polu, zostaje zastąpiona przez wojnę bez starych reguł, wojnę rewolucyjną, jaką zapoczątkowuje w końcu XVIII wieku Francja. Próby utrzymania reguł, które znajdują swoich konserwatywnych obrońców, kończą się żałośnie, ponieważ zmiana formy wojny spowodowana jest przez nowe warunki i stosunki społeczne. To stwierdzenie Clausewitza budzi szczery zachwyt kandydata na przywódcę rewolucji. Gra i wojna – to go fascynuje, owe dwie fazy tej samej, skutecznej polityki. I jedna zasada tylko, której trzeba się trzymać, jak radzi Clausewitz: konieczna jest „rozkazodawcza wola, która przenika wszystko do ostatniego ogniwa w systemie dowodzenia". Dobry dowódca nie może oczekiwać, że ludzie zachowają się najlepiej. Przeciwnie. Nie może ufać ludziom; powinien opierać się na owej żelaznej woli, którą muszą respektować podkomendni. Zerwanie z tradycyjnie pojmowanym rozgraniczeniem polityki i wojny, a także połączenie gry z przeciwnikami, którzy uznają jej reguły i myślą jej kategoriami, oraz wojny, w której wobec tych samych przeciwników nie ma żadnych reguł, a gra jest tylko wstępem oraz środkiem do ich osłabienia i ostatecznego zniszczenia – w tym widzę sedno Leninowskiej lektury Clausewitza. Mam nieodparte wrażenie, że wydany w 1999 roku, a budzący wielkie zainteresowanie w ostatnich latach podręcznik dwóch chińskich oficerów, Qiao Lianga i Wanga Xiangsui, jak prowadzić wojnę nieograniczoną żadnymi regułami, za to z wykorzystaniem wszelkich, nietradycyjnych metod, jest w istocie tylko rozwinięciem intuicji, które zapisał Lenin – studiowany oczywiście z nabożeństwem w komunistycznych Chinach – w swoich notatkach na marginesie Clausewitza. Rzecz jasna, interpretacja niemieckiego stratega przez twórcę sowieckiego państwa pozostaje także istotną częścią sposobu rozumowania i działania, który poprzez tradycje KGB dziedziczą służby współczesnej Rosji.

WOJNA, IMPERIALIZM, REWOLUCJA

Przypominam tutaj owe notatki, ponieważ wydają się one koniecznym wprowadzeniem do koncepcji, którą Lenin rozwinął bezpośrednio po tych rozważaniach, w swoich zapiskach i artykułach z lat 1915 i 1916. Była to koncepcja geopolityczna, w której spotkały się wojna, imperializm i rewolucja. Centrum tego spotkania, w związku z tym centrum świata i wielkiej zmiany, miała być Rosja, a akuszerem owej zmiany świata – partia bolszewicka. W opublikowanym 23 sierpnia 1915 roku artykule „O haśle Stanów Zjednoczonych Europy" Lenin stwierdził, że możliwe jest zwycięstwo rewolucji nawet w jednym kraju. „Zwycięski proletariat tego kraju […] powstałby przeciwko pozostałemu kapitalistycznemu światu, przyciągając ku sobie uciskane klasy innych krajów […] i występując w razie potrzeby nawet z militarną siłą przeciw eksploatatorskim klasom i ich państwom". To był następny, duży krok nie tylko w stronę koncepcji socjalizmu w jednym kraju (niesłusznie przypisywanej przez wielu badaczy tylko Stalinowi), ale – co dla nas tutaj interesujące – ku utożsamieniu przez bolszewików owego „jednego kraju", to jest Rosji, z pojęciem rewolucyjnej ojczyzny, a nawet swoistego imperium, które poprowadzi resztę świata poprzez wojnę aż do ostatecznego zwycięstwa. Rosja nie będzie wlec się w ogonie postępu i rewolucji za bardziej rozwiniętymi krajami Europy, ale przeciwnie – Europa może okazać się centrum wyzysku świata, a Rosja (rewolucyjna) ośrodkiem wyzwolenia reszty świata przeciw kolonialnym metropoliom w Paryżu, Berlinie, Londynie…

Kolejny, najbardziej efektowny krok w kierunku takiej reinterpretacji miejsca Rosji w planie marksistowskiego „zbawienia świata" uczynił Lenin w Zurychu, dokąd przeprowadził się z Berna. Całą pierwszą połowę 1916 roku zaprzątał sobie głowę opracowaniem obszernego studium: „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu". Zarówno wymowa, którą nadał zapożyczonemu wprost od angielskiego badacza, Johna Hobsona, ekonomicznemu schematowi analizy imperializmu, jak i liczne wypiski oraz notatki, które sporządził Lenin w pracy nad swoim tekstem, pozwalają zobaczyć w jego dziele zapowiedź rewolucji nie tylko społecznej, lecz także geopolitycznej. Rosja, rewolucyjna oczywiście, powinna stanąć na czele uciskanych ludów Azji i Afryki – przeciwko wykorzystującemu je, szczególnie pasożytniczemu imperializmowi zachodnich mocarstw kolonialnych. Lenin wprost buntuje się w swoich notatkach do „Imperializmu" przeciw Marksowi. Szydzi z jego tez: „Marx w latach 1860 (»Inne narody powinny siedzieć na d…. i czekać, zanim we Francji dokona się rewolucja społeczna«)". Rewolucja nie może czekać na rozwinięte kraje zachodnie, tam bowiem klasa robotnicza stała się częścią warstwy eksploatującej niewolniczą pracę ludów kolonii pozaeuropejskich. Lenin dostrzegał tendencje do przekształcania Europy (zachodniej i centralnej, bez Rosji) w luksusowy dom starców, obsługiwany przez niewolników z Azji i Afryki. Chce zatem uwzględnić w rachunku możliwości rewolucyjnych tę siłę, jaka drzemie właśnie w krajach pozaeuropejskich. Bolszewicka rewolucja, choć rzecz jasna nie było jej celem utrzymanie rosyjskiego imperializmu (ten trzeba było rozbić, by uruchomić cały, także narodowościowy potencjał buntu tkwiący w państwie carów), mogła jednak zainicjować swoisty ruch protestu świata skolonizowanego przeciw kolonizatorom, przeciw Zachodowi […]. To była właśnie gra, którą Lenin był także gotów akceptować, by przez podział w obozie przeciwnika (Zachodu/Kapitalizmu) zapewnić możliwość wygranej słabszej przecież Rosji, naturalnie już jako ojczyźnie proletariatu… Wygranej w wojnie bez zasad (także bez marksistowskich zasad, choć wprost do tego Lenin się nie przyznawał).

Jak się owe koncepcje wojny bez zasad rozwijały, już po opanowaniu Rosji przez Lenina i Stalina, i jak twórczo przetworzył je odżegnujący się początkowo od nich Putin – o tym właśnie piszę w mojej najnowszej książce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Pogrom AK-owców

W bojówkach Polskiej Partii Robotniczej (1942–1945), czyli w GL-AL, zbrodniarzy było bardzo wielu. Pozostawili po sobie wstrząsające świadectwa, myśląc, że Stalin dał im władzę „na wsiegda", czyli na zawsze. W związku z tym nie czyścili swoich archiwów – na szczęście dzięki temu mamy liczne, niezbite dowody ich potwornych zbrodni.

Wśród komunistycznych bandziorów w sposób szczególny wyróżniał się Bolesław Kaźmirak ps. Cień. Po wojnie w ramach zacierania śladów nakazano mu zmianę nazwiska, co też uczynił. Stał się Kowalskim. Do jego największych zbrodni z okresu okupacji należy pogrom żołnierzy AK, dokonany 4 maja 1944 r. Ofiarami zostali żołnierze z 3. kompanii 15. Pułku Piechoty AK, dowodzeni przez ppor. Mieczysława Zielińskiego „Krycha".

„Cień" na terenie Lubelszczyzny od początku cieszył się bardzo złą sławą, mimo to niektóre oddziały AK utrzymywały z nim w miarę poprawne stosunki. Zaczęło się od pospolitego donosu, złożonego AL-owcom poprzedniego dnia przez jakiegoś „Kobka" (NN), o stacjonowaniu „oddziału reakcyjnego" AK w pobliskim lesie. Do tego pojawiła się plotka, że AK-owcy wyczekują na zrzut broni. „Cień" uznał, że jest to łakomy kąsek i warto się tym zainteresować. Było to zresztą zgodne z instrukcjami jego PPR-owskich przełożonych, żeby oddziały „reakcyjne" tropić, rozbijać i likwidować. Wszak Armia Czerwona była już blisko i rodzimi komuniści czuli się coraz bardziej pewnie.

Po południu 4 maja komunistyczna banda zaatakowała AK-owców, stacjonujących we wsi Owczarnia. Po krótkiej wymianie ognia „Cień" wykrzyczał, że to nieporozumienie, i doszło do bezpośredniego spotkania obu grup. Żołnierze AK stanęli w szeregu, naprzeciwko nich – komuniści. Nagle „Cień" z bliskiej odległości strzelił w głowę oficerowi AK i na ten znak AL-owcy oddali serie do zaskoczonych przeciwników. Zginęło aż 18 żołnierzy AK. Rannych AL-owcy dobijali na miejscu, następnie ograbili zwłoki.

Ten mord i bezkarność sprawców odbiły się głośnym echem wśród polskich niepodległościowców. Dwa największe zgrupowania na tym terenie – mjr. CC Hieronima Dekutowskiego „Zapory" (AK) i mjr. CC Leonarda Zub-Zdanowicza „Zęba" (NSZ) – postanowiły zrobić porządek z bandą „Cienia". Razem stanowiły pokaźną siłę, a uzbrojenie i wyszkolenie oddziałów dawały gwarancję sukcesu.

Stało się inaczej. Zastępca szefa sztabu Okręgu Lublin AK, ppłk Franciszek Żak „Wir", wydał kategoryczny rozkaz: „Zabraniam wszelkiej akcji w stosunku do oddziałów PPR, nawet w stosunku do oddziału »Cienia«". Zbrodniarze pozostali bezkarni. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Druskieniki

Druskieniki od dawna cieszą się zasłużoną sławą i już 20 czerwca 1794 r. król Stanisław August Poniatowski oficjalnie uznał je za miejscowość leczniczą. Status uzdrowiska nadał miastu 40 lat później car Mikołaj I, a w pierwszej dekadzie ubiegłego stulecia nad Niemnem wypoczywało blisko 20 tys. kuracjuszy rocznie. Sukcesom leczniczym towarzyszył rozwój miasta, w którym już przed wybuchem pierwszej wojny światowej funkcjonowały łączność telefoniczna i elektryczne oświetlenie ulic.

Właścicielami Druskienik byli wówczas Antoni Jaroszewicz i Michał Malinowski, którzy wykorzystali modę na wodolecznictwo i kontakt z przyrodą. Podczas pierwszego powojennego sezonu (1923 r.) na potrzeby przyjezdnych przygotowano 700 pokoi. Miasteczko odwiedzali zresztą nie tylko kuracjusze, lecz także literaci i plastycy.

Okres międzywojenny to lata szybkiego rozwoju kurortu, od 1929 r. za jego estetykę i stan sanitarny odpowiadała Komisja Uzdrowiskowa. Na potrzeby kuracjuszy powstały kąpielisko nad Niemnem, kasyno, czytelnia, a na okolicznych jeziorach przystanie dla łodzi. W parku zdrojowym w godzinach rannych i wieczornych grała orkiestra, organizowano wycieczki statkiem po Niemnie. W 1930 r. uzdrowisko przeszło pod zarząd państwowy, w tym samym roku zakończono też budowę wodociągów. Cztery lata później do miasteczka doprowadzono linię kolejową.

W Druskienikach nie mogło zabraknąć typowych dla tego okresu rozrywek. Organizowano konkursy na najpiękniejszy kwietnik czy ogród, a kuracjusze pasjonowali się rywalizacją o tytuł najpiękniejszych oczu, najlepszej opalenizny albo wyborem królowej piękności. Druskienniki stały się modne, odwiedzali je artyści tej miary, co Juliusz Osterwa czy Hanka Ordonówna. Prawdziwą jednak sławę zapewnił uzdrowisku Józef Piłsudski.

Marszałek zawsze lubił rodzinną Wileńszczyznę i chętnie przyjeżdżał nad Niemen. Rok po inauguracji działalności kurortu trafił tam z żoną i córkami, a ponieważ Piłsudscy nie mieli wygórowanych wymagań, zamieszkali w prowadzonej przez Marię Kreibichową małej wilii, w której nie było nawet elektryczności.

„[…] żyli bardzo skromnie – wspominała właścicielka po latach. – Nie trzymali służącej. Ona sama prała i prasowała sukienki dziewczynek. On chodził nieraz do świtu po pokojach i głośno ze sobą rozmawiał. Były to rozmowy ciche i spokojne, były i ostre, gwałtowne. Podchodził czasem do stołu i z całej siły pięścią weń uderzał. Potem nagle głos zniżał i mówił łagodnie […], jakby matce ze strapień się zwierzał". ©℗

eprasa.pl 9223c44521

FOT. SASCHA SCHUERMANN/GETTY IMAGES

KONIEC SZKOLNYCH STRAJKÓW KLIMATYCZNYCH

Greta Thunberg, aktywistka klimatyczna, od 2018 r. co piątek prowadziła „szkolny strajk klimatyczny" przed szwedzkim parlamentem. W pandemii dzieci nie mogły stawać z bannerami, a po przerwie strajki nie były już takie udane i liczne jak przedtem. Teraz Greta ogłosiła, że strajki nie będą już „szkolne". Powód jest prosty – Thunberg po pięciu latach ukończyła szkołę. Dodała, że nadal w piątki będzie jednak protestować przed parlamentem.

PREMIER SZKOCJI ARESZTOWANA

Nicola Sturgeon, była premier Szkocji, została aresztowana w związku z nieprawidłowościami finansowymi kierowanej przez nią Szkockiej Partii Narodowej. Śledczy uważają, że pieniądze, które miały być przeznaczone na kampanię na rzecz uzyskania niepodległości przez Szkocję, były wydawane na inne cele. Wcześniej zatrzymano w tej sprawie męża byłej premier – Petera Murrella, dyrektora wykonawczego partii.

UPAPRAŁY OBRAZ MONETA

W Sztokholmie zamknięto wystawę „Ogród" prezentowaną w szwedzkim Muzeum Narodowym. Dwie kobiety w wieku 25 i 30 lat oblały czerwoną farbą prezentowany tam obraz Claude'a Moneta „Ogród artysty w Giverny". Jedna z nich miała krzyczeć: „Pandemia była niczym w porównaniu z kryzysem klimatycznym". Obie aktywistki przykleiły swoje ręce do ramy obrazu. Kobiety zostały zatrzymane. Rzecznik Muzeum Narodowego przekazała, że eksperci badają, jak poważne są uszkodzenia dzieła.

W CIĄŻY Z AWATAREM

Rosanna Ramos, 36-latka z Nowego Jorku zawiedziona związkami z mężczyznami, przy pomocy sztucznej inteligencji wykreowała sobie obrazek idealnego faceta. Swój związek z obrazkiem relacjonuje w Internecie. Ogłosiła, że został jej mężem. Potem – że związek się rozwija i właśnie zaszła w ciążę z awatarem.

POBUDKA W TRUMNIE

W szpitalu w Babahoyo w Ekwadorze lekarze uznali, że zmarła im 76-latka. Panią Bellę Montoyę umieścili w trumnie. Gdy po kilku godzinach rodzina przyjechała do szpitala i uchyliła wieko, zobaczyła panią Bellę machającą ręką i próbującą z trudem oddychać. Kobietę przewieziono na oddział intensywnej terapii. Ministerstwo zdrowia zapowiedziało kontrolę w szpitalu. ©℗

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

CNN szoruje po dnie

Działająca od lat 80. ubiegłego wieku stacja telewizyjna już od wielu lat zamiast kojarzyć się z bezstronnością i wiarygodnym dziennikarstwem, na myśl przywodzi telewizję z bardzo mocnym przechyłem w liberalnym kierunku. O tym, że amerykańska stacja „informacyjna" ma specyficzne podejście do rzetelności, świadczyło choćby nagranie jednego z dyrektorów CNN, Charliego Chestera, który zauważył w 2021 r., że jego redakcja celowo pokazywała np. Joe Bidena w ruchu, kreując go na młodego i sprawnego. „Naszym celem było usunięcie Trumpa z urzędu" – przyznawał potajemnie nagrany podczas serii fałszywych randek.

Ten brak obiektywności zapewne mało komu by przeszkadzał, gdyby stacja systematycznie zyskiwała odbiorców i reklamodawców, mnożąc zyski. Tak różowo jednak nie było. Znawcy rynku zauważyli, że ratingi spadają, ponieważ widzowie stracili zaufanie do CNN m.in. ze względu na zbyt lewicowe treści i wręcz histeryczne podejście do pandemii. W maju 2022 r. ogłoszono więc zmianę modelu biznesowego i wybrano nowego szefa CNN.

Doświadczony producent Chris Licht miał przywrócić rzetelność informacji i skierować stację ku politycznemu centrum, aby zyskać nowych widzów, którzy nie lubią lewicowej propagandy. Eksperyment polegający na próbie przywrócenia wiarygodności stacji się nie udał. Oglądalność CNN jeszcze bardziej spadła. Demokratom bardzo nie spodobała się choćby relacja ze spotkania z Donaldem Trumpem. Według raportu firmy MediaRadar wpływy reklamowe stacji spadły rok do roku o niemal 40 proc. Licht szuka więc już nowej pracy, a CNN nowego szefa... ©℗

eprasa.pl 9223c44521

Z płk. Grantem Newshamem z Center for Security Policy i Japan Forum for Strategic Studies, autorem książki „When China Attacks”
rozmawia Piotr Włoczyk

Chiny już zaatakowały

PIOTR WŁOCZYK: Czy rosyjskie problemy na Ukrainie działają na Chiny odstraszająco?

PŁK GRANT NEWSHAM: Nie sądzę. Chińczycy przyglądają się temu konfliktowi i uczą się na błędach Rosjan.

I jakie wnioski wyciągają?

Podstawową lekcją dla nich jest to, że trzeba od razu uderzyć z całych sił, obezwładniając przeciwnika. Chodzi o uderzenie we wszystkie najważniejsze budynki władz, bazy wojskowe, infrastrukturę krytyczną, a następnie ogłoszenie blokady wyspy, by perspektywy na zaopatrywanie jej były znikome. Stosunkowo łatwo byłoby Chińczykom przeciąć kable internetowe, by z wyspy nie przedostawały się żadne informacje o mężnym oporze Tajwańczyków. Rosjanie nie byli w stanie zrobić tego w przypadku Ukrainy, która ma bezpieczną granicę zachodnią, m.in. z Polską. Następnie Pekin uruchomiłby swoich klientów na całym świecie, którzy przekonywaliby, że nie warto kruszyć kopii o tę małą wyspę. Problemem jest też to, że Chiny w dużej mierze uodporniły się na sankcje.

Jak bardzo zdeterminowane są Chiny, by przejąć Tajwan?

Gdy Xi Jinping mówi, że chce Tajwanu, to brałbym jego słowa bardzo poważnie. Oczywiście na pewno wolałby przejąć wyspę w sposób bezkrwawy, ale wszystko zależy do wyników wyborów na Tajwanie w styczniu przyszłego roku. Jeżeli nie pójdą one po myśli Pekinu, to możemy się spodziewać coraz agresywniejszych działań, nie wyłączając sfery kinetycznej.

Chińczycy wprost mówią, co chcą osiągnąć, i musimy wreszcie zacząć ich słuchać. Najpierw chcą nas wyrzucić z Azji, a potem ich celem jest zdominowanie świata i wzięcie nas pod but. Stawka jest tu bardzo wysoka dla całego Zachodu – jeżeli my pójdziemy na dno, to reszta bloku zachodniego również zatonie.

Ameryka już od ponad 20 lat ustępuje pola Chinom. Przyglądałem się temu smutnemu spektaklowi niemal z pierwszego rzędu. Jeszcze do niedawna w amerykańskim wojsku nie można było nawet wspomnieć, że Chiny to przeciwnik. To było kompletnie niepoprawne politycznie! W Pentagonie szczerze w to wierzono. Chińczycy musieli mieć z tego powodu mnóstwo frajdy. Podam przykład: w 2009 r. adm. Timothy J. Keating, dowódca United States Pacific Command, odwiedził Chiny i gdy został zapytany, co myśli o tamtejszym programie budowy lotniskowców, odpowiedział, że nie widzi w tym nic złego, a nawet pomógłby im w realizacji tych planów… Jak mogło do tego dojść?!

Podtytuł pańskiej książki to „Ostrzeżenie dla Ameryki”.

To nie tylko ostrzeżenie dla Ameryki, lecz także dla wszystkich wolnych narodów. Chiny już nas zaatakowały, tylko trzeba to zauważyć i odpowiednio zareagować.

Mam wrażenie, że przeciętny Amerykanin nie postrzega tego w ten sposób. „Atak” oznacza przecież regularną wojnę.

To prawda, że nie słychać jeszcze wystrzałów, ale wojna ma wiele twarzy. Chińskie ataki nastąpiły w sektorach,

eprasa.pl 9223c44521

FOT. COSTFOTO/NURPHOTO/GETTY IMAGES

których my na Zachodzie nie kojarzymy z wojną, bo dla nas konflikt to faktycznie strzelający do siebie żołnierze. Tymczasem Pekin doskonale rozumie, że toczy z nami wojnę. Dla niego starcie kinetyczne, czyli strzelanie, to tylko ostatni etap w całym spektrum działań wojennych. Poprzednie etapy mają na celu zmiękczyć przeciwnika i sprawić, że gdy dojdzie do fazy kinetycznej, nie będzie on w stanie przeciwstawić się wystarczająco mocno. Na razie widzimy, jak niesamowicie skuteczna jest wojna ekonomiczna przeciw Stanom Zjednoczonym, która drenuje nasze siły. Chińczykom udało się przekonać Kongres USA, który był dodatkowo motywowany przez Wall Street i szeroko rozumiane kręgi biznesowe, by wpuścić ich kraj do Światowej Organizacji Handlu (WTO) i by nadać im status państwa największego uprzywilejowania. Dodatkowo wyrwaliśmy z korzeniami i przesadziliśmy do Chin ogromną część naszej bazy przemysłowej, przekazaliśmy Chinom nasze technologie i wciąż finansujemy rozwój ich coraz potężniejszych sił zbrojnych.

Stare rzymskie powiedzenie mówi: chcącemu nie dzieje się krzywda. Dziwna ta wojna, jeżeli na wszystko się zgadzacie...

Ma pan rację. Wojna to też psychologia i Chiny są w tym naprawdę dobre. Jeżeli jesteś w stanie przekonać swojego przeciwnika, że to, co robi, jest w jego interesie, choć tak naprawdę na dłuższą metę szkodzi sobie i równocześnie wzmacnia ciebie, to nic więcej ci nie potrzeba do szczęścia. To po prostu sytuacja idealna.

W Ameryce tylko niewielka część społeczeństwa, elita biznesowa, ogromnie zyskała na bliskiej współpracy gospodarczej z Chinami. „Przeciętni" Amerykanie stracili na tym procesie, co widać w miejscach, gdzie kiedyś kwitł nasz przemysł, który zapewniał pracownikom solidne zarobki. Do ataku doszło nawet na froncie chemicznym. Zapewne nie wszyscy kojarzą fentanyl z wojną, ale Chiny z premedytacją zatruwają nasze społeczeństwo. Fentanyl jest narkotykiem wielokrotnie silniejszym od heroiny i w 99 proc. pochodzi z Chin. W zeszłym roku umarło z tego powodu 70 tys. Amerykanów. A ile uzależnionych osób potrzebuje opieki? Ilu członków ich rodzin skupia się na pomocy swoim bliskim? Ile zasobów to angażuje?

Chiny od lat odpowiadają jednak, że nie są w stanie zatrzymać przemytu fentanylu.

Tak twierdzą, ale wystarczy pojechać do Chin, podejść do pierwszego plakatu z Xi Jinpingiem i domalować mu wąsy. Kilka minut i pojawi się radiowóz. Chiny to państwo policyjne, gdzie skala inwigilacji nie mieści się nam w głowach. Gdyby tylko władze w Pekinie chciały zatrzymać przerzut fentanylu do USA, zrobiłyby to bez żadnych problemów. Ale im zależy na tym, by nasze społeczeństwo cierpiało. W większości ofiarami fentanylu są przecież młodzi ludzie. To tak, jakbyśmy tracili rocznie dwie–trzy dywizje.

Ponadto mamy też ewidentną wojnę w cyberprzestrzeni, którą Chiny starają się opanować. To wszystko osłabia nas coraz bardziej i przyszłość nie wygląda zbyt różowo. Nie jestem pewien, czy gdy Chiny w końcu postawią wszystko na jedną kartę na zachodnim Pacyfiku, to znajdziemy w Waszyngtonie tyle siły i woli, by odpowiedzieć adekwatnie.

Przecież amerykańskie siły zbrojne nie mają sobie równych na świecie. Czy to nie jest po prostu fakt?

Jeżeli mówimy o wojnie kinetycznej blisko chińskich brzegów, to będziemy mieli niemałe trudności. Jednak ma pan rację, że mimo wszystko nasze wojsko ma wciąż ogromne możliwości. Chińczycy również rozumieją, jaką potęgą są nasze lotniskowce i okręty podwodne. Widziałem to wszystko z bliska w akcji i nikomu nie życzę testowania ich możliwości.

Pytanie tylko, czy znajdzie się wola, by w pełni wykorzystać te siły. Duża część amerykańskiej elity uważa, że Tajwan nie jest wart wojny z Chinami. Szczególnie myślę tu o wielkim biznesie, ale także w Departamencie Stanu jest całkiem sporo ważnych urzędników, którzy chcieliby, żeby problem Tajwanu w końcu się „rozwiązał" i zniknął z radarów.

Jednak kolejni prezydenci USA, również Joe Biden, powtarzają, że będą bronili Tajwanu i Ameryka musi się skupić na Azji.

To prawda. Ale czy za słowami poszłyby czyny? Ludzie, którzy są największymi donatorami partii politycznych, chcą robić biznes z Chinami. Gdy wpuszczaliśmy Państwo Środka do WTO, to wielu kongresmenów rozumiało, że jest to bardzo zły pomysł, który sprawi, że Chiny ogromnie się wzbogacą, a my utracimy przemysł. Ale głos donatorów okazał się silniejszy...

Dlatego potrafię sobie wyobrazić takie okoliczności wybuchu konfliktu wokół Tajwanu, gdy Chińczycy przekonująco mówią Amerykanom: „Trzymajcie się od tego z daleka. To nasza wewnętrzna sprawa i jeżeli myślicie o interwencji, to może z tego wyniknąć wojna jądrowa". Niestety, scenariusz, w którym Biały Dom ulega temu szantażowi, nie jest nierealny...

To jednak oznaczałoby katastrofę dla pozycji USA na całym świecie. Amerykańscy politycy chyba doskonale zdają sobie z tego sprawę.

Tak, to byłaby katastrofa dla Ameryki, ale my cały czas jesteśmy zmiękczani, uzależniani od Chin. Nasza elita bogaci się dzięki Pekinowi. Te powiązania mogą się okazać bardzo niebezpieczne w kluczowym momencie. Już słyszę te głosy, że mimo uderzenia na Tajwan trzeba dążyć do „deeskalacji".

eprasa.pl 9223c44521

Na szczęście Donald Trump – i jego otoczenie – uderzył w dzwon alarmowy. Bez tego bylibyśmy dziś w jeszcze gorszej sytuacji.

Czy jednak Biden nie podąża dziś w tej kwestii drogą Trumpa? Myślę przede wszystkim o potężnych sankcjach nałożonych na chiński sektor półprzewodnikowy.

Administracja Bidena zrobiła pewne pozytywne ruchy, ale niestety wciąż popełniamy błędy, np. pozwalamy chińskim firmom na dostęp do amerykańskich rynków kapitałowych. To kompletna katastrofa.

Wiele wskazuje na to, że Waszyngton zignorowałby chiński balon szpiegowski, gdyby pewien facet z Montany nie spojrzał w niebo i nie zrobił zdjęcia… Amerykańska opinia publiczna była tym zszokowana. Nasze elity niestety są wciąż potulne wobec Chin. Dziś nie widzę nikogo w administracji Bidena, kto wywoływałby strach u chińskich władz. Za Trumpa takim człowiekiem bez wątpienia był m.in. Mike Pompeo. Chińczycy go nienawidzili!

Niewykluczone też, że Chińczycy mają haki na naszych polityków ze szczytów władz. Ostatnio okazało się, że administracja Bidena wyciszała medialnie informacje o chińskiej bazie szpiegowskiej na Kubie. Czy więc rzeczywiście Ameryka zmieniła kurs wobec ChRL?

Wciąż możemy uderzyć Chińczyków tak, żeby ich to zabolało, ale nie mamy zbyt wiele czasu, myślę, że to kwestia raczej kilku lat. Naszą wielką przewagą jest to, że Chiny nie są w stanie chronić swoich morskich dróg handlowych. US Navy wciąż ma tu duży potencjał. Tylko potrzebna jest wola powstrzymania tego reżimu.

Podkreśla pan, że Chiny to nie jest zwykłe państwo, zwykły przeciwnik.

To nie pierwsze totalitarne państwo, ale jego skala jest nieporównywalna z niczym innym z naszej historii. To najtrudniejszy przeciwnik w historii Ameryki. Natura reżimu ma znaczenie. Jeżeli ktoś otwiera obozy koncentracyjne, handluje organami więźniów, to chyba oczywiste, że nie jest to tylko „wielka Kanada", jak wciąż myśli o Chinach większość przedstawicieli amerykańskich elit. Komunizm to zawsze zbrodniczy system. Trzeba ich odciąć od dolarów, od kapitału z Zachodu. Wciąż jest to możliwe, ale to okno możliwości powoli się zamyka.

Tylko jak to zrobić, skoro Wall Street cały czas chce zarabiać miliardy yuanów?

Trzeba obudzić w Waszyngtonie wolę oporu i uświadomić wielkie firmy, że biznes w Chinach wiąże się z ogromnym ryzykiem, ponieważ wszystko zależy tam od łaski partii komunistycznej. Zwykli Amerykanie coraz lepiej rozumieją, że po drugiej stronie Pacyfiku w siłę rośnie mocarstwo, które chce nas zdominować. Niestety, obawiam się, że Amerykanie będą musieli zacząć ginąć, by nasz kraj naprawdę się obudził.

Myśli pan o marynarzach na okrętach wojennych? Pilotach myśliwców broniących Tajwanu?

Tak. Dokładnie o tym mówię. Na Tajwanie żyje też kilkadziesiąt tysięcy Amerykanów, a w przypadku potężnego uderzenia na wyspę ginąć będą przecież również cywile. Historia pokazuje nam, że kiedy giną Amerykanie, to odpowiedź naszego narodu jest porażająca. Tak było do tej pory. Mam wrażenie, że Amerykanie żyjący poza wielkimi miastami czy kampusami uniwersyteckimi byliby w stanie zagryźć zęby, znieść problemy finansowe i odpowiedzieć z całą stanowczością. Tylko potrzebne jest jeszcze odpowiednie przywództwo w Waszyngtonie.

Tak ostry konflikt polityczny i społeczny w USA to chyba wymarzony scenariusz dla Chin?

Podzielona Ameryka to ich marzenie. Chińczycy oczywiście wspierają polaryzację w USA. I m.in. dlatego zamknięto konsulat ChRL w Houston w Teksasie.

Podział społeczny widać niestety również w amerykańskich siłach zbrojnych…

Tak, mamy ogromny problem z rekrutacją, wokeizm i walka o „sprawiedliwość społeczną" odstraszają wielu młodych mężczyzn. Kto chciałby służyć na okręcie wojennym płynącym pod tęczową flagą? Trudno się temu dziwić, że coraz mniej młodych garnie się do wojska, co mówię z ciężkim sercem. W wojsku nie może być różnych plemion, nastawiania jednych przeciw drugim, służenia innej fladze niż amerykańskiej.

Wróćmy do wyborów na Tajwanie. Co się stanie, jeżeli wygra kandydat opowiadający się za zacieśnianiem relacji z Chinami?

Jeżeli wygra ich człowiek, czyli kandydat Kuomintangu, to myślę, że będą próbowali za jego pośrednictwem zintegrować Tajwan z ChRL i przejąć w ten sposób powoli wyspę. W takim przypadku Amerykanie nie byliby w stanie zrobić wiele. Wynik wyborów jest trudny do przewidzenia, więc najbliższe miesiące będą bardzo emocjonujące.

Ale przecież Tajwańczycy widzą, co się stało z Hongkongiem. Czy to ich nie przekonuje do poparcia kandydata chcącego utrzymać status quo?

Pamiętajmy jednak, że wiele osób kieruje się kwestiami gospodarczymi. Większość Tajwańczyków nie chce mieć nic wspólnego z ChRL, ale ludzie chcą też żyć na dobrym poziomie. Pytanie, ilu wyborców uwierzy, że dobre relacje z Chinami to gwarancja powodzenia. W tych wyborach wszystko może się zdarzyć.

A jeżeli zwycięska okaże się druga opcja?

Chińskie wojsko jest dziś na takim poziomie rozwoju, że skuteczny atak na wyspę ma dziś niemałe szanse na powodzenie.

Mówi pan o scenariuszu, gdy Tajwańczycy bronią się sami?

Gdyby Tajwan musiał się bronić sam, szanse Chińczyków na sukces byłyby bardzo duże. Nawet jednak z Amerykanami u boku Tajwańczyków, Chińczycy mogą wyjść z założenia, że uda im się jakoś odstraszyć USA i atak będzie skuteczny. Wszystko będzie zależało od decyzji Białego Domu – czy w kluczowym momencie prezydentowi zadrży ręka czy nie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pułkownik Grant Newsham jest emerytowanym oficerem marines, gdzie służył m.in. w sekcji wywiadowczej na Pacyfiku. Był także amerykańskim dyplomatą w krajach azjatyckich i zajmował się m.in. kwestiami handlowymi. W marcu ukazała się jego książka pt. „When China Attacks. A Warning to America" („Gdy Chiny atakują. Ostrzeżenie dla Ameryki").

eprasa.pl 9223c44521

Najazd na Rosję a sprawa polska

Maciej Pieczyński

Ewentualny udział polskich ochotników w rajdach na obwód biełgorodzki nie leży w interesie ani Kijowa, ani Warszawy, ani Zachodu. Propagandowo najbardziej służy Moskwie. Kim są współcześni Huzarzy Śmierci, którzy prawdopodobnie wzięli udział w agresji Rosjan na Rosję?

Pod koniec maja Rosyjski Korpus Ochotniczy (RDK) wraz z Legionem „Wolność Rosji" wkroczył na teren obwodu biełgorodzkiego. Po dwóch dniach walk rosyjscy sprzymierzeńcy Kijowa wycofali się na Ukrainę, ale zdążyli po raz kolejny skompromitować Putina, obnażając słabość imperium i udowadniając, że granica Rosji jest dziurawa jak sito. W nocy z 31 maja na 1 czerwca proukraińscy Rosjanie prawdopodobnie znów wdarli się do Rosji. Starli się z oddziałami rosyjskimi pod przygranicznym miastem Szebiekino. Według wersji Moskwy atak ten został odparty i dywersantom nie udało się nawet przekroczyć granicy.

Dwa dni później Legion „Wolność Rosji" zaoferował mieszkańcom obwodu biełgorodzkiego pomoc w ewakuacji na Ukrainę. Ochotnicy przekonywali swoich rodaków, że grozi im niebezpieczeństwo ze strony… wojsk Putina, które, nieporadnie próbując uporać się z dywersantami, przy okazji ostrzeliwują swoich własnych obywateli. Z kolei kremlowska propaganda przekonywała, że za ostrzał obiektów cywilnych przy granicy odpowiadają Ukraińcy. A konkretniej – ukraińskie grupy dywersyjno-rozpoznawcze. Moskwa jak ognia unika przyznania, że agresorem są obywatele Federacji Rosyjskiej (inna sprawa, że istotnie podlegli ukraińskiemu dowództwu).

Tymczasem 4 czerwca Polski Korpus Ochotniczy oznajmił na swoim Telegramie: „Wszyscy zadają nam jedno pytanie, czy braliśmy udział w operacji na terenie obwodu biełgorodzkiego. Odpowiedź jest jednoznaczna – oczywiście, że tak". Ochotnicy znad Wisły mieli uczestniczyć w działaniach po rosyjskiej stronie granicy u boku RDK. Łączą ich – jak można było przeczytać w cytowanym wpisie – „nie tylko więzy braterstwa broni, lecz także osobiste przyjaźnie i koleżeństwo". RDK to oddział rosyjskich ochotników, stawiający sobie za cel obalenie Putina oraz zastąpienie imperialnej ideologii w Rosji nacjonalizmem, pozwalającym na istnienie odrębnych, niepodległych państw narodowych – Ukrainy i Rosji. Korpus pozycjonuje się jako siła prawicowo-konserwatywna, jego symbolika zaś nawiązuje do tradycji organizacji Biała Idea, zrzeszającej antybolszewicko nastawionych, „białych" rosyjskich emigrantów w latach 30. Część żołnierzy nosi szewrony armii Własowa.

WALCZYLI CZY NIE?

Polscy ochotnicy pochwalili się ponadto, że jako pierwsi, wraz z jedną z grup bojowych RDK, dotarli do miejsca przeznaczenia. Doprecyzowali, że w akcji wzięła udział pierwsza grupa szturmowa Korpusu. „Wszyscy wrócili z zadania cali i zdrowi. Wyznaczone zadanie wykonano pomyślnie" – poinformowali. Do oświadczenia dołączyli dowody w postaci zdjęć i filmów. Zyskały one popularność i uznanie w ukraińskim Internecie. Na swoim telegramowym koncie umieścił je m.in. Ihor Łaczenkow. „Polski Korpus Ochotniczy występuje w obronie polskojęzycznej ludności BRL" – takim komentarzem swój wpis opatrzył ten ukraiński wolontariusz i bloger. To satyryczne nawiązanie do kremlowskiej propagandy, która tłumaczy imperialne podboje koniecznością obrony mniejszości rosyjskiej. BRL to Biełgorodzka Republika Ludowa, która na trwałe wpisała się już w kanon wojennego humoru, jako żartobliwe nawiązanie do separatystycznego Donbasu, gdzie również najeźdźca udawał wyzwoliciela.

Na jednym z nagrań polscy ochotnicy pozują z szyldem rosyjskiej poczty, opatrzonym godłem państwowym. Twarze są zamazane, ale słychać, jak żołnierz żartuje po polsku: „Kochanie, chciałem ci powiedzieć, że odebrałem z nowej poczty przesyłkę. Kurwa, daleko ją wysłałaś, trzeba było zapierdalać

eprasa.pl 9223c44521

tyle kilometrów". W tle słychać strzały i wybuchy.

Nie minęła doba, a zarówno oświadczenie, jak i nagrania oraz zdjęcia zniknęły z konta korpusu na Telegramie. Głos zabrali natomiast rosyjscy towarzysze broni polskich ochotników. Przyznali, że Polacy walczą z nimi ramię w ramię o wolność i niepodległość Ukrainy. „Chłopaki pokazali się doskonale i wykazali się wysokim poziomem motywacji i przygotowania. Jeśli chodzi o działania wojenne na terytorium Federacji Rosyjskiej, to bojownicy PDK [skrót od Polskij Dobrowolczeskij Korpus, czyli Polski Korpus Ochotniczy po rosyjsku – przyp. M.P.] zapewniają konwój jeńców, logistykę wojskową i medyczną, ale tylko w granicach państwowych Ukrainy" – oświadczył Rosyjski Korpus Ochotniczy, tym samym zaprzeczając informacjom podanym wcześniej przez polskich kolegów. Jednocześnie RDK wyraził wdzięczność PKO za „ich nieoceniony wkład we wspólną sprawę". Zapewnił też: „Zawsze włączamy ich w planowanie [operacji] oraz dzielimy się z nimi naszymi zdobyczami". „Żołnierze RDK są szczerze wdzięczni narodowi Polski za ich dzielnych wojowników, walczących na tej wojnie!" – tymi słowami kończy się oświadczenie. Również Warszawa oficjalnie odcięła się od ochotników znad Wisły. „Opisywany w mediach Polski Korpus Ochotniczy nie jest w żaden sposób powiązany z Siłami Zbrojnymi RP ani z żadną instytucją RP. Działań polskich ochotników wspierających Ukrainę w walce z Rosją nie należy utożsamiać z władzami RP" – napisał na Twitterze sekretarz stanu w KPRM, pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP, Stanisław Żaryn.

Jak można było przewidzieć, propaganda rosyjska wykorzystała sytuację do uderzenia w Warszawę. Marina Pierewozkina z „Moskiewskiego Komsomolca" napisała, że skoro w Polsce panuje antyrosyjska histeria, a Warszawa nieustannie wysyła broń Ukrainie, to dementi Żaryna trąci hipokryzją. Przy czym nie oskarżyła wprost polskich władz o kierowanie korpusem. Stwierdziła natomiast, że gdyby nie polityka Warszawy, „liczba nienormalnych ludzi, gotowych dla Ukrainy użyźnić swoimi ciałami południoworosyjskie czarnoziemy, byłaby o wiele mniejsza". 28 maja, czyli między pierwszym (faktycznie potwierdzonym przez obie strony konfliktu) a drugim (według Moskwy zduszonym już na granicy) rajdem biełgorodzkim gubernator obwodu opisał na Telegramie historię pewnej mieszkanki regionu, rannej jakoby podczas przygranicznych walk. Jej mąż, członek lokalnej samoobrony, miał zostać zabity na jej oczach przez dywersantów. Wśród nich kobieta rozpoznała dwóch Ukraińców, pozostali zaś, wedle jej słów, to byli Polacy i Amerykanie.

POLACY NA WOJNIE

O tym, że polscy ochotnicy walczą na Ukrainie, wiadomo praktycznie od pierwszych miesięcy wojny. Początkowo wchodzili głównie w skład Międzynarodowego Legionu Obrony Terytorialnej. Po pewnym czasie zaczęły wyodrębniać się samodzielne, narodowe jednostki ochotnicze. Szczególną rolę propagandową pełniły oddziały złożone z obywateli państw postsowieckich (Gruzini, Białorusini) czy z obywateli rosyjskich (etniczni Rosjanie, Czeczeni), stawały się bowiem narzędziem nacisku na agresora od wewnątrz. Umożliwiały próbę rozprucia rosyjskiego świata czy samej Rosji po szwach narodowych.

Polski Korpus Ochotniczy został założony w połowie lutego 2023 r. Personalia dowódców nie zostały ujawnione. Korpus podlega bezpośrednio ukraińskiemu ministerstwu obrony, z którym jego żołnierze podpisują kontrakty. Powstał w ścisłej współpracy z RDK, który był dla Polaków organizacyjnym wzorem. Jednostka sformowana została jako oddział specjalny, przeznaczony głównie do wykonywania zadań dywersyjnych i rozpoznawczych. W jego szeregi zaciągali się polscy weterani Legionu Międzynarodowego oraz przyjeżdżający wprost z Polski ochotnicy, w tym także byli żołnierze. Warunkiem przyjęcia do jednostki było przeszkolenie wojskowe oraz brak problemów z alkoholem czy narkotykami. 4 czerwca dowództwo Korpusu ogłosiło zakończenie rekrutacji.

Oficjalnie jednostka używa rosyjsko- oraz ukraińskojęzycznego skrótu swojej nazwy (PDK – Polskij Dobrowolczeskij Korpus po rosyjsku oraz Polśkyj Dobrowolczyj Korpus po ukraińsku). Pod względem PR-owskim nie brzmi to najkorzystniej. PDK może się kojarzyć z rosyjskim słowem „piedik" oraz ukraińskim „pedyk", czyli pedał. Jest to wyzwisko popularne zarówno wśród Ukraińców, jak i Rosjan. To zaś otwiera pole do niewybrednych żartów na temat ochotników. Emblematem PKO (czy też

eprasa.pl 9223c44521

Legion „Wolność Rosji" na pograniczu ukraińsko-rosyjskim
FOT. SERGEY BOBOK/AFP/EAST NEWS

PDK) jest trupia czaszka wpisana w dwa skrzyżowane miecze na tle krzyża, który tylko przypadkowo przypomina krzyż żelazny. W rzeczywistości jest to niemal dokładna kopia emblematu Huzarów Śmierci. Tak nazywano polski Dywizjon Jazdy Ochotniczej, sformowany w 1920 r. do walk z bolszewikami. Korpus wprost oświadczył, że odwołuje się do tej właśnie tradycji. Patronem współczesnych ochotników został dowódca Huzarów Śmierci Józef Siła-Nowicki. Jego dywizjon zasłynął z tego, że na swoim szlaku bojowym podczas wojny polsko-bolszewickiej nie poniósł ani jednej porażki.

Korpus nie zajmuje stanowiska w sprawach politycznych czy ideologicznych. Pozostaje w medialnym cieniu. Nie opisuje swoich bojowych wyczynów tak często jak rosyjscy towarzysze broni. Wiadomo, że poszczególne pododdziały korpusu walczyły pod Bachmutem czy w obwodzie zaporoskim. Rzecz jasna nie sposób jednoznacznie rozstrzygnąć, czy oddział rzeczywiście wkroczył do obwodu biełgorodzkiego czy tylko pomagał rosyjskim antyputinowskim dywersantom, pozostając po ukraińskiej stronie granicy. Opublikowane (a następnie usunięte) filmy i zdjęcia czynią pierwszą opcję dość prawdopodobną. Trudno sobie wyobrazić, aby polscy ochotnicy chwalili się czymś, czego nie dokonali. Musieliby w takim wypadku wiedzieć, że ich rosyjscy koledzy, obecni na miejscu zdarzenia, tę nieprawdziwą wersję zanegują.

Tak się finalnie stało, ale najpewniej nie dlatego, że Polaków w Rosji nie było. Bardziej przekonująco brzmi wersja, zgodnie z którą udział PKO w rajdzie był zaplanowany, jednak przy tym albo został upubliczniony wbrew wcześniejszym ustaleniom, albo takich ustaleń dowództwa korpusów między sobą nie poczyniły, natomiast zareagowały władze ukraińskie, polskie lub Zachód, oczekując wyciszenia sprawy. W rzeczywistości bowiem jawne wkroczenie polskich oddziałów (nieważne, czy ochotniczych, czy regularnych) do Rosji mogło ucieszyć jedynie Putina. Zaszkodzić zaś mogło wszystkim jego przeciwnikom.

Propagandowym celem rajdu biełgorodzkiego było utworzenie, przynajmniej na poziomie narracji, wewnętrznego frontu w Rosji. Przekonanie Rosjan, że nie tylko Zachód i Ukraina, lecz także wielu ich rodaków ma dość Putina. A skoro tak, to można do nich dołączyć i powalczyć o inną Rosję. To oczywiście kropla, która drąży skałę i raczej nigdy jej nie wydrąży, ale może przynajmniej ją trochę poszczerbić. Do tego z pewnością dąży Kijów. Po to trzyma pod swoją komendą użytecznych „własowców". Dlatego Kreml jak ognia unikał przyznania, że dywersanci są obywatelami Rosji. Z kolei ewentualnie udowodniony atak ukraińskich żołnierzy na Rosję wywołałby gniew Zachodu, który generalnie woli, aby Ukraina broniła się jedynie na własnym terenie. Dla Moskwy byłby kłopotliwy wizerunkowo („upadłe państwo" ukraińskie wchodzi w wielką Rosję na jej terenie jak w masło), ale do zaakceptowania. Kremlowska propaganda bowiem przyzwyczaiła już swoich odbiorców do myśli, że pogardzani na początku wojny Ukraińcy są niezwykle groźni – w końcu stoi za nimi cała potęga NATO.

Korpus polskich ochotników odwołuje się do tradycji Huzarów Śmierci, czyli Dywizjonu Jazdy Ochotniczej sformowanego w 1920 r. do walk z bolszewikami

Najkorzystniejszy dla Kremla byłby udowodniony (niezmyślony, ale naprawdę wykryty), szeroko zakrojony atak dywersantów (im więcej ich, tym lepiej) polskich i/lub zachodnich. Po pierwsze, rosyjska propaganda zyskałaby potwierdzenie swojej tezy, że to nie Rosja napadła na Ukrainę, tylko potężny Zachód na Rosję. Po drugie, taki atak pozwoliłby przerodzić specoperację w kolejną wojnę ojczyźnianą. Gdyby Rosjanie uwierzyli, że grozi im kolejny (jak za Napoleona czy Hitlera) najazd Zachodu, dużo chętniej wsparliby wysiłek wojenny swojego państwa. Jak to już wiele razy w historii bywało, widmo „zewnętrznego zagrożenia" doprowadziłoby do patriotycznego wzmożenia i wzmocniłoby pozycję Kremla.

UCISZENI W PORĘ

To byłby dramat dla Polski – państwa przyfrontowego i tradycyjnie najbardziej zaangażowanego w powstrzymywanie rosyjskiego imperializmu. W razie otwartego, a już nie hybrydowego konfliktu Zachód – Rosja ucierpielibyśmy najbardziej. Możliwy byłby też inny, być może jeszcze gorszy wariant. Szczególnie prawdopodobny w sytuacji, gdyby odpowiedzialność za wtargnięcie do Rosji spadła nie na Zachód ogólnie, ale na Polskę konkretnie i wyłącznie. Jak wiadomo, w NATO i UE różne są zdania na temat skali (a nawet sensu) powstrzymywania Moskwy. Nieodpowiedzialne działania Warszawy (gdyby Rosji udało się przypisać je oficjalnym władzom albo gdyby oficjalne władze te działania firmowały) wywołałyby zapewne kontrowersje i ostre spory z zachodnimi partnerami, obawiającymi się eskalacji. I dałyby argument do ręki zwolennikom takiego czy innego porozumienia z Rosją. Porozumienia, którego ofiarą, siłą rzeczy, oprócz Ukrainy, musiałaby stać się również wyrywna i nazbyt radykalna Polska.

Dlatego w dobrze pojętym polskim interesie leży walka z Rosją, ale na terenie Ukrainy, a nie Rosji. Całe szczęście, że ktoś żądnych przygód ochotników w porę uciszył.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

Teresa Stylińska

Miliarder jak zwykły Włoch

Berlusconi, najbogatszy człowiek Włoch (dziś jego majątek to 7 mld euro), biznesmen z profesji i z zamiłowania, wszedł do polityki jako outsider. Miliarder w polityce często budzi niechęć i zazdrość. Tymczasem zwykli ludzie patrzyli na Berlusconiego z niezmiennym podziwem

FOT. MARIA LAURA ANTONELLI/AVALON/DNS

Nie wszedłem do polityki po to, by chronić swe interesy. Nie mogłem tylko spędzić całego życia we Włoszech rządzonych przez lewicowy, komunistyczny rząd. I nie ma mowy o żadnym konflikcie interesów. Gazety mogą sobie pisać, co tylko chcą – zapewniał Silvio Berlusconi, wówczas premier, dwóch prominentnych dziennikarzy brytyjskiego tygodnika „The Spectator".

Było to dokładnie 20 lat temu. Nicholas Farrell, znawca tematyki włoskiej, i Boris Johnson, ówczesny redaktor naczelny pisma, udali się na Sardynię, do rezydencji Berlusconiego, by na własne oczy przekonać się, kim jest człowiek, pod którego rządami „Włochy przestają być częścią Europy i odchodzą od jej wartości", jak parę dni wcześniej stwierdziła Anna Lindh, minister spraw zagranicznych Szwecji. Wyjechali pod wrażeniem – uroku i bezpośredniości gospodarza, jego przyjaznego stosunku do ludzi w ogóle i współpracowników w szczególności, a swój artykuł zatytułowali jak deklarację: „Forza Berlusconi!".

Nikt wówczas nie przypuszczał, że – politycznym zrządzeniem losu – Johnson i Berlusconi po latach znajdą się na ustach świata w tym samym momencie. Boris Johnson złożył mandat parlamentarny i chociaż nie zamierza zerwać z polityką, to nie można wykluczać, że jednak będzie musiał. Berlusconi odszedł na zawsze, w wieku 86 lat, w mediolańskim szpitalu, gdzie był leczony na białaczkę. Osiągnął wszystko, co w polityce można osiągnąć, poza upragnionym stanowiskiem prezydenta. Był czterokrotnie premierem, w sumie przez dziewięć lat, zasiadał w parlamencie, był eurodeputowanym i przywódcą partii Forza Italia, którą stworzył i kierował przez 30 lat.

PIERWSZY PREMIER NOWYCH CZASÓW

I może w jego biografii politycznej najważniejsze: Berlusconi miał za sobą nie tylko wzloty na szczyt, lecz także bolesne upadki, z których zawsze umiał się podnieść. Miał masy entuzjastycznych zwolenników i równie wielu przysięgłych wrogów, według których Włosi powinni się wstydzić, że ich kraj ma takiego premiera. Pewien niezrównoważony psychicznie osobnik dał temu widomy wyraz, masakrując twarz Berlusconiego statuetką przedstawiającą katedrę w Mediolanie. Sam Berlusconi doskonale zdawał sobie sprawę z uczuć, jakie budzi. Połowa Włochów – zauważył kiedyś – mnie kocha, a połowa nienawidzi.

Owo nagromadzenie buzujących emocji to także coś, co łączy Berlusconiego i Johnsona. Obaj stanowią nieczęsto spotykany typ polityka, obok którego trudno przejść obojętnie – widocznego, wyrazistego, przyciągającego uwagę. To przywódca, a nie mniej lub bardziej sprawny menedżer polityki. Nie miejsce tu na omawianie poczynań Borisa Johnsona, przypomnijmy tylko, że jego udział w kampanii probrexitowej znakomicie ją ożywił, podniósł temperaturę bojów i pewnie nie pozostał bez wpływu na wynik.

Silvio Berlusconi temperaturę podnosił tak bardzo, że początek i koniec jego politycznej drogi są traktowane nieomal jak polityczne markery. „Jego śmierć to koniec epoki" – mówią dziś politycy w gładkich okolicznościowych deklaracjach. Można by w tym dostrzec jedynie kurtuazyjny gest pod adresem zmarłego, gdyby nie to, że wejście Berlusconiego do polityki faktycznie oznaczało początek nowej epoki. To jednak zasługa nie jego samego, lecz okoliczności. We Włoszech na gruzach świata starej polityki rodził się świat nowych partii, nowych układów, nowych przywódców.

Berlusconi nie był jedyny, bo na włoską scenę polityczną weszło jednocześnie

eprasa.pl 9223c44521

wielu nowych ludzi, ale to on zapoczątkował nowy etap, gdy w marcu 1994 r. wygrał wybory i stanął na czele rządu jako pierwszy premier nowych czasów. Swą partię Forza Italia założył zaledwie cztery miesiące wcześniej. To jeden z punktów zwrotnych (kamienie milowe w jego biografii prezentuje Piotr Kowalczuk w felietonie na str. 9).

WŁOSKIE MARZENIE

Trafna nazwa to połowa sukcesu. Nie wiadomo, czy to Berlusconi wymyślił nazwę swej partii, autor jej jednak trafił w dziesiątkę. Nazwa nie tylko odwoływała się do piłki nożnej, a więc miłości każdego Włocha, lecz także brzmiała jak wezwanie do boju: „Włochy, naprzód!". Tymi słowy włoscy kibice zagrzewają swych piłkarzy na boisku, a Berlusconi w piłce nożnej miał mocne miejsce jako właściciel klubu AC Milan. Forza Italia zgrabnie łączyła miłość do piłki z podkreśleniem, że kraj wchodzi na nową drogę i że jest to wspólna sprawa.

Berlusconi, najbogatszy człowiek Włoch (dziś jego majątek to 7 mld euro), biznesmen z profesji i z zamiłowania, wszedł do polityki jako outsider. Miliarder w polityce często budzi niechęć i zazdrość. Tymczasem zwykli ludzie patrzyli na Berlusconiego z niezmiennym podziwem. Włochy pod jego rządami nie doświadczyły wprawdzie kryzysu na miarę Grecji, taka groźba jednak wisiała w powietrzu, bo zadłużenie Włoch było najwyższe w Europie, obniżał się poziom życia, rosło bezrobocie. Dodajmy skandale obyczajowe – Berlusconi gustował w bardzo młodych dziewczętach, które zapraszał na imprezy w swych willach, słynne bunga-bunga – i machinacje podatkowe. To wszystko ciążyło na jego reputacji.

– To proste – wyjaśniał Marco Castelnuovo, dziennikarz turyńskiego dziennika „La Stampa", gdy go o to pytałam wkrótce po ustąpieniu Berlusconiego jesienią 2011 r. – Berlusconi to prawdziwy Włoch. Ma jego wszystkie wady i zalety, a przy tym jest żywym wcieleniem „italian dream" – włoskiego marzenia. Doszedł do wielkiego majątku. Żyje w luksusie. Jest otoczony pięknymi kobietami. Każdy by tak chciał. A że oszukuje na podatkach? Przecież każdy doskonale to rozumie.

Postępowym elitom, które nigdy nie zaakceptowały Berlusconiego, najbardziej chyba przeszkadzało po prostu to, kim Berlusconi był. Polityk z przypadku na czele rządu? Czemu nie, pod warunkiem że będzie to profesor uniwersytetu, jak Giuseppe Conte, czy fachowiec ekonomista, jak Mario Monti czy Mario Draghi. Na pewno nie bogaty biznesmen o niekonwencjonalnym sposobie bycia. Dla lewicy i świata postępu niewybaczalne było także to, że Berlusconi do swego drugiego rządu wprowadził dwie partie, które, jako ugrupowania prawicowe, nie miały moralnego prawa znaleźć się na salonach – postfaszystowski Sojusz Narodowy i separatystyczną Ligę Północną.

PUTIN I KADDAFI

Co ciekawe, i dawniej, za jego życia, i teraz, po śmierci, na pierwszym planie jest sam Berlusconi, a nie polityka, jaką prowadził. Na przykład jego przyjaźnie – mocno kontrowersyjne, jak ta z płk. Muammarem Kaddafim, libijskim autokratą. Włochy były jednym z krajów, które Kaddafi oficjalnie odwiedził, gdy z Libii zdjęto sankcje nałożone po zamachu nad Lockerbie. Przyjmowany był z wielką pompą, a jego spotkania z Berlusconim cechowała widoczna serdeczność.

Dziś należałoby docenić politykę Berlusconiego, bo w zamian za 5 mld dol. pomocy – na budowę dróg, a także jako odszkodowanie za przeszłą włoską okupację Libii – libijski przywódca zobowiązał się do powstrzymywania naporu migrantów na Europę. Dzisiaj taki układ byłby nie do przecenienia, państwo libijskie jednak – jeśli w ogóle można jeszcze mówić o państwie – niewiele jest w stanie zdziałać.

Jeszcze bardziej szokowała przyjaźń z Władimirem Putinem. Gdy Zachód jeszcze wierzył, że poprowadzi on Rosję ku demokracji, Putin przy okazji oficjalnych wizyt gościł w prywatnych posiadłościach przywódców, choćby na ranczu prezydenta George'a W. Busha w Teksasie. Z Berlusconim jednak gesty przyjaźni obejmowały również rodziny, bo na wakacje w willi na Sardynii i na daczy Putina zapraszane bywały córki. Berlusconi nie krył, że w wojnie ukraińskiej stoi po stronie Rosji, i trudno się dziwić, że oświadczenie, które wydał Putin po jego śmierci, ma ciepłą osobistą nutę. „Zawsze podziwiałem jego mądrość, umiejętność podejmowania wyważonych, dalekowzrocznych decyzji. Podczas każdego z naszych spotkań byłem pod wrażeniem jego niewiarygodnej witalności, optymizmu i poczucia humoru" – pisał, dodając, że „na scenie międzynarodowej niewielu jest dzisiaj takich ludzi".

ŻEGNAJ, SILVIO!

Na tym tle kondolencje unijnych eurokratów wypadają blado. „Berlusconi kierował Włochami w okresie politycznych przemian i od tego czasu nadal kształtował swój ukochany kraj. Przekazuję kondolencje jego rodzinie i narodowi włoskiemu" – takie oświadczenie, więcej niż konwencjonalne, wydała Ursula von der Leyen, szefowa Komisji Europejskiej. To nawet może dziwić, bo Berlusconi nigdy nie przejawiał eurosceptycyzmu ani nie demonstrował niechęci do Unii Europejskiej. Praktykował jednak coś o wiele, wiele gorszego: miał za nic poprawność polityczną, a w Brukseli jest to grzech śmiertelny.

Jest lipiec 2003 r., Berlusconi występuje w Parlamencie Europejskim. Martin Schulz z niemieckiej SPD w napastliwym tonie krytykuje jego politykę wewnętrzną. „Doskonale odnalazłby się pan w roli kapo. Mogę polecić pana do filmu, który jest właśnie kręcony we Włoszech" – odpowiada Berlusconi. Oburzenie było ogromne, choć Schulz miał wszelkie powody do wdzięczności. W jednej chwili z szeregowego posła stał się postacią dobrze znaną, co otworzyło przed nim drogę do kariery i stanowiska przewodniczącego PE.

Co pozostanie po Silviu Berlusconim? Europejscy komentatorzy – których ulubieńcem z pewnością nie był – w większości dowodzą, że jego spuściznę stanowi populizm. To Berlusconi – piszą – wprowadził populizm do wielkiej polityki, odbierając jej przy tym należną powagę. Nie przypadkiem bywa nazywany „showmanem polityki", choć brytyjski tygodnik „The Economist" widzi w nim raczej „wielkiego uwodziciela", który zwodził ludzi, zapewniając ich, że wszystko będzie dobrze.

Spuścizna włoska jest jasna: to Giorgia Meloni. Pani premier terminowała w polityce u boku Berlusconiego, a w jego ostatnim rządzie po raz pierwszy została ministrem. Żegnała go słowami: „Jego intuicja, staczane boje i zaangażowanie zmieniły nasz naród i otworzyły drogę do prawdziwej wolności. Żegnaj, Silvio!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

Jakub Wozinski

Rotszyldowie ery wokeizmu

Największa na świecie firma inwestycyjna BlackRock działa w bardzo dyskretny sposób, lecz jej wpływ na naszą rzeczywistość jest wręcz ogromny. W ostatnim czasie BlackRock stała się także niezwykle aktywna na odcinku ukraińskim

Aby opisać fenomen firmy zarządzanej od lat przez Larry'ego Finka, potrzebny jest mały rys historyczny. Od niepamiętnych czasów najbardziej wpływowymi postaciami świata wielkiego biznesu byli bankierzy i przemysłowcy. Nawet przy okazji poprzedniego kryzysu finansowego można było się naocznie przekonać o tym, jak wielkie wpływy ma bank Goldman Sachs, który w czasie, gdy inni bankrutowali lub chwiali się w posadach, przeszedł przez krach suchą stopą, w czym walny udział mieli jego byli pracownicy, zatrudnieni zarówno w administracji Busha, jak i Obamy.

ELITY PASYWNYCH INWESTYCJI

Banki są oczywiście nadal bardzo ważne, podobnie jak wielkie firmy technologiczne i ich nad wyraz ambitni prezesi, lecz przez ostatnie kilkanaście lat daje się zaobserwować zupełnie nowy trend, wynoszący na same szczyty zupełnie nowe podmioty i osobistości. Tymi elitami są ogromne w swoich rozmiarach firmy inwestycyjne, które specjalizują się w zarządzaniu finansowymi aktywami. Obszar ich działalności stał się niebywale dochodowy głównie dlatego, że po ostatnim kryzysie finansowym z lat 2007–2008 banki centralne zaczęły prowadzić niezwykle luźną politykę finansową. Finansowe rozpasanie sprawiło tym samym, że realna inflacja wzrosła do jeszcze wyższych poziomów, a wraz z nią pojawiła się jeszcze większa niż do tej pory potrzeba ucieczki przed nią poprzez dokonywanie odpowiednich inwestycji na giełdzie. Na tę palącą potrzebę wręcz idealne remedium znalazły takie firmy jak BlackRock, Vanguard czy State Street, które szerokiemu gronu odbiorców zaproponowały model tzw. pasywnego inwestowania.

Ów nowy model inwestowania jest równie śmiały i prosty pod względem konceptualnym, co wyrafinowany pod względem wykonania. Nad jego opracowaniem od kilkudziesięciu lat głowiło się mnóstwo matematyków i giełdowych praktyków. Wszyscy oni poszukiwali doskonałej formuły, która umożliwiłaby osiąganie najlepszych zysków na giełdzie, opierając się na matematycznych formułach. Efekt ich zbiorowych poszukiwań był zdumiewający, gdyż ostatecznie się okazało, że w dłuższej perspektywie trzeba angażować środki we wszystkie najbardziej popularne firmy i aktywa wchodzące w skład głównych giełdowych indeksów. Początkowo niemal nikt nie dowierzał, że tak banalny zabieg może przynieść tak wielkie profity, ale zawrotna kariera funduszy pasywnych sprawiła, że dziś nikt nie ma już co do tego żadnych wątpliwości. Obecnie już większość wszystkich środków w USA jest inwestowana w ramach funduszy pasywnych.

OD STRATY DO MILIARDOWYCH ZYSKÓW

Kariera prezesa firmy BlackRock stanowi doskonałą ilustrację niebywałego wzrostu znaczenia nowego segmentu świata finansów. Jeszcze w latach 80. Larry Fink pracował w tradycyjnym banku inwestycyjnym First Boston. Ze względu na pochodzenie i trzymanie się na dystans jego grupkę przyjaciół koledzy z pracy nazywali wówczas „małym Izraelem". W 1986 r. świetnie zapowiadającą się karierę młodego Kalifornijczyka przerwała strata w wysokości 100 mln dol., za której spowodowanie Fink znalazł się na bocznym torze. Młody bankier miał wówczas poprzysiąc sobie, że zrobi wszystko, aby więcej nie dopuścić do tak wielkiej straty.

eprasa.pl 9223c44521

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski omawia z Larrym Finkiem z BlackRock koordynację działań na rzecz odbudowy kraju, 28 grudnia 2022 r. FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Na pomoc miały mu przyjść matematyka i komputery. Larry Fink skrzyknął grono kolegów z pracy oraz specjalistów znanych z wysokich umiejętności analitycznych i założył od podstaw nowy fundusz inwestycyjny, który z czasem przyjął nazwę BlackRock. Najważniejszym elementem nowego podmiotu stał się program analityczny Alladin. Rozwijany sukcesywnie od niemal 40 lat stanowi dziś potężny algorytm, który przetwarza ogromną ilość danych finansowych z całego świata. Pozostające do dyspozycji BlackRock komputery wykonują 200 mln obliczeń każdego tygodnia, oceniając nieustannie ryzyko poszczególnych operacji finansowych. Z usług największej na świecie firmy inwestycyjnej korzystają nieustannie nawet amerykański rząd i bank centralny. Powszechnie uważa się, że nie ma dziś lepszego narzędzia służącego do błyskawicznej oceny wiarygodności kredytowej niż program stworzony przez Larry'ego Finka oraz jego armię programistów i matematyków.

Przez pierwsze 20 lat istnienia firma BlackRock nie wyróżniała się w żaden szczególny sposób swoimi rozmiarami, lecz za sprawą fuzji z Merrill Lynch Investment w 2006 r. oraz przejęcia Barclays Global Investors w 2009 r. w błyskawicznym tempie stała się olbrzymem zarządzającym aktywami wartymi prawie 4 bln dol. W ubiegłym roku wartość tych aktywów osiągnęła poziom 10 bln dol., a obecnie są warte dokładnie połowę całego amerykańskiego PKB (dla porównania: polskie fundusze zarządzają obecnie aktywami o wartości ok. 64 mld dol.).

Koncepcyjnie prosty, lecz oparty na wyrafinowanej programistycznej aparaturze model inwestowania pieniędzy przysporzył firmie BlackRock ogromnej liczby klientów. Zarządzając bilionami dolarów, Larry Fink i jego firma uzyskali tym samym równie ogromny wpływ na całą rzeczywistość. BlackRock posiada dziś przeciętnie 7 proc. udziałów w każdej z 500 firm notowanych na indeksie S&P 500, gromadząc najbardziej prężne spółki z całych Stanów Zjednoczonych (wspólnie z Vanguard i State Street posiadają nawet 21 proc. udziałów). BlackRock posiada akcje podmiotów z całego świata, w tym oczywiście także z Polski (m.in. spółek Skarbu Państwa). Mimo że mniejszościowy pakiet akcji nie daje jeszcze prawa do decydowania o losie poszczególnych firm, nie ma dziś na świecie drugiego podmiotu, który byłby zaangażowany kapitałowo w tak wielką liczbę przedsięwzięć.

ARCHITEKCI LEWICOWEJ RADYKALIZACJI

Zasadniczy wpływ, jaki BlackRock wywiera na życie gospodarcze, polega na tym, że podmioty z całego świata są zmuszone wdzięczyć się do firmy, gdyż jako hurtowy nabywca i posiadacz aktywów ma znaczący wpływ na wycenę oraz kondycję finansową spółek. Jako zadeklarowany sympatyk Partii Demokratycznej i zwolennik progresywistycznych idei Larry Fink nie omieszkał nie skorzystać z wywalczonej pozycji i stał się jednym z głównych architektów postępującej radykalizacji środowisk korporacyjnych i finansowych. Prezes BlackRock jest zwolennikiem modnej ostatnio koncepcji kapitalizmu interesariuszy, zgodnie z którą firmy muszą aktywnie włączać się w rozmaite projekty społeczne, jak choćby wsparcie dla środowisk LGBTiQ, walkę z globalnym ociepleniem czy też zwalczanie rasizmu. Preferowany przez niego model urządzenia społeczeństwa najlepiej oddaje forsowane przez BlackRock od lat raportowanie ESG, zmuszające firmy do przyjmowania coraz bardziej radykalnych postulatów przemieniających je w awangardę lewackiej rewolucji.

Nie będzie nawet przesadą stwierdzenie, że to właśnie takie podmioty jak BlackRock mają większy niż Big Tech wpływ na to, że świat korporacji, a w ślad za nim cała światowa kultura zaliczyły w ostatnich latach tak wielki zwrot w lewo. Skupiwszy w swoich rękach tak znaczną część rynku, największe firmy inwestycyjne na świecie zdołały przeforsować przestrzeganie neomarksistowskich zasad zarówno w biznesie, jak i sektorze publicznym. Podkręcanie politycznej histerii ma w tym wypadku głębokie uzasadnienie biznesowe, gdyż wielkie firmy inwestycyjne już od lat konstruują specjalne „odpowiedzialne społecznie" fundusze, za korzystanie z których pobierają wyższe prowizje. Jeszcze chyba nigdy w historii nie skonstruowano mechanizmu, który tak perfekcyjnie wykorzystywałby społeczny radykalizm do celów finansowych.

To właśnie takie podmioty jak BlackRock mają wpływ na to, że świat korporacji zaliczył wielki zwrot w lewo

Coraz więcej wskazuje jednak na to, że najlepsze czasy dla BlackRock i całego segmentu specjalizującego się w inwestowaniu pasywnym już się skończyły. Bezprecedensowy napływ pieniędzy inwestorów związany był z okresem gospodarczego boomu, w czasie którego zbyt wiele osób uwierzyło w to, że inwestycje spod znaku zrównoważonego rozwoju oraz pompowanie pieniędzy w firmy epatujące wokeizmem to przedsięwzięcia mające przed sobą świetlaną przyszłość. Do wielkiego

eprasa.pl 9223c44521

krachu na giełdzie kończącego erę obfitości jeszcze wprawdzie nie doszło, ale w 2022 r. fundusze pasywne odnotowały wyraźny odpływ środków (pierwszy raz w historii), a coraz więcej ekspertów wskazuje na prosty fakt, że biznesowy model przyjęty przez BlackRock posiada pewne istotne ograniczenia. Inwestowanie pasywne może przynosić sukcesy tylko wtedy, gdy dostatecznie duża liczba pozostałych inwestorów lokuje środki w aktywny – czyli tradycyjny – sposób. Gdyby wszyscy chcieli inwestować środki tak jak fundusze pasywne, ostatecznie straciłoby to sens. Na dodatek niedawny upadek Silicon Valley Bank, który finansował wiele „zielonych" projektów, zademonstrował wyraźnie, że cała misterna konstrukcja zrównoważonego biznesu powoli zaczyna się sypać.

Coraz większym wyzwaniem dla BlackRock i podobnych podmiotów staje się także aktywny sprzeciw ze strony środowisk prawicowych. Gubernator Florydy Ron DeSantis wycofał w grudniu ubiegłego roku ponad 2 mld dol., które jego stan trzymał w firmie Larry'ego Finka. W podobny sposób postąpiły w ostatnich miesiącach m.in. stany Luizjana, Utah czy też Karolina Południowa. Dla konserwatywnych Amerykanów firma BlackRock i jej polityka stały się w ostatnim czasie prawdziwym symbolem wszystkich patologii drążących gospodarkę i pchających ją w bardzo niebezpiecznym kierunku. Uwagę zwraca jednak to, że w przeciwieństwie do DeSantisa Donald Trump jak dotąd powstrzymuje się od zdecydowanych wypowiedzi pod adresem Larry'ego Finka i jego finansowego imperium. Pod wieloma względami czasy jego prezydentury były dla BlackRock nad wyraz pomyślne.

UKRAIŃSKIE INTERESY

W ostatnim czasie firma BlackRock stała się także niezwykle aktywna na odcinku ukraińskim. Larry Fink zdążył od początku wojny przeprowadzić już kilka rozmów z Wołodymyrem Zełenskim, a w Kijowie gościły także delegacje kierownictwa firmy. Obie strony pracują nad wielkim planem inwestycyjnym, który ma docelowo zbudować nową Ukrainę, niemal od podstaw. Zdaniem Finka powojenna Ukraina będzie prawdziwą światową „latarnią kapitalizmu" i odbiorcą wielkich inwestycji z całego świata. Słowa prezesa BlackRock z pewnością nie są rzucane na wiatr, gdyż jak mało kto na całym globie ma on realny wpływ na to, w jaki sposób wydatkowane są pieniądze. Fink wycenił koszt odbudowy Ukrainy na ok. 750 mld dol., co z jego perspektywy nie jest wcale aż tak niebotyczną kwotą. I nawet jeśli podniesienie Ukrainy z gruzów nie będzie powszechnie odbierane jako przedsięwzięcie warte tak wielkiego zachodu, to można mieć pewność, że BlackRock umiejętnie wykorzysta swoje przebogate doświadczenie w nakłanianiu świata do inwestowania w dużo mniej opłacalne projekty.

Działania największej na świecie firmy inwestycyjnej stanowią w naturalny sposób przedłużenie polityki amerykańskiego państwa, o czym świadczą kolejne przysługi wyświadczane wzajemnie przez obie strony. Rząd Federalny i amerykański bank centralny regularnie korzystają z pomocy BlackRock przy obsłudze różnego rodzaju pakietów stymulacyjnych czy też ratunkowych przejęć dokonywanych za pieniądze podatnika. Po niedawnym upadku Silicon Valley Banku zadanie „posprzątania" po całym zamieszaniu przypadło właśnie firmie Larry'ego Finka. BlackRock stał się natomiast w ostatnim czasie idealnym miejscem schronienia dla wielu byłych polityków i bankierów centralnych z całego świata. Żaden inny podmiot finansowy nie cieszy się dziś takimi względami polityków ani nie posiada tak rozległych koneksji.

Działania BlackRock stanowią w naturalny sposób przedłużenie polityki amerykańskiego państwa

Larry Fink, choć zarządza dużo większymi kwotami niż George Soros, Bill Gates czy Mark Zuckerberg, nie stara się regularnie w świetle kamer prezentować swoich planów uszczęśliwienia całej ludzkości. Jego obecność w mediach jest dużo bardziej dyskretna, co nie zmienia tego, że nieustannie wpływa na naszą rzeczywistość w trudny do przecenienia sposób. O znaczeniu jego firmy, które daleko wykracza poza sam świat finansów, najwięcej mówi niedawny skandal związany z bojkotem konsumenckim piwa Bud Light, którego producent wykorzystał w kampanii reklamowej transseksualnego influencera Dylana Mulvaneya. Jeden z byłych dyrektorów producenta, belgijskiej firmy Anheuser-Busch, zasugerował później wprost, że firmy znajdują się dziś pod ogromną presją promowania wokeizmu właśnie za sprawą wielkich firm inwestycyjnych. To właśnie one i forsowany przez nie mechanizm raportowania ESG ponoszą główną odpowiedzialność za to, że świat zdaje się coraz bardziej stawać na głowie.

Chyba mało kto z obserwujących rynki finansowe przed stu laty – czy nawet pół wieku temu – byłby w stanie przewidzieć, że postępującemu wyrafinowaniu technologicznemu w zakresie inwestowania na giełdzie będzie towarzyszył triumf tak skrajnie prymitywnych intelektualnie idei i radykalnych społecznie nurtów. Przypadek BlackRock pokazuje jednak, że mając do dyspozycji najdoskonalsze narzędzia analityczne i komputerowe, można jednocześnie promować wokeizm i ekologizm w najbardziej destrukcyjnym dla ludzkości wariancie.

W styczniu 2020 r. Larry Fink w swoim corocznym liście do klientów firmy, zatytułowanym „Fundamentalne przekształcenie świata finansów", oznajmił całemu światu, że „ryzyko klimatyczne jest ryzykiem inwestycyjnym". Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że odtąd środki finansowe miały być dystrybuowane w jeszcze większym stopniu niż do tej pory zgodnie z zeroemisyjnym kluczem. Realia współczesnego świata są niestety takie, że wola szefa największej na świecie firmy inwestycyjnej znaczy więcej niż decyzje głów wielu państw i zapewne dlatego przez ostatnie lata byliśmy świadkami bezprecedensowego przyspieszenia we wdrażaniu zielonej agendy.

Jeżeli może to stanowić jakąkolwiek pociechę, to warto odnotować jedynie, że w tegorocznym liście Larry Fink wyraźnie odszedł od agresywnego forsowania zasad ESG i zrównoważonego biznesu, skupiając się bardziej na kwestiach związanych z ryzykiem finansowym. Czyżby czekała nas woekistowska i ekologistyczna odwilż?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

WÓDKA I INNE PATOLOGIE CZERWONEGO IMPERIUM

Jak system komunistyczny zniszczył rosyjskie społeczeństwo

Produkt strategiczny z procentami – Stalin budował potęgę ZSRS m.in. dzięki alkoholowi

Konanie Zygmunta Augusta – Czy król Polski rzeczywiście umierał „otoczony tylko złowrogiemi sokołami"?

Bicz Boży z Florencji – Savonarola zawładnął sercami i umysłami mieszkańców miasta i za pomocą bezwzględnych metod zaczął wprowadzać moralną rewolucję

Największe zwycięstwo Ukraińców – W Konotopie stoi pomnik, na którym trzy szable – ukraińska, tatarska i polska – przybijają do ziemi szablę moskiewską

Oberszpicel i sutenerzy – Istnieją przesłanki, że niezwykle brutalny pogrom warszawskich domów publicznych był prowokacją rosyjskich władz

Cesarscy lokaje Hitlera – Następca tronu Wilhelm Hohenzollern i jego młodszy brat August Wilhelm dali się owinąć nazistom wokół palca

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 9223c44521

Gdyby weekend trwał

Jacek Przybylski

Marzenie wielu pracowników o tygodniu pracy trwającym cztery dni zaczyna się ziszczać. Pilotażowe programy wydłużające weekendy wdrożyły już tysiące firm zarówno z Europy, jak i z Ameryki, Azji, Afryki czy Australii. Pierwsze wyniki badań są bardzo zachęcające. I dla podwładnych, i dla ich szefów

Niskie bezrobocie sprawia, że pracodawcy muszą coraz mocniej rywalizować o najbardziej utalentowanych pracowników. Ci zaś chcą nie tylko dobrze zarabiać i osiągać satysfakcję z wykonywanych obowiązków, lecz także cieszyć się z równowagi między pracą a życiem osobistym.

Wizja spełnienia pracowniczych marzeń wydaje się coraz bliższa realizacji. Prezesi firm, które zgadzają się na wprowadzenie do kalendarza trzydniowych weekendów, liczą na to, że skrócony tydzień pracy pomoże zmniejszyć stres, zredukować ryzyko depresji oraz zjawiska wypalenia pracowników, poprawi ich samopoczucie, a co za tym idzie, zwiększy ich kreatywność oraz produktywność, a jednocześnie zmniejszy liczbę popełnianych przez pracowników błędów.

Wiele pilotażowych projektów potwierdza te założenia. Pracownicy rzeczywiście są bardziej zaangażowani w pracę, ponieważ sprawy urzędowe czy wizyty lekarskie mogą bez stresu planować w dodatkowym dniu wolnym. Spędzając mniej godzin w biurze, rzadziej w godzinach pracy tracą czas, surfując prywatnie po Internecie czy skacząc od jednej bezwartościowej rolki do drugiej w mediach społecznościowych.

Dodatkową korzyścią skrócenia tygodnia pracy dla pracodawców jest zwiększenie ich atrakcyjności na rynku pracy. Firmy oferujące elastyczne formy zatrudnienia mogą liczyć nie tylko na przyciągnię-

eprasa.pl 9223c44521

FOT. ADOBE STOCK

cie najlepszych kandydatów, lecz także m.in. na zmniejszenie kosztownej rotacji najbardziej wartościowych pracowników. Za skróceniem tygodnia pracy opowiadają się też ekolodzy, argumentując, że taka zmiana na dużą skalę pozwoli nie tylko na zmniejszenie korków na ulicach, lecz także na istotne ograniczenie emisji CO_2.

WIELKI TEST W PORTUGALII

W czerwcu minister pracy, solidarności i zabezpieczenia społecznego Ana Mendes Godinho ogłosiła rozpoczęcie pilotażowego projektu, w ramach którego 46 różnego rodzaju podmiotów – zarówno z sektora publicznego, jak i prywatnego – przez pół roku będzie testować czterodniowy tydzień pracy. W ogólnokrajowym eksperymencie bierze udział również pięć dużych firm, z których każda zatrudnia ponad tysiąc osób. Wśród przedsiębiorstw dominują podmioty technologiczne, doradcze, naukowe, edukacyjne, ale w rządowym pilotażu biorą udział nawet pracownicy żłobka czy domu opieki. W sumie o dzień krócej w tygodniu pracować będzie ok. 20 tys. pracowników.

Celem portugalskiego eksperymentu jest sprawdzenie, czy można poprawić jakość życia pracowników, wydłużając im weekendy, a jednocześnie nie tylko utrzymać produktywność, lecz także zwiększyć konkurencyjność firm oferujących czterodniowy tydzień pracy. Portugalscy pracodawcy zgodzili się na bodaj najatrakcyjniejszy z punktu widzenia zatrudnionych model 100–80–100. Oznacza on, że pracownik otrzymuje 100 proc. dotychczasowego wynagrodzenia, jego tygodniowe godziny pracy zostają jednak ograniczone do 80 proc., ale w zamian zatrudniony zobowiązuje się do wypracowania 100 proc. dotychczasowych rezultatów.

Tego typu eksperyment to prawdziwa rewolucja zwłaszcza w kraju takim jak Portugalia – gdzie według OECD ok. 72 proc. pracowników pracuje dłużej niż 40 godzin w tygodniu, przez co według raportu Uniwersytetu Londyńskiego w Europie Portugalia po Wielkiej Brytanii i Irlandii jest trzecim państwem w Europie pod względem najdłuższego tygodnia pracy.

PRACOWAĆ MĄDRZEJ

Podobne pilotaże odbyły się w ostatnich kilkunastu miesiącach zarówno w krajach europejskich – takich jak Belgia, Francja, Hiszpania, Islandia czy Wielka Brytania – jak i na innych kontynentach. Z wydłużonym weekendem eksperymentowali już m.in. Amerykanie, Japończycy, Australijczycy czy pracownicy i pracodawcy w Nowej Zelandii.

Nie zawsze testowany model to 100–80–100. Część przedsiębiorców zamiast skracać tygodniowy wymiar pracy, woli rozłożyć go na cztery, a nie na pięć dni. Testy pokazują, że takie podejście dla wielu zatrudnionych jest o wiele mniej atrakcyjne. Francuski „Le Monde" zauważył w opublikowanym pod koniec maja tekście, że gdy pracownicy URSSAF otrzymali propozycję przejścia na czterodniowy tydzień pracy, ale z czasem pracy wynoszącym aż dziewięć godzin dziennie, to na taką propozycję przystało jedynie trzech z dwustu zatrudnionych. Reszta wolała pozostać przy pięciodniowym harmonogramie zakładającym, że nie spędzają w biurze więcej niż siedem i pół godziny.

Przepisy, które pozwalają na zatrudnianie pracowników w ramach czterodniowego tygodnia pracy, przyjęły już takie kraje jak Islandia czy Wielka Brytania. Według dziennika „Le Monde" pomysł jest również coraz bardziej popularny nad Sekwaną, gdzie tygodniowy wymiar pracy wynosi zaledwie 35 godzin (a nie 40 jak w wielu innych krajach Unii Europejskiej). Niektóre firmy, jak choćby zatrudniające 120 pracowników przedsiębiorstwo Elmy z Lyonu, mają już za sobą testy trwające ponad pół roku. Według dziennika „Le Monde" podczas sześciomiesięcznego pilotażu w firmie Elmy absencje wśród pracowników zmniejszyły się o ponad 70 proc., o ponad połowę spadła liczba pracowników rezygnujących z pracy, a odsetek pracowników, którzy publicznie deklarują, że poleciliby swoją firmę jako dobre miejsce pracy, wzrósł z 23 do 48 proc. Liczba osób szukających zatrudnienia w Elmy wzrosła zaś w ciągu sześciu miesięcy ponad dwukrotnie.

SUKCES BRYTYJSKIEGO EKSPERYMENTU

Podobne rezultaty przyniósł pilotaż przeprowadzony od czerwca do grudnia 2022 r. w Wielkiej Brytanii. W eksperymencie na Wyspach wzięło niemal 3 tys. osób z 61 instytucji, które pracowały cztery dni w tygodniu zamiast pięciu przy zachowaniu dotychczasowego wynagrodzenia. Wynik? Ponad siedmiu na dziesięciu badanych uznało, że odczuwa znacząco mniej stresu i wypalenia zawodowego. Liczba dni, które pracownicy spędzali na zwolnieniach lekarskich, spadła aż o 65 proc.

48 proc. zatrudnionych deklarowało większą satysfakcję z wykonywanej pracy, a 73 proc. uznało, że dzięki przejściu na czterodniowy tydzień pracy odczuwa większą satysfakcję z życia. Pracownicy cieszyli się nie tylko z większej ilości czasu, który mogli poświęcić rodzinie, lecz także z oszczędności płynących zarówno ze zmniejszenia kosztów dojazdu do firmy, jak i np. mniejszych wydatków na opiekę nad dziećmi. Część badanych dodatkowy wolny dzień przeznaczała na podnoszenie

eprasa.pl 9223c44521

swoich kwalifikacji, na czym zyskiwały również firmy, w których są oni zatrudnieni.

Tego typu eksperymenty nie mają jednak szans na powszechne wdrożenie, jeśli będą oznaczać straty dla przedsiębiorstw. Brytyjski pilotaż nie potwierdził jednak obaw o spadek zysku. Przeciwnie, po sześciu miesiącach w trybie czterodniowego tygodnia pracy średni dochód 23 firm, które podzieliły się tego typu wynikami, wzrósł o 1,4 proc. Zdecydowana większość uczestników badania (92 proc. firm) zadeklarowała więc pod koniec sześciomiesięcznego okresu próbnego, że czterodniowy tydzień pracy wprowadzi już na stałe. – Wyniki eksperymentu są naprawdę zachęcające. Pokazują one, że wiele firm, które marzenia o czterodniowym tygodniu pracy wcieliły w życie, odniosło korzyści – zauważył David Frayne z Uniwersytetu w Cambridge, który prowadził wywiady z uczestnikami brytyjskiego eksperymentu.

Wiele pozytywnych rezultatów przyniosło również podobne badanie przeprowadzone w ubiegłym roku jednocześnie w Stanach Zjednoczonych i w Irlandii. W eksperymencie zorganizowanym we współpracy z badaczami uczelni z Cambridge, Bostonu i Dublina wzięło udział niemal tysiąc pracowników z 33 firm. Testowano model 100–80–100. Wśród pracowników 97 proc. badanych uznało, że chciałoby kontynuować pracę według czterodniowego harmonogramu, deklarując, że czują się bardziej wypoczęci i mniej zestresowani.

Test pozytywnie ocenili również pracodawcy. Co prawda, średnia liczba przepracowanych godzin przez pracowników spadła z 41 do 35 godzin tygodniowo, to produktywność i zaangażowanie zatrudnionych wzrosły tak bardzo, że firmy biorące udział w pilotażu odnotowały wzrost przychodów wynoszący aż 38 proc. w porównaniu z tym samym okresem rok wcześniej, gdy pracownicy musieli pracować pięć dni w tygodniu. Bezpośrednio po zakończeniu pilotażu 18 z 27 instytucji zdecydowało więc, że z pewnością pozostanie przy czterodniowym tygodniu pracy, siedem oznajmiło, że planuje nadal pracować cztery dni w tygodniu, ale sześć miesięcy to zbyt krótki okres próbny, by podjąć ostateczną decyzję, więc przed podjęciem ostatecznej decyzji zaplanowało jeszcze co najmniej trzy miesiące prób.

Według najnowszych danych francuskiego ministerstwa pracy czterodniowy tydzień pracy już obowiązuje ok. 10 tys. pracowników, a urzędnicy w Paryżu spodziewają się, że liczba ta w przyszłości istotnie się zwiększy.

W Niemczech wdrożenia na dużą skalę czterodniowego tygodnia pracy domagają się m.in. przedstawiciele największych związków zawodowych. Nowym podejściem do czasu pracy interesują się również pracownicy, pracodawcy i politycy w Polsce. Z różnego rodzaju raportów, a także danych Eurostatu wynika bowiem, że Polacy od lat są w czołówce najbardziej zapracowanych narodów w Unii Europejskiej. Do Sejmu trafił już projekt ustawy mającej na celu wydłużenie weekendu do trzech dni i skrócenia czasu pracy z 40 do 35 godzin.

A CO NA TO UNIA?

„Otwartość" Komisji Europejskiej w kwestii skrócenia tygodnia pracy oficjalnie zadeklarował również unijny komisarz do spraw miejsc pracy i praw socjalnych Nicolas Schmit. „Myślę, że jest to coś, co przychodzi stopniowo… ponieważ nowe pokolenia mają jasną wizję równowagi między życiem zawodowym a prywatnym" – zauważył urzędnik w opublikowanym pod koniec maja wywiadzie dla portugalskiej agencji prasowej Lusa. Unijny komisarz zauważył, że wydłużenie weekendów nie wymaga odgórnych, unijnych zmian, lecz jest rozwiązaniem, które powinno być wprowadzane na podstawie porozumień między pracodawcami a pracownikami.

Specjaliści od zarządzania kadrami uważają, że czterodniowy tydzień pracy to rozwiązanie szczególnie atrakcyjne dla tych zatrudnionych, którzy nie mogą korzystać z przywileju pracy zdalnej i muszą regularnie pojawiać się w biurze, urzędzie czy fabryce.

Zdaniem ekspertów skrócenie tygodnia pracy może być szczególnie korzystne dla firm z branży przemysłowej. O tego typu zmiany trudniej jest w przypadku firm z branży usługowej czy w handlu, ale i one mogą odnosić korzyści ze zmiany harmonogramu pracy. „Wszyscy są skoncentrowani, wszyscy wiedzą, co robią, wszyscy są wypoczęci" – zauważyła Kirsty Wainwright, cytowana przez portal PBS menedżerka restauracji, która wzięła udział w brytyjskim eksperymencie, choć akurat w jej branży typowy tydzień pracy trwa siedem dni. Podzielona na zmiany załoga, która może pracować tylko cztery dni w tygodniu, jest zdaniem szefowej restauracji lepiej zmotywowana. Lepsza obsługa przyczynia się jej zdaniem do większego zainteresowania klientów.

Firmy, które pracują na zmiany, a chcą skrócić tydzień pracy, muszą być przygotowane na rozwiązywanie potencjalnych konfliktów dotyczących choćby tego, który dzień dla kogo ma być dodatkowo wolny. W opisanym przez „Le Monde" przypadku firmy Elmy zatrudnionym dano wybór między środą a piątkiem. Większość pracowników chciała wolny piątek. Szefowie przeprowadzili więc losowanie, aby móc uczciwie podzielić zmiany.

Część menedżerów nie chce przeprowadzić nawet samej próby wdrożenia czterodniowego tygodnia pracy, obawiając się, że gdy raz pozwoli się pracować zatrudnionym tylko cztery dni w tygodniu za te same pieniądze, co wcześniej, to trudno będzie ich namówić do powrotu do tradycyjnego harmonogramu. Badania pokazują również, że część pracowników również spodziewa się, iż będzie musiała te same obowiązki co dotychczas wykonywać w krótszym czasie, co dla niektórych może być bardziej, a nie mniej stresujące.

Tego typu zmiany budzą więc spore emocje po obu stronach. Warto jednak pamiętać, że gdy w 1926 r. Henry Ford jako jeden z pierwszych na świecie wprowadzał w swoich fabrykach pięciodniowy tydzień pracy, to dwudniowy weekend traktowano jako eksperyment… Jego sukces sprawił, że system pracy rozpowszechnił się w kolejnych firmach.

Eksperci i dziś nie mają wątpliwości: z biegiem lat czas pracy będzie się skracał. Część firm próbuje więc już teraz szukać złotego środka i zamiast wprowadzać na stałe czterodniowy tydzień pracy, testuje inne warianty elastycznego czasu pracy, np. dni wolne w co drugi piątek czy skrócenie czasu pracy we wszystkie piątki z ośmiu do czterech godzin. Ma to być sposób na zdobycie millenialsów i przedstawicieli pokolenia Z, czyli osób mających nie więcej niż 30 lat, którzy stanowią coraz większy odsetek specjalistów na rynku pracy, a którzy nigdy nie doświadczywszy wysokiego bezrobocia, stawiają coraz wyżej poprzeczkę potencjalnym pracodawcom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Monopole goń, goń, goń!

Jak wiadomo, każdy monopol w zasadzie robi to, co chce. Niechętnie poprawia jakość oferowanych przez siebie produktów albo ją nawet – jeśli tak mu wygodniej – pogarsza, no i niemal kiedy chce, podnosi ceny swych produktów albo ich nie obniża, mimo że spadają ceny surowców, których używa do ich wytwarzania.

Choć oczywiście, gdy monopol zapragnie zadbać o swój wizerunek, to od czasu do czasu – przed majówką lub wakacjami – pozwoli nam to i owo kupić ciut taniej, żebyśmy tym łatwiej dali się nabrać na jego „dobre serce".

Monopol czyni tak, bo jak każda firma zabiega o umocnienie swojej pozycji; a jako że w tym przypadku chodzi o monopol – zabiega o umocnienie swojej monopolistycznej pozycji, a do tego potrzebne są mu pieniądze. Czyni tak również dlatego, że chce więcej zarobić dla swych właścicieli lub/i np. podnieść pensje pracownikom. Albo tylko dlatego, że tak mu się podoba, że ma taki kaprys.

Każdy dzień dostarcza w tej sprawie bez liku dowodów – wystarczy się rozejrzeć w poszukiwaniu towarów oferowanych przez monopole czy quasi-monopole, a potem już z łatwością można się zorientować, że od monopolu jesteśmy zmuszeni kupować towar – np. gaz lub prąd – zazwyczaj drożej, a nierzadko także gorszej jakości, bo brak konkurencji nie wymusza na nim ani obniżania ceny poprzez obniżanie własnych kosztów, ani dbałości o jakość.

Natomiast ofiary monopolu, które nie mają wyboru – bo ten dawałaby im na rynku jedynie wolna konkurencja – muszą kupować produkty oferowane przez monopol i płacić mu z tego tytułu najzwyczajną cenę monopolową. A to oznacza, że część swego zysku, zamiast zainwestować w poprawę własnej pozycji na rynku – w nowe technologie i podwyżkę pensji pracowników – lub w powiększenie zysku, muszą oddawać, jako haracz, monopolowi. Bo właśnie taka jest logika monopolu i nic nigdy jej nie zmieni, choćby nie wiem, jakie głodne kawałki serwowali nam na ten temat same monopole oraz wynajęci przez nich propagandyści.

Tę fatalną dla ofiar monopoli nierównowagę zmienić można tylko w jeden sposób: likwidując wszystkie, co do jednego, monopole, a potem nie dopuszczając, by się odrodziły. Ponieważ – co dziś widać gołym okiem – wszystkie firmy – a wielkie w wielkim stopniu – mają skłonność do odtwarzania starych i budowania nowych monopoli. I dlatego wszelkie monopole, zwłaszcza państwowe – a nawet ich niewinnie wyglądające zaczątki – należy rozbijać stanowczo i bez chwili zawahania – zawsze i wszędzie.

Niestety – nasze państwo, którego zadaniem winno być stanie na straży reguł wolnego rynku, a więc i rozbijanie monopoli – ostatnio z tej roli całkowicie abdykowało. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

I co, panie Pietraszkiewicz?

Gdy Trybunał Sprawiedliwości UE ogłaszał druzgocący dla sektora bankowego wyrok w sprawie kredytów denominowanych lub indeksowanych do franka szwajcarskiego (koszt wyjścia z problemu dla sektora to ok. 100 mld zł), miałem przed oczami dwa obrazki.

Pierwszy to debata w Sejmie lata temu, w której uczestniczyłem, a w której ówczesny, niemal wieczny prezes Związku Banków Polskich Krzysztof Pietraszkiewicz przekonywał, że w sprawie kredytów CHF banki nie mogą ustąpić ani na krok, bo nastąpi finansowy armagedon. Ciekawe, co mówi pan Pietraszkiewicz teraz (już nie jako szef ZBP).

Powody do złości mają i kredytobiorcy złotówkowi, i klienci banków w ogóle

Drugi obrazek to pan prezydent Andrzej Duda w 2015 r. obiecujący frankowiczom, że doprowadzi do systemowego przewalutowania kredytów po kursie z dnia ich zaciągnięcia. Jakiś czas później Andrzej Duda skierował do Sejmu ustawę popierdółkę, szczątkowo zajmującą się jedynie tymi, którzy mieli problemy ze spłatą kredytów (a była to bardzo niewielka część kredytobiorców), natomiast niezałatwiającą naczelnego problemu: nieustającego wzrostu zobowiązań liczonych w złotych. Ten mechanizm sprawiał, że kredytobiorcy byli przywiązani na lata do swoich nieruchomości, a gdy spłacili całość zobowiązań w złotych, okazywało się, że pozostawało im do spłaty drugie tyle.

Banki – owszem – mają przygotowane rezerwy, żeby z problemem się zmierzyć. Ale gdyby nie stały okoniem wobec każdej próby systemowego załatwienia sprawy przez lata, ich sytuacja byłaby dużo lepsza. Natomiast powody do złości mają i kredytobiorcy złotówkowi – nagle się okazuje, że ci z frankami za sprawą sądów są na pozycji uprzywilejowanej – i klienci banków w ogóle, bo przecież te wrzucą swoje koszty w cenę usług w ogóle. Inna sprawa, że nie wszystkie: najdroższe, a więc najmniej konkurencyjne będą banki z największą ekspozycją na kredyty CHF. Zatem problem ma jednak zasięg ograniczony.

Pretensje należy jednak mieć przede wszystkim do państwa, które przyznało sobie daleko idące kompetencje w sprawie nadzoru nad sektorem bankowym, a nie skorzystało z nich w momencie, gdy trzeba było działać. Jak napisałem lata temu – bank to nie kasyno i kredytobiorcy frankowi mieli prawo oczekiwać, że ich umowy nie będą oparte na oszustwie. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

Joanna Bojańczyk

Najgorzej ubrany premier

Boris Johnson zapowiedział niedawno zakończenie kariery parlamentarnej. Świat szybko o nim nie zapomni. W rzeczywistości, w której wszystko jest zadekretowane, jego spontaniczne lekceważenie norm ma wartość dodaną. Jako Brytyjczyk i absolwent historii zdaje sobie sprawę, że ta nieudolność niesie w sobie także ładunek pozytywnych wrażeń. On może sobie na nią pozwolić, bo jest z elity

FOT. AARON CHOWN/PRESS ASSOCIATION/EAST NEWS

Żegnaj, najgorzej ubrany premierze! W ten sympatyczny sposób „GQ", magazyn poświęcony modzie męskiej, skomentował odejście Borisa Johnsona. Premier złożył rezygnację w ubiegłym roku po tym, jak ujawniono tajne dokumenty, z których wynikało, że nie mówił prawdy o imprezach urządzanych w czasie lockdownu. Nietrudno zrozumieć, że dla magazynu o modzie wygląd premiera nie odpowiadał standardom stawianym wysokiej rangi politykowi. Lista zarzutów obejmowała zatem: garnitury klowna, źle dopasowane i pogniecione spodnie, pstrokate krawaty, workowate spodnie, rowerowe skarpetki. Tabloidy rzuciły się łapczywie na zdjęcie premiera, który w parlamencie pojawił się w jednej skarpetce wywróconej na lewą stronę. „Styl równie chaotyczny jak polityka, którą sprawował podczas piastowania urzędu" – podsumował miesięcznik. Także wielu angielskich krytyków uważało, że luzacki styl nie przystoi premierowi, który ma w ręku dobro państwa. Ich zdaniem niechlujne ubranie może oznaczać równie niechlujny stosunek do pracy.

Johnson zadebiutował na scenie politycznej jako burmistrz Londynu w roku 2014. Wtedy jego sylwetka modowego abnegata mogła wyglądać na celowo zaprogramowany wizerunek mający na celu zdobycie sympatii opinii publicznej. Swój chłop! Jakkolwiek to było sympatyczne, kolidowało z utrwalonym wyobrażeniem męża stanu. Czyli nieskazitelnego brytyjskiego dżentelmena w garniturze robionym na miarę na Savile Row, białej, też miarowej koszuli i lśniących jak lustro butach ręcznej roboty.

W roku 2019 Boris Johnson został wybrany na premiera z partii torysów. I w tej roli przejdzie do historii jako ten, który złamał wszystkie zasady. Pierwsze przemówienie wygłosił w świetnie leżącym granatowym garniturze, nieskazitelnej białej koszuli zapiętej na ostatni guzik i błękitnym krawacie. Dalej było gorzej.

WŁOSKI GARNITUR I RUSKI PŁASZCZ

Jaką potęgę ma w polityce wizerunek, wiadomo nie od dzisiaj. Nie lekceważył tego nawet Chruszczow, marionetka sowieckiego reżimu równie pocieszna, co groźna. Nosił szyte na miarę włoskie garnitury – zrozumiałe, gdyż w gotowe ubranie grubaśna i krótka sylwetka by się nie wpasowała. Leonid Breżniew zdawał sobie sprawę, jak bardzo Zachód wyśmiewa osiągnięcia radzieckiego designu,

eprasa.pl 9223c44521

i starał się usilnie obraz ten zmienić. On także zamawiał garnitury we Włoszech. Również Michaił Gorbaczow i jego żona Raisa włożyli wiele wysiłku w promocję sowieckiego przemysłu. Z miernym skutkiem, bo i tak nie dało się go uratować.

Donalda Trumpa trudno przebić, jeśli chodzi o strategiczne wykorzystanie sztuczek. Potencjał śmieszności Donalda jest nie do odparcia – sama niepodrabialna fryzura dała pretekst do setek memów. Macron pielęgnuje szczupłą sylwetkę Francuza z klasy wyższej oraz nienaruszoną najmniejszym powiewem wiatru fryzurę. Nawet w czasie joggingu nie ma szczegółu ubrania, który wymknąłby się mu spod kontroli – przecież za drzewem może czyhać fotograf „Paris Matcha". Wizerunku prezydenta dopełnia małżonka Brigitte, od stóp do głów spowita w Louis Vuitton.

Justinowi Trudeau nie udało się zdobyć świata skarpetkami od pary – skończyło się na jednorazowym wyskoku i obleceniu światowych mediów. Prezydent Kwaśniewski zdobywał punkty, wielbicielki i głosy wyborczyń opalenizną, odchudzoną sylwetką i niebieskimi oczami. Teraz jako siwowłosy brodacz czaruje w telewizorze mądrościami starego myśliciela.

Putin, jeszcze za czasów, kiedy udzielał się publicznie, lubił epatować publikę gołą klatą i muskułami atlety. To w chwilach relaksu. A podczas publicznych wystąpień? Trudno mu było się oprzeć, żeby nie zamówić drogich ubrań w krajach znienawidzonego kapitalizmu. Jednak kurtka za 14 tys. euro i włoskie garnitury nie pomogły. Zawsze spod zachodniego stroju wyłaził kagiebesznik, który stara się wciągnąć na siebie sztuczną skórę europejskiego eleganta. Rosyjski płaszcz zrobiłby lepsze wrażenie... Chcąc nie chcąc, Putin stał się absurdalną i nieskuteczną karykaturą samego siebie i swojego kraju.

Ostatnią rewolucję ubraniową wywołał Wołodymyr Zełenski. Z wojskowych T-shirtów nie rezygnuje nawet w najbardziej oficjalnych okazjach i spotkaniach. W ten najbardziej czytelny sposób posłał w świat przekaz: jestem człowiekiem walki, żołnierzem nowoczesnej ery. Ubieram się jak wojownik, ale i jak informatycy z Doliny Krzemowej...

NIESFORNA GRZYWA

Jak w tym wszystkim mieści się jedyny w swoim rodzaju Boris Johnson? Zatrzymajmy się chwilę nad jego najbardziej rozpoznawalnym znakiem: fryzurą. Magazyn „Marie Claire" przeprowadził szczegółową analizę fryzjerskiej ewolucji Borisa, poczynając od czasów szkolnych. Na przyjęciu urodzinowym koleżanki, w roku 1985, 20-latek, przyszły premier, kokietuje lśniącą grzywą blond włosów opadających z wdziękiem na czoło. Jako student Oxfordu pod koniec lat 90. ma już fryzurę bardziej utemperowaną. Także strój: biała koszula, czarny krawat i czarny garnitur wydają się poprawne i poważne. Ale Boris nie byłby Borisem, gdyby wszystko leżało jak trzeba. W lewej klapie coś się ciągnie, „wyje" i już widać, że zdolny student nie będzie miał szans zabłysnąć na salonach jako elegant.

Z upływem lat blond fryzura rzednie i traci blask. Należy zagospodarować resztki tego, co się ma.

Gdy polityczna gwiazda Borisa zaczyna wschodzić po roku 2003, jego fryzura wchodzi w stadium lwiej grzywy czy też mopa, jak niektórzy to nazwali. Nie jest to misternie podkręcony i utwardzony lakierem lok Trumpa. To niesforny pukiel, który żyje własnym życiem i wygląda, jakby właściciel właśnie wstał z łóżka. Są jednak dobre strony: „mop" można rozczesywać dłonią na wizji – ten gest nadaje postaci sympatyczny wyraz zakłopotania i szczerości.

Tym niemniej efekty grzywy w czasie silnego wiatru bywają zaskakujące – burmistrz Londynu, którym Johnson jest już wtedy – wygląda jak punkowiec. Pełen wdzięku, to fakt.

NAJLEPSZY KOMIK ŚWIATA

Mało, że włosy. Od początku kariery politycznej, czyli od sprawowania przez Borisa Johnsona funkcji parlamentarzysty, prasa jeździ po nim jak po łysej kobyle. Prześmiewcy, złośliwcy, twórcy memów mają używanie: „szamboidalny", „błazeński", „bufon". Pogniecione marynarki, koszule wyłażące ze spodni, przekrzywione kołnierzyki. Inna sprawa, że Boris sam się krytyce nadstawia, szczególnie gdy przez nikogo niepilnowany wyrusza na jogging. Fotoreporterzy zdybali go na gorącym uczynku w londyńskim parku. Niebieskawe polo, hawajskie kąpielówki w czerwone kwiaty, na to bury polar. A na głowie – chyba po to, żeby poskromić włosy – wełniana czapka w paski, trochę jak szlafmyca. Zestaw jak pożyczony od bezdomnego albo kupiony w sklepie Armii Zbawienia…

Te wybory w przypadku wielu polityków wywołałyby kpinę albo krytykę, której skutkiem mogłoby być nawet pozbawienie stanowiska. Jednak w przypadku Borisa w jakiś sposób stały się oznakami wiarygodności, niezależności. Bo oto mamy przed sobą nie jakiegoś pospolitego angielskiego dżentelmena spętanego nakazami swojej klasy, zwykłego arywistę, ale prawdziwego angielskiego ekscentryka. W końcu ten facet, z którego wszyscy się śmieją, ma międzynarodowe korzenie, wybitnych ludzi w rodzinie – i nawet króla miał wśród przodków! Skończył Eton i Oxford, zna biegle kilka języków, nawet grekę. A że czasem wygląda jak idiota? I co z tego? Każdemu się zdarza. On nie musi się starać.

I te wszystkie – zdawałoby się – głupoty, nieudolność, niedbalstwo uczyniły Borisa Johnsona sympatycznym i bardziej ludzkim od jego poprzedników. Tony Blair, Gordon Brown, David Cameron pozowali do zdjęć wyprostowani jak świeca i zapinali górny guzik marynarki – bo tak się lepiej wygląda. Siedząc przy wywiadach, dbali, by linia ramion dobrze się prezentowała.

U Borisa wszystko płynie, wszystko się rusza. Film z premierem mocującym się z parasolem na uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej policjantów, którzy stracili życie na służbie, miał tysiące wyświetleń i rozbawił nawet niezbyt skorego do śmiechu księcia Karola, obecnie króla Karola III. „Nie mogę zrozumieć, dlaczego Boris Johnson nie figuruje jeszcze w rankingu najlepszych komików świata" – skomentował internauta.

Debatowano, czy pan premier doszedł do tego naturalnie czy też jest to wykalkulowane. W świecie, w którym wszystko jest zadekretowane, jego dobroduszne i spontaniczne lekceważenie norm ma wartość dodaną. Jako Brytyjczyk i absolwent historii Boris zapewne zdaje sobie sprawę, że ta nieudolność niesie w sobie także ładunek pozytywnych wrażeń.

I jeszcze jedno: on może sobie pozwolić na śmieszność, bo jest z elity. Jego słabość jest produktem przywileju. To ustawia przeciwników na przegranej pozycji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

Mocne uderzenie

Łukasz Zboralski

Królowa tenisa jest jedna – Iga Świątek. Właśnie to potwierdziła, po raz trzeci wygrywając w Paryżu. W czołówce są jeszcze dwie kandydatki do korony. Wszystkie trzy łączy styl, który zdominował kobiece granie. Czy zdominował na długo? I czy Iga może spać spokojnie?

FOT. CHRISTOPHE ENA/AP/EAST NEWS

Iga Świątek na Roland Garros dokonała tego, co udało się nielicznym zawodniczkom tenisowym – obroniła tytuł mistrzyni sprzed roku. Po raz trzeci (bo wygrała też w 2020 r.) odebrała puchar dla najlepszej na ziemnych kortach. O tym, jak doniosłym osiągnięciem w kobiecym tenisie jest utrzymanie paryskiego tytułu, najlepiej świadczy to, że ostatnią zawodniczką, której się to przed Igą udało, była Belgijka Justine Henin i na powtórkę jej wyczynu trzeba było czekać 16 lat. Przed nimi obrona tytułu udawała się także tylko największym gwiazdom dyscypliny – m.in. czterokrotnie Francuzce Suzanne Lenglen (to jej imię nosi dziś druga największa arena tenisowa Roland Garros), trzykrotnie Amerykance Chris Evert, dwukrotnie Jugosłowiance Monice Seles oraz Niemce Steffi Graf.

Zwycięstwo to nie przyszło łatwo. I nie chodzi tu o to, że w finałach zdarzają się łatwe mecze – do finału zawsze trafiają najlepsi w turnieju. Jednak zderzenie z Czeszką Karoliną Muchovą spowodowało, że triumf 22-letniej Polki wisiał na włosku. O ile zaczęło się od znacznej dominacji Polki i łatwo wygranego pierwszego setu 6:2, o tyle w drugim secie, gdy wszystko wydawało się już prawie jasne przy stanie 3:0 dla Polki, wszystko zaczęło się sypać. Iga przegrywała gem za gemem. Przegrała drugiego seta i była w opałach w trzecim secie, przegrywając 0:2. Można powiedzieć, że swoje zwycięstwo najbardziej zawdzięczała silnej psychice w końcówce, bo to tam Muchova, a nie Polka, popełniła trzy błędy i zaprzepaściła całą pogoń.

Ten mecz – a także wcześniejsze, półfinałowe trudne starcie z Brazylijką Beatriz Haddad Maią – każą stawiać jednak kilka pytań. Najważniejsze z nich brzmi: Czy siłowy, szybki, mocny styl gry czołówki kobiecego tenisa, który chyba najlepiej opanowała Polka, naprawdę jest w stanie zamurować dostęp do najwyższych podiów? Drugie pytanie: Czy Iga, będąca postacią w tenisie niezwykłą, może dłużej utrzymać się na szczycie, będąc niejako pozbawiona części tenisowych zagrań – niegrająca dropshotów, mająca kłopot z pierwszym podaniem i często gubiąca się przy grze pod siatką?

SIŁA I ROZUM

Patrząc zarówno na wyniki Świątek, jak i czołówkę rankingu, trudno nie uznać, że team Polki podąża ścieżką, która prowadzi do sukcesów. Arsenał pozwalający wygrywać wygląda dziś tak: dobrze rotowany forehand (który wzorem Nadala idealnie sprawdza się zwłaszcza na ceglanym korcie), bardzo mocne uderzenia z końcowej linii, otwierające w końcu pole do ostatecznego ciosu po prostej lub po crossie, niezwykle dobre przygotowanie fizyczne, pozwalające znajdować się zawsze w odpowiednim miejscu i dobiegać do prawie każdego zagrania przeciwniczki. Oczywiście do tego wszystkiego należy dopowiedzieć też coś być możne najtrudniejszego do wytrenowania – umiejętność czytania gry, intuicję, która pozwala błyskawicznie rozpoznawać, co za chwilę wydarzy się na korcie i gdzie należy być. To decyzje podejmowane w ułamkach sekund.

Ta recepta na sukces w dzisiejszym kobiecym tenisie znajduje szersze potwierdzenie niż wyłącznie w wynikach Igi Świątek. Wystarczy rzut oka na aktualną najlepszą trójkę rankingu WTA. Zaraz za numerem jeden (Polka ma obecnie 17 rozegranych turniejów i 8940 punktów) są dwie zawodniczki, które grają w pewien sposób podobnie stylowo – agresywnie,

eprasa.pl 9223c44521

mocno, próbując narzucić przeciwniczce swoje warunki.

Dzisiejszym numerem dwa w kobiecym tenisie jest Aryna Sabalenka (8012 punktów). Mierząca 182 cm Białorusinka jest tylko o cztery centymetry wyższa od Polki, a na kortach wydaje się gigantycznie atletyczna. Nie znalazła się na miejscu drugim przypadkiem. Ona także próbuje zdominować inne i wdrapać się na szczyt. I to ona najbardziej zagraża dziś Polce. Dobrze widać to po innym rankingu – WTA Race, czyli tym ujmującym tegoroczne punkty i zwycięstwa. Sabalenka jest tu numerem jeden. I to przy mniejszej liczbie rozegranych turniejów od drugiej w takim zestawieniu Świątek i trzeciej – Jeleny Rybakiny.

Sabalenka oznacza dla Igi zawsze kłopoty na korcie. W ostatnim czasie oddawały sobie ciosy. Najpierw spotkały się w finale w kwietniu na kortach w Stuttgarcie. Wówczas zwyciężyła Świątek, a Białorusince trudno było powstrzymać łzy. Widać było, jakim pragnieniem są pokonywanie Polki i próba zajęcia jej miejsca. Sabalenka zdobyła się nawet na żart, który odebrano jako niezbyt smaczny – schodząc z kortu z nagrodą za drugie miejsce, przy samochodzie będącym nagrodą dla Igi imitowała chuligański ruch, sugerując, że chce uszkodzić auto. Miesiąc później znów obie stanęły naprzeciw siebie w finale. Znów najlepsze. Tym razem w Madrycie to Sabalenka była górą. Choć po drodze straciła w meczu jednego seta. Poza tymi meczami Polka i 25-letnia Białorusinka stawały naprzeciw siebie jeszcze sześć razy od 2021 r. Pięć razy zwyciężała Świątek – w tym także poprzedni turniej w Stuttgarcie (dlatego tegoroczna porażka Arynę bolała podwójnie).

Między paniami istnieje zresztą jeszcze innego rodzaju napięcie, choć zapewne w przypadku ich profesjonalizmu jest ono bardziej zewnętrzne. Iga Świątek od początku rosyjskiej napaści na Ukrainę występuje z przypiętą do czapki flagą Ukrainy i wciąż wyraża wsparcie dla zaatakowanych ludzi. Sabalenka unikała osobistego opowiedzenia się przeciw wojnie, w której jej kraj Rosji dopomaga. Doszło nawet do tego, że po pytaniach ukraińskiej dziennikarki odwoływała konferencje prasowe podczas Roland Garros. Najmocniej jednak w kozi róg zapędził ją polski dziennikarz – Łukasz Senkowski ze Sport.pl, który na jej twierdzenia, że należy rozdzielać sport i politykę, zapytał, dlaczego nie rozdzielała tego wcześniej i widnieje na wielu wspólnych zdjęciach z Aleksandrem Łukaszenką. Dopiero wtedy odparła: „Nie wspieram wojny. Nie chcę, by mój kraj był zaangażowany w wojnę".

W tym roku jednak największą zmorą Polki wydaje się trzecia z grających agresywnie i mocno kobiet – Rosjanka, która wybrała kazachskie obywatelstwo, czyli tylko rok starsza od naszej zawodniczki Jelena Rybakina. W tym sezonie trzykrotnie już pokonała Igę Świątek, tak jakby miała na nią sposób. To przez nią Polka odpadła w czwartej rundzie Australian Open. Kazaszka odprawiła też naszą zawodniczkę w półfinale turnieju WTA 1000 BNP Paribas Open 2023 w Indian Wells. To ona stanęła na drodze Świątek do obrony tytułu w Rzymie – tam jednak Polka poddała mecz z powodu kontuzji uda.

Trójkę najlepszych dziś na świecie tenisistek zamyka Kazaszka – Jelena Rybakina FOT. ROLANDGARROS.COM

Aryna Sabalenka to dziś numer dwa na świecie. W rankingu za ten rok (WTA Race) jest nawet lepsza od Igi FOT. ROLANDGARROS.COM

Rybakina wycofała się z Roland Garros już w 1/16 turnieju. Przyszła na konferencję zachrypnięta i wyznała dziennikarzom, że ma gorączkę i nie tyle trudno jej biegać, ile nawet oddychać. Jednak niebawem (bo już 3–17 lipca) rozpocznie się turniej Wimbledon. A to ten turniej wygrała w ubiegłym roku.

CZY WSZECHSTRONNOŚĆ MA SZANSE?

Siła, pewnego rodzaju atletyczność i styl przypominający bardziej męską grę zostały jednak wyraźnie podważone przez ostatnie dokonanie Muchovej w Paryżu, która najpierw wyeliminowała Sabalenkę, a potem o mały włos nie pokonała w finale Świątek. Niespodziewanie receptą na grające mocno i szybko agresywne zawodniczki okazały się zmienianie tempa uderzeń, urozmaicanie gry, uciekanie z silnych wymian w stronę skrótów za siatkę.

Otwarte pozostaje pytanie, czy Muchova – która awansowała na 16. pozycję w rankingu WTA, a w tegorocznych wynikach WTA Race jest już na piątym miejscu – będzie umiała udowodnić, że jej sposób na grę prowadzi do wygranych. I czy inne zawodniczki będą w stanie to powtarzać. Z jednej strony – i to jest dobra wiadomość dla czołowej trójki – wydaje się, że „męskie granie" już od czasów Sereny Williams wydawało się nie do rozbrojenia przez inaczej grające kobiety. Dziś widać, jak mało do powiedzenia na korcie np. z Igą Świątek ma ogłaszana wcześniej jako nadzieja tenisa Coco Gauff.

Z drugiej strony – silne i agresywne zawodniczki, takie jak Tunezyjka Ons Jauber czy Greczynka Maria Sakkari, zaczęły w tym sezonie delikatnie odstawać od ścisłej czołówki, choć wciąż mieszczą się w pierwszej dziesiątce najlepszych pań.

Ostatecznie – jak mówią najzagorzalsi kibice Igi Świątek – nie liczą się słabe strony, liczy się to, że mimo swoich słabych stron, a przecież ma je każdy zawodnik, Polka potrafi coś najważniejszego: wygrywać. I to Iga Świątek została zaproszona, by jako gość wygłosić motywacyjne przemówienie dla młodych tenisistów podczas zakończenia roku szkolnego w Akademii Rafaela Nadala na Majorce. – Inspirujesz tych młodych ludzi – powiedział jej „Rafa".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9223c44521

JEEP AVENGER

Na polskie ulice wyjechały już pierwsze egzemplarze Avengera, a więc najmniejszego przedstawiciela amerykańskiej marki. Produkowany w fabryce w Tychach najmłodszy i najmniejszy jeep w historii marki ma spore szanse, aby podbić serca wielu kierowców, bo występuje zarówno w wersji całkowicie elektrycznej, jak i benzynowej.

SUV segmentu B mierzy zaledwie 4,08 m długości. Mimo to projektantom udało się zachować w wyglądzie DNA ze starszych i większych jeepów (np. klasyczny grill). I muszę przyznać, że zrobili to na tyle dobrze, że właśnie „polski" jeep może się już pochwalić tytułem Car of the Year 2023.

Miłośnicy marki muszą pamiętać, że najmniejszy jeep jest autem stworzonym raczej z myślą o miejskiej dżungli niż o bezdrożach, choć marketingowcy bardzo mocno podkreślają, że dzięki wysokiemu prześwitowi (20 cm) oraz niezłym kątom natarcia oraz zejścia (20 stopni) avenger jest w stanie podjechać nie tylko pod wysoki krawężnik. Wyjeżdżając w teren, warto trzymać się choćby polnych dróg, bo „miejska terenówka" ma napęd tylko na przednie koła. Producent chwali się również, że najnowszy jeep poza trybami normalnym, ekonomicznym czy sportowym oferuje również specjalne tryby ułatwiające jazdę w błocie, na piasku czy w śniegu (ten ostatni zimą może się sprawdzić również w mieście). Manewry w ciasnych uliczkach ułatwi też wynoszący zaledwie 10,5 m promień skrętu.

Na krótki test wybraliśmy wersję elektryczną. W schludnej, dość plastikowej kabinie króluje ekran systemu multimedialnego o przekątnej 10,25 cala. Drugi ekran znajduje się za kierownicą, a jego wielkość zależy od wybranej wersji wyposażenia i waha się od 7 do 10,25 cala. Na pochwałę zasługuje m.in. jakość obrazu z zestawu kamer 360 stopni.

Wewnątrz miejsca z przodu jest zaskakująco dużo. Z tyłu jest już ciasnawo. Miejsca nad głową jest co prawda wystarczająco, ale przestrzeni na nogi mocno brakuje. W miarę wygodnie avengerem może podróżować dwoje dorosłych z psem lub kotem (na upartego trzej dorośli, ale po dłuższej jeździe jeden z nich dostanie kota). W elektrycznej wersji cieszą też duże schowki, których łączna pojemność wynosi według producenta 34 l. Wielkość szerokiego i ustawnego kufra wynosi 380 l.

Producent deklaruje, że zasięg na jednym ładowaniu może wynieść do 400 km, i częściowe zużycie podczas jazdy testowej zdaje się te deklaracje potwierdzać. Auto na razie testowałem jednak zbyt krótko, aby podać wiarygodne dane o zużyciu energii. Avenger pewnie się prowadzi, a od zera do setki przyspiesza w 9 s. Asfaltu nie urywa, ale w miejskiej dżungli daje radę. Również układ kierowniczy robi dobre wrażenie.

Za „jeepka" w elektrycznej wersji trzeba zapłacić 185,7 tys. zł w podstawowym wariancie i 210,4 tys. w testowej, najlepiej wyposażonej opcji Summit. Ostateczny koszt można zmniejszyć, korzystając z rządowej dopłaty. Z kolei avengera w podstawowej wersji spalinowej można kupić za 99,9 tys. zł. Dlatego i ten model niebawem przetestujemy. ©℗

SŁUCHAWKI JABRA ELITE 5

Świetna jakość rozmów telefonicznych, niezły dźwięk podczas słuchania muzyki, obsługa kodeków SBC, AAC oraz aptX, długi czas pracy na jednym ładowaniu, a także kompaktowy i komfortowy design – to największe plusy słuchawek dousznych duńskiej firmy Jabra.

Podobnie jak dziesiątki innych modeli Jabry wzornictwo zarówno etui, jak i słuchawek jest utrzymane w typowo skandynawskim stylu. Pozbawione zbędnych zdobień lekkie słuchawki (każda pchełka waży 5 g) leżą w uchu komfortowo i pewnie, dzięki czemu nadają się również do biegania po leśnych ścieżkach czy wyciskania sztang na siłowni. Etui ładujące, które pełni jednocześnie funkcję powerbanku, który systematycznie doładowuje nieużywane akurat „pchełki", waży 40 g.

Testowany model bardzo dobrze się sprawdza w rozmowach telefonicznych. Jakość dźwięku w tej półce cenowej jest świetna. Oczywiście „pchełki" Jabry nadają się także do słuchania muzyki. Grają bowiem poprawnie, choć audiofile powinni poszukać czegoś znacznie droższego. Nieco pomarudzić mogą też miłośnicy bardzo mięsistego basu – tu jednak rozwiązaniem jest opcja „bass boost" w aplikacji Sound+. Osoby szukające w miarę neutralnego brzmienia lub wyeksponowanych średnich tonów powinny być zadowolone z brzmienia. Scena muzyczna jest szeroka, a słuchawki do własnego gustu można w pewnym zakresie dostosować w darmowej aplikacji. Na pochwałę zasługuje wsparcie dla kodeków aptX, AAC oraz SBC. Plusem Elite 5 jest również multipoint, czyli funkcja, która pozwala jednocześnie sparować słuchawki z dwoma urządzeniami (np. z komputerem i ze smartfonem).

Zaletą tego modelu jest też czas działania na jednym ładowaniu. Z włączonym systemem aktywnego tłumienia hałasu (ANC) słuchawki powinny działać przez niemal siedem godzin. Bez niego czas działania wydłuża się o mniej więcej dwie godziny. Z etui powerbankiem czas ten można wydłużyć odpowiednio do ponad 27 godzin oraz 35–36 godzin. Nieźle.

Minusy? Aktywna redukcja hałasu działa, ale w tej półce cenowej mogłaby być jednak lepsza. Stopień odporności tych słuchawek został określony jako IP55, są więc one jedynie częściowo odporne na wodę, choć np. bieganie w deszczu powinny spokojnie przetrwać.

Mimo drobnych wad stosunek ceny do jakości tych słuchawek wypada dobrze. Za testowany model trzeba zapłacić 499 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X2)

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 9223c44521

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Białe kwiaty bzu

W czerwcu, kiedy krzewy czarnego bzu pokrywają się baldachami białych lub kremowych kwiatów, wszędzie pachnie zniewalająco słodko. To jedyny czas w roku, aby przygotować najlepszy eliksir prozdrowotny, który znany jest od wieków. Aż szkoda nie wykorzystać takiego skarbu natury.

Syrop z kwiatów czarnego bzu, po pierwsze, smakuje obłędnie zarówno latem na zimno, jak i na ciepło zimową porą, jest bogactwem składników posiadających właściwości zdrowotne, wzmacnia organizm i jest lekiem przeciwwirusowym. Po drugie, kwiaty zawierają kwasy organiczne, sole mineralne, flawonoidy, garbniki i olejki eteryczne, a owoce są bogate w witaminy A, B, C, żelazo, wapń, fosfor, a także w pektyny. Suszony kwiat bzu łagodzi stany gorączkowe, działa wykrztuśnie i napotnie, dlatego polecany jest przy infekcjach dróg oddechowych. Czarny bez ma też działanie oczyszczające, regulujące pracę układu trawiennego oraz nerek. Bez czarny, w związku z bogactwem zawartych w nim witamin i antocyjanów, wpływa korzystnie na oczy.

Krzewy czarnego bzu, zwanego też dzikim, porastają pobocza dróg i łąki, są niemal wszędzie. Przy okazji czerwcowych spacerów można zapuścić się gdzieś dalej od dróg, spalin oraz kurzu i nazrywać kwiatów.

Jak je przerobić?

Syrop z kwiatów czarnego bzu

• ok. 30 sztuk kwiatostanów dojrzałych i rozwiniętych • 1,5 litra wody • 10 sztuk cytryn • 2 kg cukru

Kwiaty zaraz po zebraniu odstawiamy w suche miejsce, tak aby wszystkie robaczki miały szanse opuścić kwiatostan. Odcinamy same kwiaty, cytryny kroimy w plasterki, wodę zagotowujemy, wsypujemy cukier, doprowadzamy do wrzenia. Kwiaty umieszczamy w dużym garnku razem z cytrynami i zalewamy gorącym syropem cukrowym. Odstawiamy w chłodne miejsce na min. 12 godzin. Po tym czasie przecedzamy, podgrzewamy i gorący syrop przelewamy do wyparzonych butelek. Konserwujemy w piekarniku lub w garnku, tak jak zwykłe weki.

Kwiaty bzu w cieście

Oprócz syropu ogromną popularnością cieszą się, szczególnie we Włoszech, kwiaty w cieście naleśnikowym. Polecane na deser, dodatkowo posypane cukrem pudrem smakują wyśmienicie.

• 8–10 kwiatów czarnego bzu • ciasto naleśnikowe • 160 g mąki pszennej • 2 jajka, rozmiar L, o temperaturze pokojowej • szczypta soli, 1 łyżeczka cukru • 250 ml mleka • ½ łyżeczki proszku do pieczenia • ¼ szklanki oleju do smażenia

Składniki na ciasto dokładnie mieszamy rózgą do jednolitej konsystencji.

Na patelni rozgrzewamy olej, kwiaty delikatnie obtaczamy w cieście naleśnikowym i smażymy na dobrze rozgrzanym oleju, z każdej strony, przez ok. 1,5 minuty – nie dłużej – aby ich nie spalić. Odstawiamy na osobny talerz, posypujemy cukrem pudrem. ©℗

FOT. ADOBE STOCK (X2)

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Binge żarcie

Słowo „binge" zaczynało karierę parę lat temu, gdy platformy streamingowe uruchomiły zwyczaj kompulsywnego pochłaniania kilkunastu odcinków seriali jednym cięgiem. W trybie binge można także jeść. Pewnie każdy zna kogoś, kto buszuje w nocy w lodówce, po czym dokładnie zaciera ślady swego procederu. Czy to zwykłe obżarstwo, nałóg czy kolejna psychosomatyczna dolegliwość współczesnej cywilizacji, produkującej frustracje i dostarczającej nadmiaru taniego jedzenia? Oto jest pytanie.

Próbując na nie odpowiedzieć, nowemu problemowi artykuł poświęca dziennik „New York Times". BED (binge eating disorder) zdiagnozowano 10 lat temu. Przez ten cały czas eksperci usiłują rozgryźć tę dolegliwość. Co ją powoduje? Genetyka, traumy z dzieciństwa, molestowanie seksualne? Zasięgnijmy głosu ekspertów. Oni wiedzą wszystko, a „New York Times" zawsze konsultuje się z najlepszymi. Głos zabierają zatem: Kelly Allison, dyrektorka Centrum Wagi i Zaburzeń Odżywiania na Uniwersytecie Pensylwanii, Andrea Vazzana, psycholog kliniczny w Centrum Medycznym Langone Uniwersytetu Nowojorskiego, dr Holly Peek, asystentka medyczna w Centrum Zaburzeń Odżywiania szpitala McLean w Massachusetts. Jednoznacznej odpowiedzi jednak eksperci nie znajdują.

Za to pod artykułem prawie tysiąc komentarzy. Znak, że tekst poruszył delikatną strunę amerykańskiego organizmu społecznego. Czytelnicy wiedzą lepiej i opisują własne doświadczenia. Nocne podróże po McDrive'ach z objeżdżaniem kilkunastu i pochłanianiem kolejnych porcji hamburgerów i frytek. Wpadanie w ciąg jedzeniowy trwający kilka godzin. „Binge to rezultat diety obfitującej w uzależniające cukry, węglowodany i tłuszcze" – pisze ktoś. Kto inny wysuwa teorię, że BED jest wynikiem ewolucyjnego zabezpieczania się przed głodem. „Połowa Amerykanów jest na dietach, druga połowa jest otyła. To właśnie diety powodują rozchwianie równowagi hormonalnej" – pisze jakiś biolog.

Staram się zrozumieć nowe gałęzie współczesnej antropologii: fat shaming, binge eating. Ale najbardziej przekonuje mnie jeden z komentarzy, tzw. zdroworozsądkowy.

„Zabawne są te wszystkie wymówki mające na celu wytłumaczyć genetyką i wszystkim, co się da, naszą epidemię otyłości. 70 proc. Amerykanów ma nadwagę lub otyłość! Tak nie było pół wieku temu!".

Żryj połowę, jednym słowem. Może tu jest odpowiedź. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Arianin spod piramidy

Z czasów dawnej Rzeczypospolitej poza zamkami, pałacami i dworami zachowały się także... piramidy, będące grobowcami arian polskich, których jako innowierców nie składano do grobu na katolickich cmentarzach. Wzniesione w odludnych miejscach, z dala od kościołów i nekropolii, stanowią osobliwą pamiątkę i często mylone są z pomnikami poświęconymi wydarzeniom historycznym; lud przez całe wieki przydawał im magicznego znaczenia i tworzył zadziwiające legendy związane z ich powstaniem.

Najsławniejsza piramida ariańska znajduje się w miejscowości Krynica na Lubelszczyźnie, na wzniesieniu zwanym Górą Ariańską, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Krasnymstawem a Rejowcem. Obiekt znajduje się w gęstym lesie i aby go znaleźć, należy po prostu zjechać z drogi wojewódzkiej 812 na Krynicę i szukać go przed kolejnym zakrętem do wsi. W pobliżu można zwiedzać też malownicze ruiny zamku w Krupem.

Piramida ma ok. 20 m wysokości, od południa znajduje się w niej wejście do mauzoleum, a od wschodu – do krypty; w każdej ze ścian przebito okrągłe okienka. Niestety, zabytek został poważnie uszkodzony przez artylerię w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej, kryptę zasypał gruz, a niektóre zdobienia budowli nie przetrwały nawałnicy. Piramida jest miejscem spoczynku Pawła Orzechowskiego herbu Rogala, marszałka Sejmu z 1590 r., podkomorzego chełmskiego i starosty suraskiego, protektora i opiekuna braci polskich zwanych arianami. Postaci nietuzinkowej – elektora i stronnika dwóch królów: Stefana Batorego

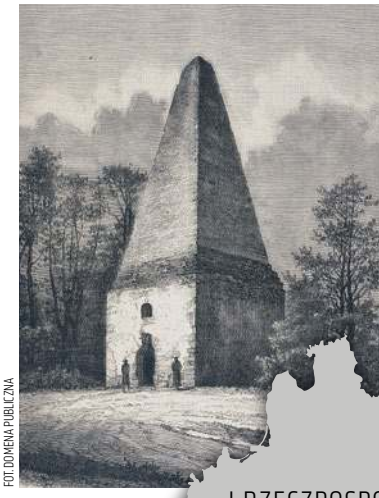

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. MART

i Zygmunta III Wazy. Był to zawzięty wróg Habsburgów, do tego stopnia, że kiedy ostatni z wymienionych władców rozpoczął zbliżenie z nimi, Orzechowski przeszedł do obozu przeciwników króla, uczestnicząc w 1606 r. w zjeździe rokoszowym. Ten wielki posesjonat, właściciel Bełżyc i dwóch innych miast, kilkunastu wsi i innych dóbr na Lubelszczyźnie, zmarł w roku 1612 i prawdopodobnie został pochowany w monumencie w Krynicy.

Kolejna piramida ariańska przetrwała dość daleko, bo aż pod Beresteczkiem na Ukrainie. Jest bardzo podobna do tej spod Krynicy i często brana za pomnik sławnej bitwy z Kozakami w 1651 r.; ponoć modlił się tutaj król Jan Kazimierz, a w 1787 r. mauzoleum odwiedził Stanislaw August. Tymczasem piramida jest kolejnym grobowcem arianina – księcia Aleksandra Prońskiego, kasztelana trockiego – wzniesionym ok. 1631 r.

Książę Proński był synem Fryderyka, wojewody kijowskiego; urodził się w 1550 r., w młodości przeszedł na kalwinizm, potem został arianinem. Brał udział w poselstwie udającym się w 1573 r. do Francji po króla Henryka Walezego, podobnie jak Orzechowski poparł później Stefana Batorego. Jednak w 1587 r. opowiedział się za kandydatem Habsburgów i był później przetrzymywany na zamku w Krasnymstawie, podobnie jak sam książę Maksymilian. Ostatecznie pogodził się z hetmanem Janem Zamoyskim i został uwolniony. Zmarł prawdopodobnie w 1595 r., a data jego rzekomej śmierci wymieniona na tablicy piramidy – rok 1631 – jest nieprawdziwa, to raczej rok budowy obelisku.

W Polsce zachowało się jeszcze kilka nagrobków w kształcie piramidy, ale są one znacznie późniejsze. W Łaziskach nieopodal Wągrowca znajduje się grób Franciszka Łakińskiego, oficera wojsk napoleońskich, który umarł w 1845 r. W Międzybrodziu pod Sanokiem ocalał grobowiec rodziny Kulczyckich w formie piramidy; powstał on jednak w 1936 r., zapewne z pomysłu prof. Jerzego Kulczyckiego, archeologa i egiptologa. Z kolei piramida w Rapie na Mazurach zbudowana została na przełomie XVIII i XIX w. jako grobowiec pruskiego rodu von Fahrenheid. Z kolei w Rożnowie pod Kluczborkiem na Śląsku przetrwał kolejny monument w kształcie piramidy. Jest to grób rodziny von Eben zbudowany w 1780 r. przez Carla Gottharda Langhansa, twórcę Bramy Brandenburskiej w Berlinie. Niestety, w 1945 r. został zbezczeszczony przez Sowietów szukających skarbów i dziś jest mocno zniszczony. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Zuckerberg i medycy

Mark Zuckerberg, szef Facebooka, wyjawił w wywiadzie w serwisie Lex Fridman Podcast, że jego weryfikatorzy faktów wycinali z sieci informacje, które okazały się później prawdziwe. Oświadczenie to zaszokowało publiczność, zwłaszcza tę jej część, która wierzyła takim factcheckerom. Mediaworkerzy bowiem powoływali się zawsze na dane naukowe, które przeczyły banowanym później tezom. To bardzo ciekawe oświadczenie, bo z niego wynika o wiele więcej niż to, że weryfikatorzy się mylili.

Pytanie: Skąd się pojawili factcheckerzy? Przecież jest już jasne, że walkę z „dezinformacją covidową" zasponsorowały do spółki Big Pharma i władze państwowe. A więc rządy zlecały cenzurę po to, by w jednolitej z Big Pharmą narracji nie pojawiła się wątpiąca rysa. Ten deal był podstawą modelu biznesowego wielu mediów, a już dla mediów społecznościowych był drukarnią pieniędzy. Nie dość, że zarabiali na panikarskich zasięgach, to dostawali jeszcze kasę za cenzurę.

Warto o tym pamiętać, że istnieją dwa różne podejścia do prawdy w mediach – zabawa w demiurga, który decyduje, co dotrze do oczu/uszu odbiorcy, co dla niego jest dobre i ma być prawdziwe, i druga opcja – dajemy wszystko, jak leci, i niech odbiorca rozsądzi, a nie my za niego.

To też jest ważne w przypadku… procesów wytoczonych medykom przez polskie izby lekarskie. Obok kuriozalnych zarzutów, że samo wezwanie do debaty (okazało się, że na tematy covidowych dogmatów dziś zdemaskowanych) stanowi delikt podważenia zaufania do przyjętych procedur, zostaje jeszcze jedno. W pozwach wobec medyków wyklętych głównym argumentem jest teza, że wyznawali oni poglądy rozbieżne w stosunku do aktualnej wiedzy medycznej. Warto więc tym kapturowym instytucjom podsunąć teraz pod nos przypadek Zuckerberga. Ten też był rozgrzany w tropieniu (za pieniądze) grzeszników wobec aktualnego stanu wiedzy. I teraz chociaż przeprosił, bo ta się zmieniła. To co teraz zrobią najmici z sądów lekarskich? Przecież oczywista jest prawda, o czym zapomniało w COVID gros medyków, że nauka tylko dlatego się rozwija, bo nie ma żadnych sum wiedzy na dany moment, poza którą istnieje już tylko piekło naukowych herezji.

Nauka sama siebie kwestionuje, inaczej byłaby tylko zbiorem zdezaktualizowanych prawd, wykutym w kamieniu ignorancji. I tak samo jest z mediami, które – jak widać – dzisiaj złapały się same w złotą pułapkę sterowania informacją, zamiast wrócić do swych źródeł, jakimi było stworzenie obszaru do dyskusji różnych opcji. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Lex Niedzielski

Śmierć ciężarnej kobiety w Nowym Targu, spowodowana według wszelkich dostępnych informacji wskutek nieudzielenia jej koniecznych świadczeń medycznych mogących uratować jej życie, jest wydarzeniem tragicznym. Domaganie się rzetelnego wyjaśnienia tego dramatu jest ze wszech miar uzasadnione. Natomiast używanie osoby zmarłej jak tarana do rozmontowania prawa chroniącego życie dzieci, u których niepełnosprawność rozpoznano w okresie prenatalnym, czyli do realizacji partykularnego interesu politycznego, jest – mówiąc delikatnie – oszustwem. Zagotowało się na lewicy. Media obsługujące obóz opozycji nakręcają uliczne protesty. Nieszczęsnej zmarłej nikt nie pytał, czy chce być ikoną zadym organizowanych przez Martę Lempart i ruch „Wyp……ć".

I choć cała ta awantura oparta jest na kłamstwie, to jednak mnie już nie dziwi. Ot, kolejna obrzydliwa hucpa, z jaką mamy do czynienia. Kłamstwo i manipulacja emocjami zawsze były narzędziem marksistów, więc nic dziwnego, że i teraz, mając dodatkowo ogromne medialne wsparcie, radykalne aborcyjne środowiska sięgają do sprawdzonych metod. Nowością jest wykorzystanie śmierci pani Doroty przez szefa resortu zdrowia Niedzielskiego. Okazuje się, że urzędnik reprezentujący instytucje państwa, na fali medialnego wzmożenia, podczas konferencji prasowej ogłasza, że na „jego prośbę […] zostało »doprecyzowane« prawo kobiet do przerwania ciąży". A dalej już sam „doprecyzowuje", mówiąc, że warunkiem jest zagrożenie życia lub zdrowia (UWAGA!) również psychicznego. A więc należy rozumieć, że od dziś każda kobieta zgłaszająca się z zaświadczeniem, że odmowa aborcji może spowodować pogorszenie jej zdrowia psychicznego, według tych „wytycznych Niedzielskiego" będzie mogła legalnie przerwać ciążę.

Znowu jest tak, że wrzask radykalnej aborcyjnej lewicy sprawia, iż gość reprezentujący instytucje państwa wyskakuje i usłużnie coś tam obiecuje. Tym razem zapowiada takie rozszczelnienie prawa, które może uczynić ustawę o ochronie życia (nomen omen) martwą. Ale tym, co w tym kontekście jest najbardziej ponure, jest to, że Niedzielski, który współuczestniczył w sparaliżowaniu systemu ochrony zdrowia, co przyczyniło się do 200 tys. nadmiarowych zgonów, dziś grając rolę czułego i troskliwego ministra zdrowia, zapowiada powołanie zespołu, zbadanie, wyjaśnienie, doprecyzowanie itp. Przypomnę więc, że wielu z tych 200 tys. pacjentów zmarło najprawdopodobniej z tego samego powodu co pani Dorota z Bochni. Przyczyną śmierci było nieudzielenie świadczeń medycznych mogących uratować im życie. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Będę siedział

Anka dzwoniła. Stop. Albo nie dzwoniła, nie wiadomo, lecz istnieje podejrzenie. Stop. No, bo Radek został ukazany w niekorzystnym reflektorze. Stop. Znaczy w tym filmie „Reset" Rachonia i Cenckiewicza tak został zaprezentowany. Stop. Dokument jest generalnie o merdaniu ogonkami przed Ruskimi i pokazano w nim m.in. takie papiery przygotowane dla Sikorskiego przez ministerstwo zagraniczne, którym rządził, na spotkanie z Ławrowem, że car Aleksander I był bardzo w porzo, a Polacy razem z Rosjanami walczyli z Hitlerem. Stop. Ani słowa, że Rosjanie walczyli razem z Hitlerem przeciw Polakom, Katyń, sowiecka okupacja i tak dalej. Stop. Takie tam, ogonkiem. Stop. Ale nie o tym, nie o tym. Stop. Występujący w filmie brytyjski dziennikarz Edward Lucas po premierze filmu zażądał usunięcia swoich wypowiedzi, z których się nie wycofał, ale zażądał. Stop. Naprawdę wesolutko zrobiło się, kiedy ten Lucas z Londynu przyznał, że filmu nie widział, ale wie, że chce usunąć swoje wypowiedzi. Stop. No i Anka, osobista żona Radka, zna tego Edwarda i zaistniało podejrzenie, że telefonowane było ku niemu w celu odcięcia się właśnie. Stop. Wesolutko. Stop. Jak było, wysoki sądzie, to ja nie wiem, nie widziałem, nie słyszałem, na siłowni byłem, proszę o uniewinnienie. Stop. Aaa, dodam jeszcze, że mecenas Giertych uznał, że film dużo dobrego zrobił dla Sikorskiego i zewsząd spływają gratulacje. Stop. Na to nie mam komentarza.

Reżim muzyczny zrobił wbrew Wojciechowi Mannowi, który jeszcze przed festiwalem w Opolu sugerował wyraźnie, że byłoby lepiej, żeby ten festiwal się nie odbył, a na złość się odbył. Stop. Widziałem, że sporo ludzi w tym Opolu cieszyło się wbrew Mannowi, bardzo niepostępowo się tak cieszyć. Stop. Justyna Steczkowska wystąpiła w takiej koszuli z napisem z tyłu „Myśl samodzielnie" i okazało się, że to manifest polityczny. Stop. Dziwne, bo to raczej hasło, które wszystkich powinno łączyć. Stop. Niemniej Justynę za napis, co ciekawe, skrytykowali wszyscy. Stop. Antyreżimowcy zarzucili jej, że w ogóle wystąpiła w Opolu, a nie można, bo Opole jest reżimowe. Stop. W sumie dziwne, bo śpiewała piosenkę Ciechowskiego, a on od polityki raczej utrzymywał dystans. Stop. Cóż, jeszcze się śpiewak nie narodził, który by wszystkim zaśpiewał. Stop.

Na razie nie zostanę pewnie aresztowany za zdziwienie, ale w niedalekiej przyszłości na pewno. Stop. Dziwi mnie, że w czerwcu są bardzo dumni ludzie, którzy mają określone orientacje seksualne. Stop. Wydawało mi się, że dumny mogę być z osiągnięć, wysiłku, poświęcenia. Ale żeby z orientacji? Stop. Będę siedział. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

KPO bez znaczenia

Ciekawe różnice zdań pojawiły się w łonie kierownictwa obozu rządzącego. Prezes Narodowego Banku Polskiego, prof. Adam Glapiński, oświadczył niedawno, że pieniądze, które Polska mogłaby pozyskać z Unii Europejskiej w ramach Krajowego Planu Odbudowy, „nie mają żadnego znaczenia". Ich wpływ na wyniki ekonomiczne Polski miałby być, zdaniem prof. Glapińskiego, „niezauważalny". Stoi to w dotkliwej sprzeczności z wygłaszanymi gromko oświadczeniami premiera Mateusza Morawieckiego, rozreklamowanymi szeroko w kampanii pod chwytliwym hasłem „Liczy się Polska". Kampania ta finansowana była ze środków publicznych i kosztowała polskiego podatnika ok. 10 mln zł. Mowa w niej była o „historycznym sukcesie negocjacyjnym", „770 mld zł dla Polski" i „niepowtarzalnej szansie na odbudowę kraju".

Chwalenie się sukcesami nie jest samo w sobie niczym nagannym. „Tylko lumpy są skromne" – zwykł był mawiać, w epoce swoich sukcesów, znany reżyser teatralny Adam Hanuszkiewicz. Premier Mateusz Morawiecki miał prawo porównywać w przemówieniu sejmowym środki mające spłynąć z KPO z nowym planem Marshalla, jako że porównywać można wszystko ze wszystkim. Cieszyć się też należy z ujawniającej się otwarcie różnicy zdań. W dobrze funkcjonującym, zdrowym życiu społecznym pożądane są spontaniczne dyskusje i spory pomiędzy najwyższymi autorytetami publicznymi. Dowodzą one, że władze nie boją się żywej debaty, a przed traktowanym poważnie i po partnersku społeczeństwem nie ukrywa się rozbieżnych opinii i diagnoz. „Niech rozkwita sto kwiatów, niech współzawodniczy sto szkół" – zachęcał przed laty popularny w swoim kraju przywódca.

Tym bardziej raniące i niesprawiedliwe są wygłaszane przez malkontentów sądy, jakoby za wypowiedzią prof. Adama Glapińskiego stać miała niska chęć przypodobania się premierowi, którego zdanie w sprawie Krajowego Programu Odbudowy przechodzi ostatnio niejaką ewolucję. Interpretacji takiej nie da się w żaden sposób obronić. Poglądy naszego premiera zmieniają się tak diametralnie i często, że podzielając je, z konieczności też się im przeczy. Prezes Narodowego Banku Polskiego jest osobą zbyt doświadczoną w polityce, by z tej prawidłowości nie zdawać sobie sprawy. Wie on zapewne świetnie, że najlepszy dziś sposób na wyrażenie solidarności z premierem polega jedynie na gromkim pokrzykiwaniu: „Precz z Tuskiem!". Choć nawet w takim okrzyku kryć się może pewna niezamierzona niezręczność. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Inteligencja czy mądrość?

Obserwując kryzys współczesnej humanistyki, warto się zastanowić nad tym, jaka jest różnica między inteligencją i mądrością. Te dwa pojęcia są ciągle mylone przez utożsamienie. Nawet duży zasób wiedzy nie gwarantuje bowiem wyborów słusznych i przynoszących dobre skutki. Widzimy to bardzo często w praktyce. Nie chodzi tylko o to, że nobliści z dziedziny ekonomii nie robią na ogół karier finansowych, ani o to, że często w zacietrzewieniu profesorowie gadają głupstwa. Chodzi o to, że rzadko stanowią oni wzory dobrych decyzji życiowych. Gdzie jednak szukać mądrości, jeśli nie u profesorów?

Gdzie szukać mądrości, jeśli nie u profesorów?

Może w biblijnej Księdze Mądrości? Powstała ona prawdopodobnie w II w. przed naszą erą wśród Żydów w Egipcie. Autor jej jest nieznany, ale w znakomity sposób wyniósł on mądrość ponad swego rodzaju inteligencję filozofii greckiej swych czasów. Autor wskazuje na wstępie, że inteligencji brakuje cnoty: „Mądrość nie wejdzie w duszę przewrotną, nie zamieszka w ciele zaprzedanym grzechowi". Od czego zależy mądrość? Od obserwacji rzeczywistości: „Mówili sobie: nasze życie jest krótkie i smutne. Nie ma lekarstwa na śmierć człowieczą". Kto tak mówił? Sceptycy? Sofiści? A może egzystencjaliści? „Nuże więc! Korzystajmy z tego, co dobre […]. Nasza siła będzie nam prawem sprawiedliwości, bo to, co słabe, gani się jako nieprzydatne". Nie ma więc nadziei? Ależ skąd: „Wspaniałe są owoce dobrych wysiłków, a korzeń mądrości nie usycha. A dzieci cudzołożników nie osiągną celu, zniknie potomstwo nieprawego łoża". Nieznany autor zapowiada: „Oznajmię, czym jest mądrość i jak się zrodziła, i nie zakryję przed wami tajemnic".

Na początku jest więc chyba ciekawość: „Kto jest żądny wielkiej wiedzy – ona zna przeszłość i o przyszłości wnioskuje, zna zawiłości słów i rozwiązania zagadek, wiedza wyprzedza znaki i cuda, następstwa chwil i czasów". Za ciekawością musi kroczyć pokora: „Nieśmiałe są myśli śmiertelników i przewidywania nasze zawodne, bo śmiertelne ciało przygniata duszę i ziemski przybytek obciąża lotny umysł. Mozolnie odkrywamy rzeczy tej ziemi, z trudem znajdujemy, co mamy pod ręką – a któż wyśledzi to, co jest na niebie?". Wreszcie mądrość można poznać po analizie przyczyn i skutków: „Skąd bowiem przyszła na wrogów ich kara?". Z rozumowego pomylenia Stwórcy ze stworzeniem: „Głupi z natury są wszyscy ludzie, którzy nie poznali Boga; z dóbr widzialnych nie zdołali poznać Tego, który jest, patrząc na dzieła nie poznali Twórcy". Od filozofii przyrody przeszli do własnych mniemań: „Wymyślenie bożków to źródło wiarołomstwa, wynalezienie ich to zatrata życia […]. Żyjąc w wielkim zamęcie niewiedzy, tak wielkie zło nazywają pokojem. Bo gdy odprawiają dzieciobójcze obrzędy czy tajemne misteria albo szaleńcze pochody z dziwnymi śpiewami – nie zachowują w czystości ni życia, ni małżeństw, lecz jeden drugiego podstępnie zabija lub cudzołóstwem zadręcza".

Tymczasem Bóg nie jest okrutnym władcą, jakich było w starożytności wielu: nie wymusza, lecz uczy. Bóg jest sensem, którego potrzebuje człowiek myślący. „Umiłujcie sprawiedliwość, sędziowie ziemscy! Myślcie o Panu właściwie i szukajcie Go w prostocie serca! Daje się bowiem znaleźć tym, co Go nie wystawiają na próbę".

Myśli te rozwinął Syrach, syn Eleazara, żyjący w Egipcie także w II w. przed naszą erą: „Nie bądź tak pewny darowania win, byś nie miał dodawać grzech do grzechu […]. Nie zwlekaj z nawróceniem do Pana ani nie odkładaj tego z dnia na dzień: nagle bowiem gniew Jego przyjdzie i zginiesz w dniu wymiaru sprawiedliwości […]. Nie powstrzymuj mowy, gdy jej potrzeba, mądrość bowiem poznaje się z mowy, a naukę – ze słów języka […]. Bacz, abyś nie był nazwany oszczercą i nie czyń swym językiem zasadzek. Bo złodziej doznaje hańby, a dwujęzyczny najgorszego napiętnowania […]. Nie sprzeczaj się z człowiekiem gadatliwym i nie dorzucaj drew do jego ognia! Unikaj poufałości z prostakiem, aby twoi przodkowie nie byli znieważani […]. Nieprzyjaciel ma słodycz na swoich wargach, a w sercu zamyśla wtrącić cię do dołu […]. Kto się dotyka smoły, ten się pobrudzi, a kto z pysznym przestaje – do niego się upodobni […]. Zanim sąd wydasz, zbadaj siebie samego, a w godzinę obrachunku znajdziesz przebaczenie […]. Lepszy jest mniej zdolny, ale bojący się Pana, niż bardzo mądry, co przekracza prawo […]. Wzgarda zazwyczaj towarzyszy kłamcy, a hańba stale ciąży na nim […]. Wyjaśnienia głupiego są jak toboły w drodze, na wargach zaś mądrego znajdzie się wdzięk […]. Potwarca ubliża sobie samemu […]. Na ustach głupich jest ich serce, w sercu mądrych są ich usta". Mądrość jest więc ważniejsza od inteligencji. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

SYMETRIA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Doradca prezydenta RP – prof. Zybertowicz – powiedział w telewizji, że po ewentualnej wojnie nuklearnej część ludności przetrwa oraz przetrwa cywilizacja z potencjałem odbudowy. Proszę to przeczytać powoli dwa razy. Trzy razy. Doradca prezydenta opowiada na spokojnie o kilkuset milionach ofiar, które wyparują. Zastanowił się, rozważa koncepcję wojny atomowej i wyszło mu, że cywilizacja przetrwa, a potem się odbuduje.

Ale gdzie konkretnie, panie profesor? Która cywilizacja, bo raczej nie to, co mamy w Polsce. Przetrwa zapewne cywilizacja, która jest w tej chwili w Sudanie, w Kongu i w Paragwaju, bo tam bomby nie polecą. Natomiast Polska i Polacy wyparują w pierwszym uderzeniu. Mało prawdopodobne, by Putin walił najpierw w Kijów, skoro chce się do Kijowa wprowadzić. No to w co będzie walił, gdyby chciał Ukrainę przestraszyć i zmusić do kapitulacji? W Warszawę. A gdyby chciał przestraszyć Amerykanów i Brytyjczyków – też w Warszawę. Warszawa jest wystarczająco daleko od Londynu, Waszyngtonu i Paryża, aby ją NATO poświęciło dla dobra swoich pozostałych członków. Gdy tylko obywatele Francji czy Niemiec zobaczą w telewizji radioaktywne zgliszcza Warszawy, szybko dogadają się z Putinem na nowe rozdanie. Zrobili to samo po drugiej wojnie światowej – pogwałcili wszystkie nasze sojusze i umowy dla dobra cywilizacji Zachodu, która przetrwała. Naszym kosztem.

***

Jest też taka możliwość (o której doradca prezydenta nie wspomniał), że strony konfliktu nie zdążą się dogadać, bo zadziałają automaty (cios i odpowiedź na cios), a wtedy rakiety z pociskami nuklearnymi zaczną latać po północnej części naszej planety. Doradca prezydenta USPOKAJA, że cywilizacja przetrwa konflikt nuklearny, a w dodatku będzie miała potencjał odbudowy. Cywilizacja ogólnie może tak, ale na południu planety, a nie u nas. Konflikt państw nuklearnych oznacza unicestwienie Ameryki Północnej, Europy i kawałka Rosji. Chiny są sojusznikiem Rosji i też mają swoje pociski. Mają je Korea, Indie, Pakistan, Izrael i należy zakładać, że Iran też. To gdzie w tej sytuacji przetrwa cywilizacja i co się odbuduje?

***

W polityce międzynarodowej istnieje żelazna zasada symetrii – my u was otwieramy ambasadę, to i wy u nas. Pojechał do was nasz prezydent, to AUTOMATYCZNIE oznacza, że organizujemy rewizytę. Wywaliliście naszego konsula, to my wywalamy waszego. Każdy inny układ oznacza podległość, nierówność, a tego się w dyplomacji unika; przynajmniej dla zachowania pozorów.

Polska zachowuje się jak sprzedajna dziwka w stosunkach zarówno z Rosją, jak i ze Stanami Zjednoczonymi oraz z UE – nie dbamy o symetrię. Przykład pierwszy z brzegu: Amerykanie przez wiele lat mogli do nas jeździć bez wiz, a Polak do USA wizę mieć musiał. Putin zakazał wjazdu polskich jabłek do Rosji, ale ruski węgiel wjeżdżał do Polski bez przeszkód.

Zasada symetrii istnieje też w stosunkach wojennych – jeżeli Rosja strzeli pociskiem atomowym w kierunku USA, Ameryka odpowie Z AUTOMATU. No ale jeżeli Rosja strzeli w Warszawę, to Warszawa nie ma czym odpowiedzieć symetrycznie, a Ameryka za nas ginąć nie będzie. Cywilizacja na byłych terenach RP przetrwa z potencjałem do odbudowy takim, jak w Czarnobylu – trzeba będzie poczekać ze sto lat, aż nasze kości przestaną świecić.

***

A jak powinny wyglądać stosunki symetryczne z Unią Europejską?

To proste. Nikt tego na razie nie stosował, ale… Trump też był pierwszym prezydentem, który obłożył towary z Chin cłem. I nagle okazało się, że Chiny grzecznie likwidują cła na towar z USA i proszą o wzajemność. Symetria!

Dlatego w ramach równorzędnej WSPÓŁPRACY z Unią Europejską Polska powinna na wszystko odpowiadać symetrycznie. Nałożono na nas kary za posiadanie kopalni i elektrowni? OK… W tej sytuacji Polska nakłada na Komisję Europejską kary za nałożenie kar na Polskę. I jeżeli chcecie się odwoływać, to sądem właściwym do rozpatrzenia tego sporu jest sąd w Warszawie i musicie mieć ze sobą tłumacza przysięgłego, bo w Polsce takie prawo, że wszystkie rozprawy odbywają się po polsku. A kary możemy płacić, ale na zasadzie kompensaty, czyli wy nie robicie przelewu waszych kar, bo my nie robimy przelewu naszych.

***

Wielka Brytania nie chciała wpuścić posła na Sejm RP, Janusza Korwin-Mikkego, dr. Tomasza Sommera i Sebastiana Pitonia, bo to „terroryści". Zatrzymano też na granicy dziennikarza Rafała A. Ziemkiewicza, który płacił za studia córki i chciał pojechać na uniwersytecką uroczystość. Polska dała się w tych sprawach potraktować jak portowa dziwka – ambasador RP nie zrobił nic, minister spraw zagranicznych nie zrobił nic. A co powinno być wykonane?

Do redakcji BBC w Warszawie wchodzi policja i przesłuchuje brytyjskich dziennikarzy tak samo długo, jak przesłuchiwano Ziemkiewicza, zadaje im te same ABSURDALNE pytania, a następnie odprowadza na samolot powrotny do Wielkiej Brytanii.

***

Sprawa ukradzionych z Polski dzieł sztuki, które są wystawiane w niemieckich muzeach, też jest prosta do załatwienia.

Polsko-niemieckie centrum współpracy (PNCW) rozpoczęło działalność z chwilą przystąpienia Polski do strefy Schengen i zniesienia kontroli na granicach wewnętrznych Unii Europejskiej. W ramach umowy możliwe są pościgi transgraniczne, gdy policja ściga np. złodzieja samochodów. Policja niemiecka ma prawo wjechać do Polski, informując o tym najpóźniej w chwili przekraczania granicy.

Obie strony mają takie same uprawnienia wjazdu na terytorium drugiego państwa. A skoro tak, to polska policja ma prawo wjechać do muzeum w Berlinie i skonfiskować skradzione w czasach Hitlera polskie zabytki. Byłby skandal! Ale LEGALNY. ©℗

eprasa.pl 9223c44521

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

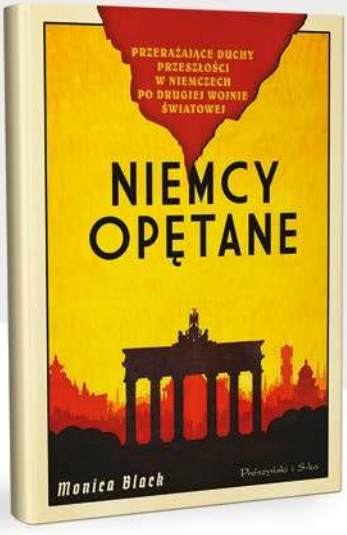

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MONICA BLACK:

„NIEMCY OPĘTANE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1161~~ ZŁ

365,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 796 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9223c44521

KIBICUJMY RAZEM POLSKIEJ REPREZENTACJI

POLSKA

KRAKÓW MAŁOPOLSKA EG2023 3rd EUROPEAN GAMES

#JESTEŚMY JEDNĄ DRUŻYNĄ

SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI

ORLEN — Sponsor Strategiczny

LOTTO — Sponsor Generalny

Polski Cukier — Sponsor

GRUPA LUXMED — Główny Partner Medyczny

eprasa.pl 9223c44521